

NIE MOJJE NIEBO



DOROTA
OSTROWSKA

Dorota Ostrowska

Nie moje niebo

© Copyright by Dorota Ostrowska & e-bookowo
Projekt okładki: Dorota Ostrowska

ISBN 978-83-7859-264-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Duszczyka siedziała na leżaku nad niewielkim basenem w cieniu parasola z liści palmowych i ze zniecierpliwieniem majtając stopą w eleganckim klapku zastanawiała się kiedy sprawy poszły w złym kierunku. Z pozoru wszystko wyglądało idealnie i jeszcze niedawno popukałaby się w głowę, gdyby ktoś jej powiedział, że będzie niezadowolona, mieszkając w pięknej hacjendzie z basenem i palmami. A jednak.

Miała dwadzieścia siedem lat i to już trzeci rok z rzędu. W zasadzie miała mieć tyle samo lat przez całą nadchodzącą wieczność i to była krzepiąca informacja. Odkąd Belzebub przegrał swoją rozgrywkę i musiał zwrócić jej życie, przestała się starzeć i mogła sobie tkwić u boku ukochanego diabła Azazela tak samo młoda, po kres świata. Marzenie każdej kobiety. Nie będzie zmarszczek, nadwagi i problemów ze zdrowiem. Nie będzie śmierci. Jedyłą chmurką na horyzoncie był jej niejasny status. Z pewnością nie była diabłem ani demonem, ale też nigdy nie mogła zostać duszą potępioną. Z racji wcze-

śniejszych dobrych uczynków piekło, jako miejsce karni, pozostało dla niej na zawsze miejscem zamkniętym i od tej decyzji nie było odwołania. Przepisy „niebieskich” regulowały to wyraźnie, nie dopuszczając żadnych furtek. Nie do końca była też człowiekiem, ponieważ w niebie ktoś się włamał do kartoteki i wykasował wszelkie jej dane. Nie istniała, czyli nie mogła umrzeć, a przynajmniej na to wyglądało. Nawet, gdyby ktoś ją zabił, błąkałaby się po świecie jako Biała Dama, bez prawa wstępu w zaświaty. Albo dama w innym kolorze, według uznania. Ot, takie czort-wie-co.

Jej dziwne życie zaczęło się trzy lata wcześniej, gdy została diabelską kochanką. Początkowo układało się jak w bajce, ale, jak w każdym rajskim ogrodzie, tak i u niej, czaił się wąż w trawie. Azazel ją zdradzał, o czym Belzebub poinformował ją przy pierwszej okazji i z wielką satysfakcją. Powinna właściwie powiedzieć „ta świnia Belzebub”, bo był jedyną istotą na ziemi, jaką Duszydzka darzyła czystą, kliniczną nienawiścią. Uciekła wtedy z domu, ale na szczęście Azazel znalazł ją na pół martwą i zdołał uratować. Zgodziła się wrócić do niego pod pewnymi warunkami i okres próbny jeszcze się nie skończył. Kochała go i bardzo chciała mu wie-

rzyć, jednak nie zamierzała dać się oszukiwać po raz drugi. Azazel o tym wiedział. Duszyczka była jedyną istotą na świecie, na jakiej mu kiedykolwiek zależało i teraz na wszelki wypadek praktycznie się z nią nie rozstawał, ciągnąc ją wszędzie za sobą. Dlatego siedziała dziś w kompletnej dziczy, odcięta od świata.

Westchnęła i z gulgotem wysączyła przez słomkę resztki soku pomarańczowego z wysokiej szklanki. Był paskudny: ciepły i wodnisty, bo kostki lodu już dawno zdążyły się rozpuścić. Rozejrzała się wokół siebie. Siedziała na skraju owalnego basenu wyłożonego błękitnymi kafelkami i mrużyła oczy od refleksów słońca na wodzie. Od jej strony, przy basenie zachęcająco jaśniały białe schodki ze srebrzystą poręczą. W przeciwnym końcu trzy dysze tworzyły na powierzchni grzybki spienionej wody i wysyłały wokół drobne fale. Lubiła moczyć się tam w ciepłe dni, a podwodne gejzery masowały jej ciało. Rząd palm za basenem rzucał rozchwiane cienie w lekkim wiateryku wczesnego popołudnia. Za plecami miała podcienia rezydencji, a z trzech stron otaczał ją wysoki, oślepiająco biały mur.

– Jak na spaceriak, to może byłoby niezłe – mruknęła do siebie. Odgarnęła wchodzące jej

do oczu włosy i przeniosła wzrok ponad czubki drzew.

Dom postawiono na lekkim wzniesieniu, w malowniczej, pagórkowatej okolicy. Na pierwszy rzut oka nowa rezydencja Azazela prezentowała się wspaniale. Obejmowała kilka rozrzuconych po ogrodzie bungalowów, z których największe dwa tworzyły całość, połączoną poprzez patio z basenem. Duszczyka uznała, że dla nich dwojga wystarczy tylko frontowa część i kazała zamknąć na głucho drzwi prowadzące do bliźniaczego budynku. Po jednej stronie holu mieli teraz do swojej dyspozycji mały salonik i przestronny gabinet Azazela, a po drugiej - salon i jadalnię. Wąski korytarz prowadził w głąb domu, do części prywatnej, z główną sypialnią i ogromną łazienką. Z drugiej strony korytarza straszyl nieużywany, dziwaczny pokój bez okien, określany jako przebieralnia. Zupełnie swobodnie dałoby się w nim przebrać słonia. Duszczyka nie miała żadnej koncepcji zagospodarowania tego dziwoląga, oprócz ewentualnej hodowli pieczarek, zostawiła go więc na pastwę pajaków czy innych dzikich lokatorów i nigdy tam nie wchodziła.

Piwniczna kuchnia miała osobne wejście od strony ogrodu i małą windę którą wciągano do jadalni gotowe dania i odsyłano brudne talerze.

Gdyby zupa była za słońca, trzeba by biec dookoła budynku, żeby wpaść do kuchni i zamordować kucharza. Duszyczka uznała, że projektant znał swoją klientelę, bo żadna kulinarna katastrofa nie zmusiłaby jej do biegania po ogrodzie strzeżonym przez rzeszę diabłów tylko po to, żeby czynnie okazać komuś swoje niezadowolenie.

Lokalizacja kuchni była, jej zdaniem, jedynym sensownym założeniem architektonicznym, bo wszystko inne w domu było przesadzone i jakieś „za bardzo”, jakby projektant cierpiał na gigantomanię z elementami powiatowego odpustu. Pokoje były za wysokie, stiuki za bardzo barokowe, a kolory zbyt żywe. Nienawidziła tego miejsca.

Kiedy przyjechała tu po raz pierwszy dwa miesiące wcześniej, czuła dreszczyk radosnego podniecenia, bo nigdy wcześniej nie była w Ameryce Południowej. Pełna nadziei i optymizmu opuściła willę nad Morzem Śródziemnym, gdzie spędziła z Azazelem ostatni rok. Tamto miejsce było oswojone, bezpieczne i przyjazne. Znała każdy kąt, miała sąsiadów, których lubiła i pracę w fundacji, która dawała jej zajęcie. Nikt nie wiedział, że Azazel jest diabłem i traktowano ich oboje serdecznie. Tu, wbrew oczekiwaniom, czuła się samotnie i obco. W promieniu

kilku kilometrów nie miała żadnych sąsiadów i nie opuszczała rezydencji, bo Azazel uważał, że to zbyt niebezpieczne. Posiadłość została wybrana ze względu na odosobnienie, ale co było dobre dla diabłów, niekoniecznie musiało służyć Duszyccze.

Czuła się jak więzień we własnym domu, a na dokładkę po ogrodzie przez całą dobę pałętały się, liczne jak szarańcza, diabelskie strażę z bronią. Najwyraźniej z góry uznano, że mur z drutami pod napięciem otaczający rozległy teren rezydencji nie stanowił wystarczającej ochrony. Pragnąc uniknąć kontaktów ze strażnikami i obcymi, przyjeżdżającymi co jakiś czas, Duszycczka ograniczała się do siedzenia na patio. Czuła się coraz bardziej jak kobieta taliba i to z najbardziej fundamentalnego odłamu.

Opuściła nogi z leżaka i niechcący kopnęła szklankę, która przewróciła się na kamienną podłogę i oczywiście potłukła.

– A bodaj cię cholera – mruknęła pod nosem. Przesunęła ciemne okulary na czubek głowy i ruszyła w głąb domu po szufelkę. Jeszcze kilka dni wcześniej cieszyła się niewątpliwą przyjemnością posiadania kilku osób służby wyłącznie dla siebie i na każde zawołanie, a teraz wszystko robiła sama. I chyba właśnie tamtego dnia,

kiedy Azazel ich odprawił, zrozumiała, że sprawy naprawdę źle stoją. Musiała coś z tym zrobić, bo na dłuższą metę tak się żyć nie dawało.

Przeszła korytarzem do holu, rozjaśnionego przez wielki sufitowy świetlik z matowego szkła. Azazel właśnie zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe i stanął zamyślony w plamie słońca, jakby niezdecydowany dokąd ma iść. W błękitnej koszuli z krótkim rękawem i granatowych spodniach wyglądał, zdaniem Duszyckiej, jak zawsze bosko, choć takie określenie dla diabła było może niezbyt stosowne. Ucieszyła się na jego widok. Ostatnie dwa dni spędziła sama w pustym domu, zajmując się robieniem sobie kanapek na wszystkie posiłki po kolei, na zmianę ze spaniem i kąpielami. Miała tego po kokardę.

Azazel przywitał ją skinieniem głowy. Miał nieobecne spojrzenie i najwyraźniej myślami był zupełnie gdzieś indziej. Machinalnym ruchem pogładził ją po plecach i pchnął lekko w stronę korytarza, z którego przed chwilą wyszła.

– Chodź, jest sprawa – powiedział cicho, jakby się bał, że ktoś ich usłyszy.

Posłusznie ruszyła przed nim. Minęli sypialnię i weszli do garderoby, gdzie światło zapa-

liło się automatycznie z cichym kliknięciem. Pomieszczenie było większe, niż oba pokoje w mieszkaniu Duszyczki z jej poprzedniego, ziemskiego życia. Przy bocznych ścianach szafy pięły się pod sam sufit, a naprzeciwko wisiało przesadnie duże lustro. Spokojnie mógłby się w nim przejrzeć dwustukilowy grubas mierzący dwa metry i jeszcze zostałyby miejsce na jego równie obfitą koleżankę.

Azazel stał przed Duszyczką bez ruchu, jakby zastanawiał się, co ma powiedzieć.

– Może zacznij od „dzień dobry, kochanie”?
– oznajmiła z przekąsem. – Nie było cię dwa dni.

Diabeł pochylił się i szybkim ruchem pocałował ją w usta. Absolutnie nie można było tego nazwać czysto przyjacielskim pocałunkiem, ale też do namiętności, jaką nadal w nim budziła było bardzo daleko. Duszyczka przechyliła głowę i popatrzyła krytycznie.

– O co chodzi? – spytała marszcząc brwi. Diabeł odsunął ją bez słowa i z górnych półek zaczął zdejmować walizki.

– Spakuj rzeczy.
– Wyjeżdżamy? – ucieszyła się.
– Ja zostaję – powiedział oschle.
– Wasza książęca wysokość – zaczęła Duszyczka formalnie, podpierając się pod boki.

Nagły przyływ adrenaliny sprawił, że żołądek zwinął jej się w kulkę. – Jeżeli postanowiłeś mnie porzucić i oznajmiasz mi to w takiej formie i co gorsza w garderobie, to za chwilę będziesz martwy.

– Nie wygłupiaj się. Przecież wiesz, że nigdy cię nie porzucę. A nawet gdybym chciał, to najpierw sam się zabiję, żeby oszczędzić ci fatygi – puścił do niej oko i uśmiechnął się, otwierając walizki. Duszyczka wyjęła mu je z rąk i rzuciła na podłogę.

– Spójrz na mnie i powiedz o co chodzi. Nie możesz mnie traktować jak zapóźnionej pięciolatki. – Założyła ręce na piersiach. – Dlaczego mam się pakować?

– Nie mówiłem, bo nie chciałem, żebyś się martwiła – zaczął. – Jest problem.

– Widzę. A konkretnie? Usiądź i spokojnie mi opowiedz.

– Nie mamy czasu. Pakuj się, a ja będę mówił. Zostaw sobie jakiś strój na zmianę.

Duszyczka posłusznie zaczęła wyjmować ubrania z szaf i wrzucać do walizek.

– Mamy kreta.

– Że co? – zamarła na moment, podnosząc głowę. Żadnych kopczyków w ogrodzie nie było, a nawet gdyby, nie był to powód do ucieczki.

– Kreta. No, zdrajcę. Obcego agenta. I nie

możemy go z Lucyferem wymacać.

Odetchnęła z ulgą. Woląta ludzi od widoku kreta przegryzającego się przez podłogę sypialni. Kto wie do czego są zdolne amerykańskie gryzonie...

– Chcesz powiedzieć, że niebiescy wam kogoś podstawili? Po co? Oni tam w niebie podobno i tak wszystko wiedzą. Wy, chłopcy, to się jednak dziwnie bawicie. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Konkurencja. Ktoś chce storpedować naszą transakcję.

– Może po prostu policja. I dobrze. Należy wam się. – Duszyczka wstała z podłogi i zaczęła zdejmować sukienki z wieszaków.

– Proszę cię, spróbuj być poważna. To są niebezpieczne sprawy – Azazel westchnął nad charakterem swojej kobiety. – Dlatego w zeszłym tygodniu odesłałem całą służbę. Ten kret jest dobrze zorientowany w naszych domowych sprawach i musiałem się dowiedzieć, czy nie ktoś z nich jest jego informatorem.

– Poważnie myślisz, że to mogła być Felicja? – w głosie Duszyczki słychać było śmiech. – Moja poczciwa Felicja?

– Nie do końca świadomie, mogła. Ale nie, dokładnie ich sprawdzono. A teraz sprawy się pogorszyły i dlatego nie było mnie przez kilka

dni. Pospiesz się, bo zaraz podstawią samochód.

– Przyznam się, że chciałam cię prosić, żebyś mnie stąd zabrał, bo już nie mogę wytrzymać. Nawet moja miłość do ciebie, jak się okazało, ma swoje granice. Dokąd mam jechać?

– Twoje bagaże jadą. Ty zostajesz.

Duszyczka wyprostowała się, wypuszczając z rąk sukienkę i podeszła do niego tak blisko, że prawie się dotykali. Nadal miała na sobie wyłącznie skąpe bikini.

– A teraz poproszę prawdę! Całą. I spróbuj się przy tym nie udławić – wycodziła, zirytowana wydzielaniem jej informacji po kropelce. Azazel przytulił ją mechanicznie.

– Mów! – zażądała, wyrywając się. – Prze stań się zachowywać jak pies Pawłowa na widok dzwonka... czy jakoś tak.

Azazel westchnął, sięgnął do kieszeni i wyciągnął papierosa. Normalnie protestowała przeciw paleniu w garderobie, ale teraz machnęła na to ręką.

– Szykujemy największy przerzut kokainy w historii ludzkości. W zabawie biorą udział sami źli chłopcy. Właściwie Lucyferowi i mnie jest wszystko jedno kto to będzie rozprowadzał i gdzie, byle towar trafił na rynek, ale nie możemy pozwolić, żeby nam rozbijano siatkę. Nasi

ludzie są systematycznie usuwani i ta akcja sięga coraz wyżej i coraz bliżej mnie. Czyli także i ciebie. – Azazel zmarszczył brwi, wyraźnie zmartwiony. Zaciągnął się papierosem i strząsnął popiół na podłogę. – Lucyfer mówi, że to ktoś z naszego otoczenia. Takie informacje zdobył jego wywiad, a oni wiedzą co robią.

– Nadal nie wiem czemu raz jadę, a raz nie jadę?

Azazel wydawał się coraz bardziej zły.

– To moja wina. W ogóle nie powinienem cię tu przywozić, ale nie myślałem, że sprawy przybiorą taki obrót. Zauważyłaś, że przyjechałem samochodem zamiast użyć kanału przerzutowego?

– Nie słyszałam auta. Byłam nad basenem.

– Nie mogę cię ewakuować. Zabrałbym cię już w południe, ale się okazało, że kanały nie działają. Żadne, nawet moje. Dojazd tutaj zajął mi trochę czasu.

Duszczyka wrzuciła do walizki ostatni ciuшек popatrzyła na niego zdziwiona.

– No właśnie – mruknął Azazel ponuro, rozglądając się w poszukiwaniu popielniczki. – Ostatni raz taka awaria była jakieś trzysta lat temu, a i wtedy kanały VIPów działały. Teraz wszystko leży. Musiałem przyjechać autem i zamówiłem transport dla ciebie. Ale... – wszedł

do łazienki i wrzucił niedopałek do sedesu. Kolejna zbrodnia przeciwko duszyczkowemu poczuciu porządku.

– Zmieniłeś zdanie?

– Tak – stwierdził krótko. – Skończyłaś?

Duszyczka skinęła głową. Azazel zamknął walizki i zabrał je do garażu. Kiedy wrócił, zdążyła się już ubrać w tunikę i spodenki do kolan. Wziął ją za rękę i zaprowadził do windy.

– Chcę, żeby cały świat myślał, że pojechałaś. No chodź, odegramy rozdzierającą scenę pożegnania. Posłuchaj, co masz zrobić...

Zjechali jeden poziom w dół i gdy drzwi rozsunęły się w mrocznym wnętrzu garażu, oczom kierowcy i rozmawiającego z nim strażnika ukazał się Azazel całujący namiętnie swoją kobietę w rzęsiście oświetlonej windzie. Diabeł nie patrząc na nich machnął ręką i obu w jednej chwili wymiotło na zewnątrz. Żałowali, że w ogóle tam byli, bo w kwestiach tej akurat kobiety szef nie miał ani krzty poczucia humoru, czy zrozumienia dla żartów. Nie byliby jednak sobą, gdyby nie próbowali podglądać zza drzwi. Duszyczka obserwowała ich ponad ramieniem Azazela.

– Gapią się – syknęła. – Puszczaj!

– Przynajmniej widzą, jak czule się żegnamy
– uśmiechnął się i pocałował ją jeszcze raz.

Garaż był wielkim pomieszczeniem i spokojnie pomieściłby cztery samochody. Teraz stała w nim tylko jedna lśniąca czystością czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami i przegrodą, oddzielającą kierowcę od pasażera. Była piękna. Duszyczka podeszła bliżej i przez zachęcająco otwarte drzwi zajrzała do środka. Skórzana tapicerka, barek, laptop. Nic odbiegającego od standardu, do jakiego przyzwyczyliło ją bogactwo Azazela. W otwartym bagażniku oprócz jej walizek leżało kilka innych paczek, ale nie zainteresowała się nimi bliżej, wychodząc ze słusznego w swym obecnym środowisku założenia, że to czego nie wiesz, nie może cię zabić.

Azazel stał na zewnątrz rozmawiając z kierowcą. W pewnej chwili wziął go za łokieć i odprowadził kilka kroków w głąb podjazdu, jakby chciał mieć pewność, że są poza zasięgiem słuchu Duszyczki. Wzruszyła ramionami. Przywykła do tego, że praca Azazela nie powinna jej interesować. Tak było lepiej dla wszystkich.

Azazel wrócił, z rozmachem zamknął bagażnik, trzasnął drzwiami pasażera, a Duszyczka stanęła w wąskiej niszy za szafką z narzędziami i rozpląszczyła się na ścianie. Usłyszała stuk czyichś butów, głos pytającego o coś kierowcy, trzaśnięcie jego drzwi, a potem Azazel kazał ru-

szać i wreszcie dobiegł do niej cichy szum uruchamianego silnika. Samochód wytoczył się z garażu i wrota zamknęły się automatycznie. Azazel zablokował je stalowym klinem, niwecząc jakąkolwiek możliwość otwarcia ich od zewnątrz bez wysadzania zawiasów dynamitem. Wydawał się nieco spokojniejszy.

– Od tej chwili musisz być cicha i bezwonna. Nie ma cię – szepnął. – Dopóki myślą, że zostałaś odprawiona, jesteś bezpieczna.

Wjechali windą na górę i Azazel wszedł do salonu, ruchem ręki zatrzymując Duszczkę na progu. Wcisnął guzik i zewnętrzne metalowe żaluzje zsunęły się powoli, odcinając pomieszczenie od reszty świata.

– Czemu zamykasz? – spytała teatralnym szeptem. Atmosfera konspiracji stawała się zaraźliwa. Wprawdzie rozumiała niepokój Azazeła, ale w głębi serca nie do końca dawała wiarę jego ostrzeżeniom, jakby wszystkie środki ostrożności były w obecnej sytuacji przesadzone.

– Zamykam, żeby czasem ktoś z ogrodu nie zauważył, jak będziesz się przekradać po domu. Bo przecież będziesz, jak cię znam.

Zasunął, jedną po drugiej, żaluzje we wszystkich pokojach, zostawiając tylko odsłonięte okno w swoim gabinecie i ogromny świetlik

w holu. Stał teraz trzymając Duszyckę w ramionach i patrzył na nią z troską.

– A teraz, słońce moje, posłuchaj, bo to co powiem jest bardzo ważne. Wpakowałem cię w to i obiecuję, że cię wyciągnę. Póki tu jesteś nikt, ale to nikt, nie może cię widzieć. Nie rozpalasz ognia w kominku, nie odbierasz telefonów, i co najważniejsze, nie zapalasz nigdzie światła. Znasz dom, możesz chodzić po ciemku, ale lepiej zostań w sypialni.

– Jasne.

– Niedługo przyjadą do mnie goście i pod żadnym pozorem nie mogą cię tu zobaczyć, więc siedź cichutko jak myszka.

Duszycką pokiwała głową, aż grzywka weszła jej do oczu. Odgarnęła ją niecierpliwie.

– Kto przyjeżdża?

– Żli chłopcy. Nie martw się – dodał, widząc jej niepewną minę. – Nic mi się nie stanie. Tobie też nie, skoro odjechałaś w siną dal. Uszy do góry.

– Postaram się.

– Będę musiał z nimi wyjechać, ale wrócę wieczorem, a najdalej jutro rano i wtedy cię stąd zabiorę. Wytrzymaj do tego czasu. Kocham cię.

– Ja ciebie też. Nie martw się, do rana spokojnie wytrzymam – uśmiechnęła się, starając się dodać mu otuchy. Wydawał się naprawdę

zmartwiony.

– Zmykaj, bo mam jeszcze coś do zrobienia. – Przytulił ją gwałtownym gestem i trwali tak przez chwilę, a potem odwrócił się szybko i zniknął w gabinecie.

Duszyczka martwiła się o Azazela. Teoretycznie diabła nie można zamordować, bo zabity diabeł po jakimś czasie regenerował się i wracał do życia. Istniały jednak sposoby na radykalne załatwienie sprawy i pozbycie się niewygodnego osobnika, a choć ona nie umiałaby nikogo unicestwić, to byli tacy, którzy mogli to zrobić. Nie po to ratowała Azazela ze wstrętnych łap Belzebuba, żeby teraz ktoś zrobił z niej młodą wdowę. No, prawie wdowę. Jakoś nie przychodziło jej do głowy, żeby się martwić o siebie.

Westchnęła i posłusznie poszła do sypialni, ale nie zamierzała tak zostawić całej sprawy i siedzieć potulnie w ukryciu. Skoro w domu mają się zjawić niebezpieczni ludzie, to chciała wiedzieć o nich coś więcej, choć do tej pory unikała ich jak mogła.

Weszła do garderoby, zamykając za sobą paskudnie skrzypiące drzwi. Odkąd zabrakło służby, nie było komu ich naoliwić i za każdym razem miała wrażenie, jakby ktoś jechał jej smyczkiem po kręgosłupie.

– Cholery dostanę – mruknęła, podchodząc do pozbawionej frontowych drzwiczek szafy. Rozsunęła puste wieszaki huśtające się na metalowym pręcie i obydwoma dłońmi przesunęła tylną ściankę, odsłaniając niewielką przestrzeń.

Świetnie pamiętała dzień, w którym odkryła to przejście. Poszła wtedy do gabinetu Azazela, kazała mu wstać od biurka, weszła pod nie i głośno zaszczeakała.

– Co robisz? – zaciekawiał się, rozbawiony.

– Odszczekuję cokolwiek kiedyś powiedziałam, a nawet pomyślałam, o twoim przygłupim systemie gruntownego poznawania każdego domu w jakim mieszkam.

Kiedy się tu sprowadzili, Azazel kazał jej obejrzyć rezydencję dokładnie i do najmniejszej cegiełki. Zaczęła od kuchni w piwnicy i robiła to sumiennie, obmacywała ściany, stukała w deski, próbowała wszystko poruszyć, ale nie zauważyła nic dziwnego, czy godnego uwagi. Gdy zaczęła sprawdzać garderobę, puknęła dla porządku w tylną ściankę w swojej szafie i nieoczekiwanie usłyszała pusty dźwięk. Złamała dwa paznokcie, próbując podważyć deskę, zanim wpadła na pomysł, że mogłaby ją przesunąć. Diabeł słysząc o tym, natychmiast poszedł

do garderoby, bezceremonialnie odsunął dumną z odkrycia Duszyczkę i bez wahania wszedł do szafy. Dziewczyna oczywiście deptała mu po piętach. Czuła się jak Kolumb, któremu odbiera się Amerykę.

– Dlaczego wszystko, co ciekawe musisz robić ty? – burknęła z pretensją.

– Bo jesteś zbyt cenna, żebym miał cię narażać – odpowiedział stłumionym głosem, wspinając się na poddasze po klamrach w ścianie. Po chwili jego nogi zniknęły za krawędzią. Niezwołocznie zaczęła się gramolić za nim.

Gdy zajrzała na strych, zamarła z wrażenia. Nad całym domem rozciągała się pusta przestrzeń, ogromna, ale klaustrofobicznie niska. Gdzeniegdzie, po zakurzonej betonowej podłodze przebiegały wiązki kabli, kanały wentylacyjne, jakieś rury i przewody klimatyzacji. Światło wpadało przez wielki świetlik w dachu, pod którym w podłodze zamontowano okrągłą płytę z matowego szkła. Reszta niskiego strychu tonęła w półmroku.

Nie mogąc nawet się wyprostować, Azazel bez pośpiechu obszedł pomieszczenie na czworakach i nie zważał na panujący tu brud. Na wysokości wejścia do budynku wpadała do środka podłużna smuga światła, w której miały się poruszone przez nich drobiny kurzu. Maleńkie

zagłębienie nad ozdobnym gzymsem, na które nikt z zewnątrz nie zwrócił wcześniej uwagi, w rzeczywistości okazało się wąskim, poziomym okienkiem zabezpieczonym drucianą siatką. Niewidoczny dla stojących na dole człowiek mógł przez nie obserwować spory fragment podjazdu przed domem.

Diabeł odwrócił się do Duszczyki z szerokim uśmiechem.

– Jesteś genialna!

– Zawsze to mówiłam – powiedziała z dumą.

– Ale to jednak dziwne...

– Co?

– Głupie takie wyjście na dach. W razie awarii, to niby jak pracownicy mieli tu wchodzić? Z szafy pani domu?

– Jest normalne wejście, w tym, co nazywają pieczarkarnią. W przebieralni. Taka kłapa w suficie.

– Tam jeszcze nie doszłam – mruknęła niechętnie, przyłapaną na niewiedzy.

Azazel postanowił wtedy zablokować drugie wejście solidną sztabą umocowaną na strychu, a kłapę w przebieralni zamaskował szafą. Nie chciał, żeby ktoś nagle stanął im nocą nad łóżkiem.

Duszczyka weszła teraz do ciasnej kryjówki

i starannie zamykając ściankę za sobą, wspięła się po klamrach. Na strychu było gorąco i śmierdziało kurzem i stęchlizną. Miała pełną świadomość własnej śmieszności, gdy mozolnie pełzła na czworakach, pilnując, by trzymać się w odpowiedniej odległości od świetlika. Bała się, że z dołu może być widać przesuwający się cień. Starła się nie potrącić żadnego kabla, ani nie stuknąć w blaszany komin wentylacyjny, biegnący z kuchni.

Do okienka nad wejściem dobrnęła cała pokryta kurzem i pajęczynami. Na szorstkiej podłodze obtarła sobie gołe kolana. Usiadła pod ścianą, otrzepała je z drobinek betonu i brudną ręką otarła pot z czoła. Nie wiedziała jak długo przyjdzie jej czekać, ale była gotowa tkwić tu nawet do nocy. Słyszała tupot butów Azazela, biegnącego przez hol i wracającego po krótkiej chwili. Drzwi do gabinetu trzasnęły, pociągnięte niecierpliwą ręką.

Gdy kolejny raz rzuciła okiem na podjazd, zobaczyła zatrzymującą się czarną limuzynę. Nie usłyszała jej wcześniej i zdenerwowało ją własne gapiostwo. Teraz, gdy auto parkowało bokiem, okazja zanotowania numerów rejestracyjnych już przeminęła. Przesunęła dłonią po włosach, usiłując odgarnąć je z twarzy.

Z samochodu wysiadł wysoki, barczysty facet, który nieprzyjemnie kojarzył się Duszczyce z mieszkającymi w piekielnych koszarach komandosami Azazela. Nie był jednak diabłem, choć otaczała go podobna aura bezwzględności. Oczy ukryte za ciemnymi okularami zlustrowały ogród, zamknięte żaluzje frontowych pokoi, dach. Duszczyka zamarła przy okienku, ale wzrok mężczyzny prześlizgnął się po gzymsie z całkowitą obojętnością. Nie zauważył nic podejrzanego. Zanim zapiął marynarkę, przez mgnienie oka dostrzegła pistolet w kaburze. Facet obszedł samochód i otworzył drzwi pasażera.

Mężczyzna, który wysiadł niewątpliwie był szefem. Miał coś władczego w postawie, sposobie poruszania się i wyrazie twarzy, co wyraźnie dowodziło, że przywykł do wydawania poleceń i miał pewność, że wszystkie będą wypełnione skrupulatnie i natychmiast. Duszczyka uznała, że jest antypatyczny i niebezpieczny.

Był, jak większość miejscowych, w typie południowca, z czarnymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu i niewielkim wąsikiem. Zdjął ciemne okulary odsłaniając blisko osadzone, martwe oczy przywodzące na myśl aligatora i rozejrzał się, jak poprzednio jego ochroniarz. Na gzyms nad wejściem nawet nie spojrział.

„Partacze” - pomyślała Duszyczka z satysfakcją.

W jej wąskim polu widzenia ukazał się Azazel. Przywitał się serdecznie z obu mężczyznami, jakby znali się od dawna i szerokim gestem zaprosił ich do środka. Zrobili kilka kroków i zniknęli z jej oczu. Słyszała ich głosy dobiegające z holu i wszystko ucichło, gdy weszli do gabinetu. Siedziała przez chwilę oparta o ścianę, zastanawiając się co robić i czy aby przechodzenie teraz obok świetlika nie jest głupawym pomysłem. Postanowiła jednak wracać i ostatni raz rzuciła okiem na samochód.

Z przedniego fotela pasażera wysiadał właśnie kolejny ochroniarz w czymś w rodzaju czarnego munduru. Był niski, krępy, z krótko ostrzyżonymi włosami, a w rękach trzymał pistolet automatyczny. Duszyczka przywykła do ludzi pałętających się po okolicy z różnorodną bronią, długą i krótką. Zazwyczaj nie robiło to już na niej większego wrażenia, ale w tym człowieku było coś bardzo groźnego. Kierowca stał po drugiej stronie samochodu, opierając się plecami o drzwi i patrzył w stronę bramy, jakby ubezpieczał tyły uzbrojonego kurdupla. Co dziwne, żadnego ochroniarza Azazela nie było w zasięgu wzroku. Duszyczka odsunęła się od okienka, bezwiednie wstrzymując oddech. Kie-

dy po chwili znów wyjrzała, niskiego ochroniarza z pistoletem już nie było. Poczowała niemły dreszcz biegnący po kręgosłupie.

Widziała już dość i postanowiła wrócić do bezpiecznej przystani własnej sypialni. Powoli posuwała się na czworakach, na wszelki wypadek obchodząc świetlik szerokim łukiem, żeby nawet przez matową szybę nikt jej nie mógł dostrzec. Była jak duch prześlizgujący się pomiędzy wiązkami kabli i blaszanymi przewodami. Obtarte kolana zaczynały ją piec, a kurz kręcił w nosie.

Z ulgą dotarła do zejścia i postawiła stopę na pierwszej klamrze w murze. Nagle zamarła, na wpół siedząc na krawędzi, bo w tym właśnie momencie usłyszała stłumione skrzypnięcie powoli otwieranych drzwi do garderoby, a odgłos automatycznie zapalanego światła zabrzmiał jak wystrzał. Ktoś wszedł do garderoby od strony sypialni! Nie mógł to być Azazel, zajęty w tej chwili rozmową w gabinecie. Wyobraźnia podsunęła obraz kurdupła z pistoletem automatycznym na ramieniu. Niemal widziała, jak idzie przez garderobę, lustrując pomieszczenie czarnymi oczami kobry. Kiedy usłyszała odgłos wieszaków przesuwanych na metalowym pręcie w szafie Azazela, zasłoniła dłonią usta, żeby stłumić głośny oddech. Na dole zapanowała

cisza. Rozszalała wyobraźnia podsuwała obraz mężczyzny stojącego naprzeciwko szafy i czekającego, żeby strzelić jej w brzuch, gdy będzie wychodziła. Przetarła oczy.

Po dłuższej chwili pstryknął automatyczny wyłącznik światła - widomy znak, że w garderobie nikt się od pewnego czasu nie rusza. Z doświadczenia wiedziała, że to cztery minuty, ale zdawało jej się, że wieczność. Miała wilgotne dłonie i mimo zaduchu czuła przebiegające po ciele dreszcze. W końcu usłyszała głosy dobiegające z holu, trzaskanie drzwiczek samochodu i oddalający się dźwięk silnika. Pojechali. Zebrała się na odwagę i zeszła po klamrach w dół. Odrobinę odsunęła tylną ściankę i przyłożyła oko do szpary, ale ciemność w pomieszczeniu była niemal namacalna. W końcu wyszła z szafy, czekając, aż seria z automatu przetnie ją na pół. Fotokomórka wychwyciła ruch, garderobę zalało światło i Duszczyka podskoczyła ze stłumionym okrzykiem, wpadając na rzegoczące wieszaki, które oczywiście z hałasem pospadały na dno szafy.

– Cholera, zawału dostanę przez te popieprzone wynalazki – szepnęła do siebie.

Pomieszczenie było puste. Garnitury w szafie Azazela zostały odsunięte na jedną stronę, jakby ktoś sprawdzał, czy nikt się za nimi nie ukrywa.

Ochroniarz zniknął, pozostawiając skrzypiące drzwi do sypialni szeroko otwarte. Ewidentna fuszerka, bo nawet taki mizerny kandydat na komandosa jak Duszczyka wiedział, że miejsce należy zostawić dokładnie tak, jak się je zastało. Widać facet uznał, że potrzeba zachowania ciszy była większa.

W świetle padającym z garderoby zlustrowała pustą sypialnię. Wszystko wydawało się w porządku, a w każdym razie nikt do niej nie strzelił. Zajrzała jeszcze do łazienki, zanim zdecydowała się wyjść na korytarz. Ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę. Hol był pusty. Duszczyka, bezszelestnie jak zjawą, obeszła wszystkie zaciemnione przez Azazela pokoje, nie zauważając nic niepokojącego. Ochroniarz z automatem musiał najwyraźniej odjechać ze wszystkimi.

Kierowca czarnej limuzyny należał tymczasowo do personelu Lucyfera. Wiózł Duszczykę do innej rezydencji i nic z tego nie rozumiał. Azazel pożegnał się z nią, jak zakochany nastolatek, a tymczasem jemu kazał pod żadnym pozorem nie zatrzymywać się po drodze. Podróż miała trwać jakieś siedem-osiem godzin. Jak zwykła, nie będąca diabłem kobieta ma to wytrzymać? W sumie nie jego sprawa. Może do

tego czasu będzie martwa, a czule pożegnanie miało ją tylko uspokoić? Pewnie trucizna... Widać dziewczyna znudziła się Azazelowi. A może diabeł skręcił jej kark i on teraz transportuje trupa? Aż pokręcił głową na tak straszne marnotrawstwo całkiem jeszcze zdatnej do użytku kobiety. Gdyby umiała gotować, mógłby nawet wziąć ją dla siebie.

Wyjechał z drogi dojazdowej do rezydencji na mało uczęszczaną publiczną drogę pomiędzy wzgórzami. Było wczesne popołudnie i zniżające się słońce miał za plecami. Podobała mu się taka niespieszna jazda, kiedy nie trzeba było uciekać przed policją czy bandytami i nikt do niego nie strzelał. Rzucił okiem w lusterko, ale na tylnym siedzeniu nie zauważył żadnego ruchu, za to na drodze w oddali pojawił się czarny kabriolet, dużo szybszy, niż jego limuzyna. Oczekiwał, że auto prędko go dogoni, ale trzymało się w stałej odległości.

Nacisnął przycisk przed sobą i rzucił w przestrzeń:

– Tu Larden. Mam ogon.

Przez chwilę w małej słuchawce w uchu słuchał głosu anonimowego dyspozytora.

– Nie, nie widzę numerów, jest za daleko. Czarne kabrio, dwie osoby.

– Tak jest – powiedział, ale nie rozłączył się.

Kabriolet zaczął się zbliżać i Larden pomyślał, że być może cierpi już na zawodową paranoję. Ot, ktoś się wybrał na przejażdżkę i tyle. Pokonał zakręt. Kabrio widać przyspieszyło, bo wyskoczyło na prostą jakieś sto metrów za nim. Pasażer wstał, a na ramieniu trzymał bazukę. Larden gwałtownie przyspieszył, ale zdawał sobie sprawę, że jest bez szans.

– Atak! Bazuka! – krzyknął do dyspozytora, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Pocisk uderzył w asfalt pod limuzyną. Auto wyskoczyło w górę jak spłoszony mustang, przebiło barierkę i stoczyło się po zboczach, koziołkując. Kierowca wyleciał przez przednią szybę, lądując w gęstych zaroślach, a samochód spadł na dno wąwozu. Bezradny dyspozytor usłyszał krzyk kierowcy, łoskot gniecionej blachy, huk eksplozji zbiornika z paliwem i trzask ognia, zanim wszystko ucichło. Kobieta nie krzyczała. Widać zginęła od razu.

Nieświadoma własnej, bardzo widowiskowej śmierci Duszczyka uchyliła drzwi do gabinetu. Okno było zasłonięte pionowymi, białymi żaluzjami, typowymi dla wszystkich biur świata, więc z ogrodu nie było widać wnętrza. Ucieszona zapobiegliwością Azazela, wślizgnęła się do środka. W pokoju panował porządek, tylko na

zamkniętym szklanymi drzwiczkami kominku zostało trochę popiołu, jakby ktoś tu coś spalił. Po bliższych oględzinach uznała, że to resztki papierów i tekturowych teczek. Żadnych śladów walki nie było.

Usiadła w fotelu i zabrała się za metodyczne przetrząsanie biurka w poszukiwaniu pistoletu. Nie zamierzała dać się zastrzelić jak blaszana kaczka na odpustowej strzelnicy. Wiedziała, że Azazel ma gdzieś broń, ale w żadnej otwartej szufladzie jej nie znalazła, a do zamkniętych nie umiała się włamać. Kolejna pożyteczna umiejętność, jakiej nie zdobyła, kiedy była pora.

Obróciła na zawiasach obraz na przeciwległej ścianie, odsłaniając sejf. Znała szyfr, choć kiedyś nie rozumiała po jakie лихо ma się go nauczyć. Okazało się, że zapamiętała ten głupi szyfr tylko po to, żeby teraz odkryć, że sejf jest zupełnie pusty. Nie wiedziała, czy ma ją to dziwić, bo nigdy przedtem tu nie zaglądała, ale poczuła się rozczarowana.

Larden leżał w chaszczach twarzą w dół. Kambriolek najwidoczniej zatrzymał się na widok wypadku, bo słyszał z góry dwa głosy.

– Bardzo ładnie – powiedział ktoś z satysfakcją.

– Trzeba sprawdzić, czy zginęli. Zwłaszcza

ona – domagał się ktoś drugi.

– Ty to masz nasrane we łbie – oburzył się pierwszy. – Sam se złaż na dół. Ja nie zamierzam się do nich przyłączać ze skręconym karciem.

– Ale...

– Wybuchło? Wybuchło! Nie przeżyli tego, a nawet gdyby, to dziewczucha i tak do rana zdechnie, bo bez sprzętu na górę nie wylezie. Chłopaki przyjadą za dnia i sprawdzą. Spadamy zanim nas ktoś zobaczy.

Samochód odjechał i Larden leżał w ciszy, wpatrując się w maszerującą obok jego twarzy mrówkę. Musiał zregenerować się przed świtem i sprawdzić co z dziewczyną, a potem dać nogę. Zebrał wszystkie siły i zaczął naprawę organizmu. Zdawał sobie sprawę, że to nie będzie łatwe.

Duszczyka zirytowana niepowodzeniem w poszukiwaniu broni oderwała dwa banany z dużej kiści leżącej na niskiej ławie. Musiała przecież coś jeść, a bała się wychodzić do kuchni. Z kominka zabrała paczkę zapalek i cichutko prześlizgnęła się do sypialni, gdzie, przyświecając sobie zapalkami i parząc palce, otworzyła sejf. O mało nie krzyknęła z radości. Wewnątrz znalazła dwa woreczki z biżuterią, dla której

wprawdzie chwilowo nie miała żadnego zastosowania, ale przecież kobieta nie zna dnia ani godziny. Włożyła je do kieszeni spodni i wyjęła z sejfu plik paszportów. Trzy należały do Azazela, każdy na inne nazwisko i wystawiony w innym kraju, ale jeden był jej. Według tego dokumentu nazywała się teraz Anna Bratel. Nieźle. Machinalnie włożyła paszport do kieszeni i dopiero wtedy zauważyła, że na podłogę wypadła z niego zaklejona biała koperta bez adresu. Zajęta poszukiwaniem broni, z roztargnieniem złożyła ją na pół i wsunęła w kieszeń.

W głębi sejfu znalazła pistolet z tłumikiem i zapasowy magazynek. Poczowała się tak szczęśliwa, jakby została właścicielką rakiet z głowicami nuklearnymi wycelowanymi w pałac Belzebuba. Odłożyła paszporty Azazela na miejsce i zamknęła stalowe drzwiczki, po czym poszła do łazienki, gdzie w normalnym świetle zajęła się oględzinami broni.

Umiała taki pistolet rozłożyć na części i znów złożyć, przy czym nie zostawały jej żadne zbędne elementy, z czego na początku jej szkolenia zaśmiewał się Azazel. Broń była nabita, więc wsunęła ją za pasek spodni. Poczowała się znacznie pewniej. Zgasiła światło w łazience, poczekwała chwilę, aż oczy przywykną do ciemności i wróciła do sypialni z zamiarem położenia się

spać. Zdążyła jednak tylko usiąść na łóżku, gdy poczuła nieprzyjemne mrowienie na karku. Nie była w domu sama.

Z ręką opartą na rękojeści pistoletu próbowała sobie tłumaczyć, że to zwykła histeria i że ma się natychmiast uspokoić. Była już bliska sukcesu, gdy usłyszała delikatny dźwięk niedaleko drzwi, jakby kawałek szkła obijał się na twardej powierzchni. Bezszelestnie zsunęła się na dywan i wpełzła pod łóżko. Szklanka! Potłukła się, a ona miała ją sprzątnąć, ale nie zdążyła. Teraz ktoś idący nad basenem trącił kawałek przezrzystego szkła, niewidocznego w gasnącym świetle wieczoru.

„I pomyśleć, że kiedyś narzekałam, że mam nudne życie – jęknęła w myślach Duszczyka. – Jeżeli z tego wyjdę, to, słowo daję, zabarykaduję się na miesiąc w jakimś klasztorze o surowej regule. A może na dwa?”

Wyciągnęła zza paska pistolet i wycelowwała w drzwi, gotowa zastrzelić każdego, kto przez nie wejdzie, zanim on posieka ją serią z uzi.

– Kevin sam w domu – mruknęła do siebie z przekąsem.

Noc mijała powoli i Duszczyka nie wiedziała, kiedy usnęła z twarzą na odbezpieczonym pistolecie.

Nie zdawała sobie sprawy co ją obudziło, ale nadal miała nieprzyjemne wrażenie, że nie jest w domu sama. Wypełzła spod łóżka, chcąc się schować na strychu i wtedy usłyszała delikatne, ledwie słyszalne stukanie: puk, puk, puk, przerwa i znów puk, puk, puk. Brzmiało dziwnie znajomo i w tym momencie pamięć podsunęła jej obraz jaskini Dezyderiusza i ostrzeżenie mopa, ustawionego na zewnątrz na straży. Pukał wtedy takim samym rytmem. Ostrożnie podeszła do drzwi, trzymając w rękach odbezpieczony pistolet. Azazel by przecież nie pukał, tylko wszedł, a kurdupel z automatem prędzej posiekałby drzwi na kawałki, niż bawił się w subtelności.

– Mop, to ty? – szepnęła, stając z boku, żeby ściana osłoniła ją przed ewentualną serią z uzi.

Rozległo się szybkie stacatto. Nie do końca wierząc we własne szczęście, Duszczyka uchyliła drzwi. Przez szparę wcisnęło się to, co zostało z mopa po trzech latach niewątpliwie wypełnionych przygodami. Frędzelki wystrzępiły się co do jednego, kij był brudny i obity, ale niewątpliwie był to przyjaciel z dawnych lat, który nie raz ją uratował. Nie zważając na przyklejony brud ucałowała go serdecznie i cichutko zamknęła drzwi.

– Chodź pogadać do łazienki. Tu mamy

przymusowe zaciemnienie – szepnęła prawie bezgłośnie.

W jasnym świetle mop prezentował się jeszcze gorzej.

– Prowadziłeś trzecią wojnę światową? – Pokręciła głową z dezaprobatą. – No dobra, chciałeś mi coś powiedzieć?

Mop pochylił się w potwierdzeniu.

– Czy ktoś jest teraz w domu?

Pokręcił się przecząco.

– Ale był? Niedawno?

Potwierdzenie.

– Cholera... Czy coś mi grozi?

Mop kiwnął się gwałtownie w przód, o mało nie uderzając Duszycki w czoło. Odsunęła się o pół kroku, zagryzając wargi.

– Może uda mi się dobrze schować? – spytała niepewnie, mając na myśli kryjówkę na strychu. Mop gwałtownie pokręcił się na boki.

– Niedługo południe – zmartwiła się, zerkając na zegarek. – Ostatnie pytanie. Czy Azazel wróci na tyle szybko, żeby mi pomóc?

Mop zaprzeczył. Poczowała, że serce wali jej w gardle.

– Ucieczka jest bez sensu. Nie poradzę sobie w tych lasach i na dokładkę w górach. Zrobimy coś innego.

Duszyzka na palcach wyszła z pokoju i ruszyła do drzwi przez zalany słońcem hol. Z obu stron wejścia umieszczono wąskie okienka z przyciemnianymi szybami, jak w samochodach. Pewna, że nikt z zewnątrz nie może jej zobaczyć, uważnie zlustrowała ogród. Nigdzie nie było żywego ducha, nawet przy bramie, której zawsze pilnowało co najmniej dwóch strażników. Z nieznaney przyczyny odwołano całą ochronę. A jednak kogoś zostawili, bo kątem oka dostrzegła ruch. Na kamiennym podeście przed drzwiami jakiś mężczyzna siedział oparty o ścianę. Widziała tylko jego nogi w czarnych spodniach i sznurowane wojskowe buty. Obok leżał kałasznikow. Strażnik podrapał się po łydce i znieruchomiał, jak jaszczurka.

Duszyzka wyjęła zza paska pistolet i sięgnęła drugą ręką do zamka, gdy ze zgrozą zauważyła, że drzwi nie są zamknięte na zatrask. Pociągnęła je do siebie i spojrzała przez szparę. Mężczyzna zauważył ruch za plecami, ale najwyraźniej wcale go to nie zaniepokoiło. Obejrzał się leniwie. Gdy poznał Duszyzkę, był wyraźnie zaskoczony i wyciągnął rękę po kałasznikowa, ale zamarł w pół ruchu na dźwięk odbezpieczonego pistoletu.

– Nie próbuj. Połóż ręce na głowie – powiedziała zimno.

Mężczyzna wpatrywał się w nią, jakby chciał ocenić, czy strzeli. Tłumik widoczny przez szparę w drzwiach chyba nie wydawał mu się dostatecznym argumentem na rzecz posłuszeństwa, bo ręka zaczęła sunąć w stronę karabinu. Pistolet Duszyczki wystrzelił z cichym kasznięciem. Pocisk zrykoszetował na kamiennym podeście i poleciał gdzieś do ogrodu.

– Co ty wyrabiasz, kurwa?! – krzyknął mężczyzna, gwałtownie cofając dłoń.

– Połóż ręce na głowie, to nic nie będę wyrabiać. – Miała nadzieję, że nie drży jej głos. – Kurwa – dorzuciła spokojnie.

Ochroniarz splótł dłonie na głowie i oparł się wygodnie o ścianę. Odwrócił teraz głowę i patrzył na nią drwiąco.

– Czego chcesz, suko?

– Wezwij Lucyfera. Natychmiast.

– Jasne – zaśmiał się nieprzyjemnie i oparł wygodniej, czekając na okazję do ataku. – Bo co?

– Jestem zmęczona i nie mam czasu się z tobą droczyć. Za pięć minut jest tu Lucyfer. Inaczej cię zastrzelę.

– Już się boję! Nic ci to nie da. Zregeneruję się i wtedy się z tobą zabawię.

– Zastrzelę cię – ciągnęła Duszyczka beznamiętnie – zawlokę pod mur i dam mrówkom.

Potem siądę i będę sobie patrzeć kto się okaże szybszy. Czy ty się zregenerujesz, czy one cię po kawałku zabiorą do mrowiska. Na wszelki wypadek postrzelę cię jeszcze ze dwa razy. Przerobią cię na mrówcze gównno.

Ochroniarz przez chwilę patrzył na nią bez ruchu i w końcu kiwnął głową.

– Dobra, ale muszę wyjąć telefon.

– Rób to powoli. – Obserwowała, jak dwoma palcami wyciągał z kieszeni telefon i wybierał numer. – I pamiętaj, że zostały tylko cztery minuty i trzydzieści sekund. Mrówki już ostrzą noże. Bądź przekonujący.

– Wezwij głównego szefa... tak, głównego. Kod czerwony. Natychmiast! – warknął ochroniarz do słuchawki, ani na moment nie odrywając oczu od Duszczyki i jej pistoletu. Chodziły słuchy, że kobieta Azazela zabiła już cztery diabły i nie oberwało jej się za to. Skoro jednak nie miała wytatuowanych kropek nad brwią, uznał to za bzdurne plotki i patrzył na nią z pogardą, jak na każdą durną babę.

Po chwili milczącego oczekiwania od strony ścieżki zabrzmiały na żwirze czyjeś kroki. Duszczyka na moment odwróciła oczy i ochroniarz natychmiast skorzystał z okazji. Złapał kałasznikowa, ale nie zdążył go wycelować w jej stronę. Upadł nieprzytomny na kamienny podest,

a pocisk wystrzelony w tej samej sekundzie z pistoletu dziewczyny przeleciał tuż nad jego ciałem, muskając bluzę.

W stronę domu szedł wysoki, chudy Lucifer. Pstryknięciem palców obezwładnił swojego pracownika, który wbrew surowym zakazom w jego obecności złapał za broń. Fakt, że nie wiedział o obecności szefa był bez znaczenia.

Lucyfer nigdy nie okazywał emocji. Jego szare oczy patrzyły na świat obojętnie i z wyższością. Jeszcze trzymał uniesioną dłoń, gdy usłyszał stłumiony strzał i zobaczył Duszyckę stojącą w drzwiach z pistoletem. Podniósł ręce do góry w geście poddania i zatrzymał się.

– To wezwanie to twoja sprawka? – spytał zimno.

– Tak. Dziękuję, że przyszedłeś. Wejdz, proszę.

Odsunęła się z drzwi i w zapraszającym geście machnęła w jego stronę odbezpieczonym pistoletem. Nie zdawała sobie sprawy, że nadal go trzyma. Diabeł przeszedł przez próg i dziewczyna zatrzasnęła za nim drzwi.

– Czy mogę opuścić ręce? – spytał drwiąco.

– Nie mówiłam, że masz podnieść – odpowiedziała. Wiedziała, że gdyby chciał, już dawno leżałaby obok nieprzytomnego ochroniarza i żadna broń by jej nie pomogła. – Chodźmy do

gabinetu. – Wskazała pistoletem drzwi.

Lucyfer wszedł, nie oglądając się na nią i całkowicie lekceważąc wycelowaną w siebie broń. Usiadł na skórzanej kanapie zakładając nogę na nogę i krytycznie popatrzył na przejrzałe banany.

– Nie masz winogron?

– Nie podaję ich, odkąd Belzebub pluł mi pestkami na podłogę. Nie zamierzam wam na to pozwalać. Poczęstuj się bananem.

– A nie boisz się, że ktoś ci rzuci skórkę na podłogę?

– Spróbuj. – Duszyczka usiadła na biurku i na wszelki wypadek zabezpieczyła broń. Lucyfer był jej bardzo potrzebny żywy. Martwy byłby bezwartościowy. – Zaprosiłam cię, żeby zapytać gdzie jest Azazel. Miał mnie stąd zabrać wczoraj wieczorem.

– Sam go szukam. – Lucyfer podniósł kiść bananów, obejrzał je krytycznie i odłożył z westchnieniem. Potem podniósł wzrok i Duszyczka poczuła, jak pod jego spojrzeniem podnoszą jej się włosy na karku. – Dlaczego rezydencja nie ma ochrony? – spytał surowo, wpatrując się bladymi oczami.

– Nie wiem. Już wczoraj nie było nikogo, jak przyjechali goście.

– Mów po kolei – przerwał jej rozkazująco.

– Kto i kiedy?

– Przyjechali wczesnym popołudniem, człowiek w szarym ubraniu...

– El Gris – mruknął do siebie. – Sam?

– Był z nim jeszcze jeden facet, ochroniarz z uzi i kierowca.

– Jakim samochodem?

– Czarnym? – powiedziała niepewnie. – Dość dużym...

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i wreszcie zgodnym gestem wzruszyli ramionami nad jej orientacją w kwestii modeli luksusowych samochodów. Atmosfera się poprawiła.

Larden otworzył oczy, gdy na świecie robiło się jasno. Z trudem wstał i ruszył w dół zbocza, a każdy krok na nie do końca zrosniętych nogach potwornie go bolał. Nie zwracając na to uwagi dotarł do samochodu i oparł się o niego z jękiem, czekając aż uspokoją się wirujące przed oczami czarne plamki. Wypalony wrak był pusty. Nie było w nim zwęglonego szkieletu kobiety, którego się spodziewał, tylko w bagażniku poniewierały się szczątki walizki. Druga leżała otwarta kilkanaście metrów dalej, a wszystkie stroje z niej wypadły i zdobiły okoliczne drzewa i zarośla.

Diabeł rozejrzał się po stoku, szukając tru-

pa, który powinien gdzieś tu być. Kalkulował, gdzie mógłby leżeć, wyrzucony z samochodu przez szybę, ale go nie widział. Kiedy dotarł na górę, zrozumiał, że żadnej kobiety nie wiozł. Był wabim z pustym samochodem. Nie miał o to pretensji do Azazela. W końcu ktoś musi robić brudną robotę i tym razem padło na niego. Zamierzał jednak znaleźć tego, kto go ostrzelał, bo pomsta musi być. Nigdy niczego nie zapominał, ani nie wybaczał.

Wyjął z kieszeni telefon, po którym łatwo go było namierzyć i zakopał pod korzeniem drzewa, po czym chowając się przed ludźmi, ruszył w bolesną drogę powrotną do rezydencji.

Duszczyka opowiedziała Lucyferowi o kurduplu z automatem i o człowieku, który wieczorem potracił rozbitą szklankę nad basenem. Mówiła, że ochroniarz przy drzwiach nie zdziwił się kiedy je uchyliła, jakby spodziewał się, że ktoś w domu jest, choć powinno być pusto. Wspomniała, że ma dobrą kryjówkę. Lucyfer pokiwał głową.

– Wiem, pewnie stryszek. Sam kazałem zrobić przejście, a potem zabiłem robotników. Nie wiedziałem, że Azazel to odkrył.

– Ja to odkryłam.

– Przypomnij mi, żebym przy następnej re-

krutacji zaproponował ci pracę.

– Powiedz mi lepiej co się stało z Azazelem!

Gdy to mówiła, w piwnicy rozległo się silne, głuche stęknienie i dom jakby uniósł się na moment z fundamentów, po czym ciężko opadł z powrotem. Lucyfer jednym skokiem znalazł się przy Duszyccze, chwytając ją w pól i przyciskając do siebie. Był tak szybki, że nawet nie zdążyła odbezpieczyć pistoletu, żeby do niego strzelić. Drzwi do holu gwałtownie wyskoczyły z zawiasów i przeleciały przez gabinet, z impetem uderzając w okno i tłukąc je na drobne kawałki. Przez wejście wpadła do pokoju potężna kula ognia. Zanim gorące powietrze zdążyło ich spalić, Lucyfer uniósł oboje kanałem przerzutowym w bezpieczne miejsce w takim tempie, że Duszyccze była przekonana, że wyniesie ich na orbitę okołoziemską. Nad trawnikiem koziółkował w powietrzu czerwony mop wyrzucony przez wybuch za okno.

Larden stał w zaroślach obok nie pilnowanej przez nikogo bramy do rezydencji Azazela, którą opuścił dzień wcześniej. Najwyraźniej wszystkich stąd ewakuowano, ale i tak zamierzał się dostać do środka. Chciał obejść posiadłość w poszukiwaniu drogi dla dostawców, furgonki, albo choćby drzewa, które pomogłoby

mu sforsować mur, bez ściągania sobie na głowę chmary nadpobudliwych ochroniarzy. Wolał pozostać w ukryciu, bo wiedział, że wydano na niego wyrok i egzekucja jest tylko kwestią czasu. Ci, którzy zapewne przyszli rano sprawdzić swoje dzieło, musieli odkryć, że przy wraku nie ma trupów. Wiedzą, co to znaczy. Teraz będą szukać i jego i kobiety, żeby wypełnić kontrakt i usunąć świadka.

Właśnie zastanawiał się od której strony zacząć swój obchód, gdy usłyszał z rezydencji głuchy odgłos podziemnej eksplozji i ułamek sekundy później z drzwi buchnęła kłębiąca się kula ognia. Okna były zabezpieczone metalowymi żaluzjami, co zwiększyło wewnątrz siłę wybuchu. Larden patrzył z fascynacją, jak dach uniósł się nieco, a potem powoli, jak w zwolnionym tempie rozpadł się na tysiące wirujących w powietrzu kawałków. Diabeł uznał, że teraz może spokojnie wspiąć się na bramę, bo żaden alarm, jaki mógłby tym wywołać, nie będzie już miał znaczenia.

– O matko moja jedyna! – jęknęła Duszycka z nosem w koszuli Lucyfera, mocno oplecioną jego ramionami. – Co to było?

Pistolet uwierał ją w brzuch i jedyną myślą, jaka ją zaprzętała, było pytanie czy aby na pew-

no jest zabezpieczony. Samobójstwo poprzez postrzał w bebechy zupełnie nie leżało w jej planach. Lucyfer postawił ją na podłodze i odsunął się. Stali w niedużym, ascetycznie umeblowanym pomieszczeniu bez okien.

– Ktoś wysadził w powietrze waszą rezydencję.

– I bardzo dobrze! Każdego dnia miałam ochotę to zrobić. Mógł tylko poczekać, aż się wyniosę. Chwila! Poważnie mówisz?

Lucyfer bez pośpiechu pokiwał głową. Duszczyka wzięła głęboki oddech.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś – powiedziała powoli, patrząc w jego chłodne oczy, jak zawsze pozbawione wyrazu. – Dobrze wiedzieć, że ktoś w tym porąbanym świecie umie zachować zimną krew.

Lucyfer dla odmiany pokręcił głową.

– Niestety, dałem się ponieść emocjom i teraz właściwie powinienem cię zabić. I to tak na zawsze.

W pokoju zrobiło się gorąco. Duszczyka spojrziała na trzymany w rękach pistolet i powoli uniosła lufę w stronę diabła.

– Nie myślałam, że masz poczucie humoru – wycedziła, mrużąc oczy.

– Nie mam. Mówię poważnie. Uciekałem przed eksplozją, a musiałem jeszcze uratować

ciebie, bo Azazel by mnie ukrzyżował, gdyby coś ci się stało. No i widać straciłem zimną krew, skoro odruchowo zabrałem nas do mojej absolutnie tajnej kwatery. W żadnym wypadku nie powinnaś tu być. Nie powinnaś nawet wiedzieć o tym miejscu.

Duszyzka rozejrzała się dookoła. W pokoju stało szeroka kanapa, nowoczesna lampa, biurko i fotel. Dwoje drzwi prowadziło do innych pomieszczeń.

– Sądząc po kanapie, to raczej tajna kwatera Azazela – powiedziała kwaśno, wzruszając ramionami. – Powiedz mi wreszcie gdzie on jest!

– Nie wiem, później go poszukamy. Teraz muszę się zająć eksplozją. Usiądź na kanapie i udawaj, że cię tu nie ma.

Duszyzka oczywiście nie zamierzała siedzieć bezwolnie i czekać. Lucyfer otworzył drzwi do drugiego pokoju, wypełnionego elektronicznymi urządzeniami po sam sufit. Nawet ekran czegoś, co wyglądało jak radar, błyskał optymistycznie na zielono. Diabeł przycisnął jakiś guzik i pozostałe ekrany zaczęły się budzić do życia. Patrzyła na to z fascynacją, gdy diabeł doskoczył do niej jednym susem i chwycił za ramiona szponiastymi dłońmi. Czowała, że jeszcze moment, a połamie jej kości.

– Nie myślałem, że jesteś gęsią! – powiedział,

jak zwykle obojętnym tonem, ale Duszyczce i tak dreszcz przeszedł po plecach. Nieco bez sensu kiwnęła głową.

– Kiedyś ochraniał cię Eskenezer i teraz rozumiem, jaka to musiała być dla niego gehen-na. Jaka jest pierwsza zasada ochranianego?

– Wykonywać polecenia natychmiast i bez pytania.

– Azazel nigdy cię nie bił?

Energicznie pokręciła głową. Tego by tylko brakowało.

– Powinien. Może by cię nauczył posłuszeństwa.

Energicznie posadził ją na kanapie, aż podskoczyła jej głowa i usiadł obok, nadal trzymając ją za ramiona.

– Wyjaśnię ci, skoro sama nie umiesz do tego dojść. Azazel wysłał cię samochodem, a przynajmniej chciał, żeby świat tak myślał. Kanały zostały zablokowane i to była jedyna droga ewakuacji.

– Tak mi powiedział. Pojechały moje walizki z ciuchami.

– Pomachaj im na dowidzenia. Ktoś zdmuchnął auto z drogi do wąwozu. Twoje piękne stroje się spaliły razem z całą resztą.

Duszyczka poczuła mrowienie w nogach i ucieszyła się, że siedzi. Patrzyła na Lucyfera

z niedowierzaniem.

– Rano przyjechała policja, którą ktoś zawiadomił – ciągnął – i okazało się, że nie ma trupa. Ani jednego. Kierowca musiał się zregenerować i prysnął. Jak go znajdą, to wepchną do wulkanu, żeby się pozbyć świadka. Ale z tobą jest inna sprawa. Gdybyś zginęła, to byś tam leżała, a skoro nie leżysz, to trzeba próbować dalej. Bo to był zamach na ciebie!

– Więc dlatego się zjawiłeś, a nie ze względu na wezwanie od tego dupka.

– I tak się wybierałem, to tylko przyspieszyło sprawę. A właśnie! Narysuj sobie piątą kropkę i możesz mówić, że ja ci ją przyznałem.

– Nikogo nie zabiłam! – oburzyła się.

– Nie twoja zasługa, że jestem o całe pół sekundy szybszy. To się fachowo nazywa wina umyślna w zamiarze ewentualnym.

Duszczyka zakłęła. Faktycznie miała zamiar zastrzelić tego dupka z kałasznikowem, ale w obronie własnej. Pokręciła głową z dezaprobatą. Jak zwykle, z jakiejś niezrozumiałej przyczyny przestępczość wokół niej wzrastała lawinowo.

– Mordercy połapali się, że nie zginęłaś w samochodzie, Azazel cię nie zabrał kanałem, bo żaden nie działał, więc pozostało im jedno: nadal byłaś w rezydencji. A przynajmniej musie-

li to wziąć pod uwagę, chociaż ten z uzi cię nie znalazł.

– Czyli ten, którego słyszałam w nocy...

– Założył ładunki w kuchni, a wcześniej był nad basenem. W każdym razie chodził po domu, a strażnik przy drzwiach o tym wiedział.

– Czyli to nie był ochroniarz od Azazela, tylko od nich...

– Właśnie. Muszę w związku z tym wydać polecenia, sprawdzić wszystko i dlatego chcę skorzystać ze swojej sali komunikacyjnej. Tam są kamery do wideo-konferencji. Póki mordercy myślą, że wyleciałaś w powietrze, jesteś bezpieczna. Jeżeli ktoś cię zobaczy, nawet ja mogę nie być w stanie ci pomóc. Zrozumiałaś wreszcie?

Duszczyka kiwnęła głową. Lucyfer rzucił jej swoją jedwabną chusteczkę.

– Mam nadzieję, że umiesz rozłożyć ten pistolet – powiedział swoim cichym, szeleszczącym głosem. – Zrób to, dokładnie wytrzyj wszystkie miejsca, gdzie mogły zostać czyjeś odciski palców, pociski też. Potem złóż go, ale w rękawiczkach. Znajdziesz je w górnej szufladzie biurka.

Puścił ją wreszcie, poszedł do drugiego pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Duszczyka uważnie wytarła pistolet, złożyła go i nawet

wytarła brzeg szuflady i blat biurka. Siedziała teraz tyłem do pokoju, w którym zniknął Lucyfer i czekała.

– Możesz tu wejść – rzucił rozkazującym tonem od drzwi. – Wyłączyłem kamery i mikrofon.

Duszczyka podniosła się posłusznie.

– Chcę, żebyś zobaczyła film z monitoringu. Niestety zachował się tylko jeden z kamery z tyłu budynku. Widać na nim różnych ludzi i chcę wiedzieć, czy ich poznajesz.

Obraz obejmował bramę, fragment podjazdu i ścianę rezydencji wraz z oknami saloniku i gabinetu.

– Gdzie ta kamera wisiała, że jej nigdy nie zauważyłam? Na drzewie?

Lucyfer kiwnął głową.

– Jak to się stało, że ocalał tylko ten film?

– Pozostałe kamery ktoś wyłączył tuż przed przyjazdem El Grisa. – Przerwał, dając jej czas na zrozumienie tej informacji.

– A czemu tę zostawili?

– Nie wiedzieli o niej. To moja kamera, dobrze ukryta.

– Szpiegowaliście nas?! – krzyknęła z oburzeniem.

– Żebyś nie wiem jak diabłom nie ufała, to i tak na ogół się okazuje, że trzeba było nie ufać

jeszcze bardziej. Zawsze o tym pamiętaj.

Na filmie brama otworzyła się automatycznie i czarna limuzyna wjechała na podjazd, po czym znikła za węglem budynku.

– Mamy numery rejestracyjne. Oczywiście fałszywe.

Ochroniarze zaczęli grupkami wychodzić przez bramę i znikali z oczu na drodze. Duszyczka nic nie rozumiała.

– Azazel musiał to widzieć! Wyjechał i zostawił mnie bez ochrony? – zawołała oburzona i zraniona. – Siedziałam tam zupełnie bezbronna!

– Ty akurat jesteś bezbronna tylko kiedy lakier schnie ci na paznokciach. Nie wiemy dlaczego nie zareagował na usuwanie ochrony. Może nie mógł. Patrz dalej.

Samochód odjechał, a zza narożnika rezydencji wyszedł ten sam kurdupel z uzi, którego z okna widziała przy samochodzie. Obchodził budynek dookoła i szybko zniknął im z oczu. Lucyfer przyspieszył film. Po zmierzchu kamera przełączyła się na tryb noktowizyjny i żadnego człowieka nie dałoby się tu rozpoznać. Ktoś chodził pomiędzy rezydencją, a bungalowem dla strażników, nosząc jakieś paczki. Rano nie działo się zupełnie nic, dopóki obraz z kamery nie zadrżał od wybuchu. Duszyczka ze zgrozą

patrzyła na kulę ognia pojawiającą się w wyrwanym oknie gabinetu, na eksplodujący dach i płomień ogarniające budynek. Wokół fruwały szczątki tego, co chwilę wcześniej było jej rezydencją.

– Matko boska... – jęknęła.

– Musiałaś? – skrzywił się Lucyfer.

– Widocznie tak. – Podniosła na niego oczy. Widać było, że dopiero teraz zrozumiała co się naprawdę stało. – Jestem ci coś winna, Lucyferze. Dziękuję.

– Patrz dalej, bo teraz będzie najciekawsze.

Przez bramę niezdarnie przechodził jakiś mężczyzna. Gdy zeskoczył, stanął z twarzą wykrzywioną bólem i przez chwilę patrzył wprost na kamerę. Lucyfer zatrzymał obraz i przybliżył twarz przybysza.

– Poznajesz?

– Nikt, kogo bym dobrze znała. Takie nieostre... Nie wiem. – Wpatrywała się w jego twarz.

– Nazywa się Larden. Był wczoraj twoim kierowcą. Teraz się zgadza?

– Faktycznie wydaje się podobny, ale głowy bym za to nie dała. Widziałam go tylko przez moment w ciemnym garażu i miał czapkę.

Mężczyzna zniknął za rogiem płonącego budynku, a po chwili pojawił się, niosąc cia-

ło ochroniarza. Zapewne tego samego, którego obezwładnił Lucyfer. Bez żadnych ceregieli zwałił je na ziemię przy bramie, wszedł do budki strażników i po chwili brama rozsunęła się powoli. Mężczyzna ze swoim ciężarem zniknęli w lesie za murem, a brama zamknęła się za nimi.

– I to właśnie jest ciekawe – mruknął diabeł, wpatrując się w pociemniały ekran. – Zabrał go, żeby go przede mną ratować, czy żeby wydusić z niego prawdę?

– Złapiesz go, czy pozwolisz mu działać?

– A jak obstawiasz?

Larden kłął przy każdym kroku. W normalnych warunkach nawet by nie zauważył, że coś niesie, teraz dodatkowe kilkadziesiąt kilogramów zdawało się go zabijać. Musiał znaleźć kryjówkę i odczekać, aż kości nóg zrosną się jak trzeba. Minął strumień, który płynął w niewielkiej dolinie między wzgórzami i wszedł nieco wyżej. Ból był nie do zniesienia. Posadził ochroniarza pod drzewem, wygiął mu ręce do tyłu i związał jego własnym paskiem. Dla pewności zamocował jeszcze raz swoim, wepchał mu w usta brudną szmatę, która służyła mu za chustkę i wreszcie mógł się położyć. W prześwicie między drzewami obserwował bramę

rezydencji Azazela, widział ciężarówkę, z której wysypali się żołnierze, ale z tej odległości nie mógł rozpoznać do kogo należeli. Otworzyli bramę i zniknęli za ogrodzeniem. Nie przywieźli ze sobą psów, przynajmniej na razie, a to dało Lardenowi nieco czasu. Bezskutecznie próbował przemieścić się kanałem do piekła. Był zaniepokojony, bo za długo to już trwało jak na zwykłą awarię.

– Zablokowałem wszystkie kanały, oprócz VIPów, a i te kazałem monitorować. Larden nie wydotanie się stamtąd niepostrzeżenie, ale też nikt zniecka nie siądzie mu na karku. Poczekamy i popatrzymy co będzie robił. – Lucyfer otworzył ukrytą w ścianie szafkę i wyjął dwa kieliszki i butelkę koniaku Mefista. – Napijesz się?

– Nie, dziękuję. Upiję się od razu. Jestem bardzo głodna. Przez ostatnią dobę zjadłam tylko dwa banany.

– Zapomniałem. Rzadko mam do czynienia z ludzkimi kobietami. – Wyciągnął do niej rękę.

– Chodźmy na kolację.

– W takim stroju?

– Coś ci załatwię.

Lucyfer objął Duszczkę i moment później wessał ich ciemny tunel. Hotelowy apartament,

w którym się znaleźli był luksusowy, ale trudno było się spodziewać czegoś innego po piekielnym szefie operacji naziemnych.

– Tam jest łazienka, jeżeli chcesz skorzystać, tu jest zapasowa sypialnia, w której możesz się przebrać. W szafie masz sukienki i te rzeczy, bez których wy, kobiety nie wyobrażacie sobie życia. Weź co chcesz – powiedział swym suchym, szeleszczącym głosem i zniknął za rozsuwanymi drzwiami do dalszych pokoi.

Kiedy odświeżona Duszczyka wyszła wreszcie z łazienki w jedwabnym szlafroku Lucyfera, diabeł siedział w fotelu, czytając gazetę. Obrzucił ją obojętnym spojrzeniem.

– Ubierz się. Zaraz przywiozą kolację. Zamówiłem ci rybę.

– Cudownie. Za moment jestem.

Rozsunęła drzwi w zajmującej całą ścianę szafie w przeznaczonym dla niej pokoju i patrzyła z niedowierzaniem. Na wieszakach i półkach pełno było damskich fatalaszków w różnych rozmiarach, wszystkie nowe i z metkami. Lucyfer musiał tu gościć tabuny kobiet i najwyraźniej wolał je ubierać niż rozbierać. Po krótkim, choć bolesnym wahaniu, Duszczyka wybrała sobie doskonale leżącą niebieską sukienkę i ciut za duże, ale za to idealne w kolorze

buty. Zastanawiała się przez chwilę czy przyjmowanie takich prezentów od Lucyfera to dobry pomysł, ale rozgrzeszyła się szybko, uznając wszystko za pożyczkę.

Gdy wróciła do salonu, diabeł właśnie zapalał świece. Ani trochę jej się to nie podobało i zastanawiała się jaki on ma w tym interes, żeby zabawiać ją przy kolacji, zamiast posłać jej do pokoju hamburgera i frytki. Na świecie nie ma dobrych wrózek, a już na pewno nie jest nią suchy, kostyczny Lucyfer, który nie robi nic bezinteresownie.

W złotym blasku świec diabeł nie prezentował się ani trochę lepiej niż zwykle. Lekko szpakowate włosy sprawiały, że wyglądał nobliwie, a wąski nos upodabniał go nieco do ptaka, ale to blade oczy pozbawione jakiegokolwiek wyrazu nadawały jego twarzy charakter bezwzględności i okrucieństwa. Duszczyka nie tyle nie lubiła Lucyfera, co nie miała do niego za grosz zaufania i zazwyczaj spodziewała się najgorszego. Ku jej zdziwieniu, diabeł od początku zdawał się żywić dla niej sympatię, o ile w jego przypadku w ogóle można było mówić o jakichkolwiek uczuciach.

Usiadła naprzeciwko niego przy stole nakrytym jak do romantycznej kolacji i obrzuciła

wzrokiem zawartość półmisków.

– Zostawię ci w całości krewetki i zupeę, jakakolwiek by nie była, ale rybę mogę zjeść też za ciebie. O ile nie masz nic przeciwko – dodała bohatersko po krótki wahaniu.

Rzuciła się na jedzenie, które Lucyfer nałożył jej na talerz, jakby głodowała od tygodnia. Przechyliwszy głowę, przyglądał jej się z zainteresowaniem, obierając krewetkę z pancrzyka.

– Chcesz jedną?

– Nie, dziękuję – powiedziała między jednym kęsem a drugim. – Wystarczająco się męczę na przyjęciach Belzebuba. Zawsze daje jakieś owoce morza, a ja z własnej woli nie zjem nic, co patrzy na mnie z talerza. U niego łykam te stworzenia w całości i pewnie kiedyś się udławię.

– Jesz jak chłop – skomentował tempo, w jakim pustoszyła talerz.

– I to taki od pługą – przytaknęła. – Lubię ryby. Poza tym jestem potwornie głodna.

– Kobiety zazwyczaj skubią coś jak ptaszek.
– Lucyfer wydawał się zdegustowany takim brakiem wyrafinowania.

– Przykro mi cię rozczarować – ucięła Duszczyka obojętnie. Otarła usta serwetką i popiła winem. – Czy już wiesz, gdzie jest Azazel?

Lucyfer popatrzył przez chwilę w zamyśle-

niu. Zastanawiał się ile właściwie może jej powiedzieć, bo z pewnością nie wszystko. Zdecydował, że na tym etapie najlepiej jej wcale nie wtajemniczać.

– Nawet Mefisto nie może go wysledzić. Jakby się zapadł pod ziemię, ale pracujemy nad tym.

– Mefisto czegoś nie wie?

– Ciebie też nie widział, kiedy wpadłaś w szczelinę wulkanu. Ma problemy ze śledzeniem ludzi schowanych pod ziemią.

„Kłamie” – pomyślała Duszczyka.

„Wcale nie kłamie” – pomyślał Lucyfer.

– Z pewnością maczał w tym palce El Gris – zaszeleścił.

– Co to za jeden? – spytała, odkładając widelec. Była zdecydowanie przejeżdżona i bała się, że za chwile zacznie ziewać. Trzymała kieliszek z winem za nóżkę i patrzyła na Lucyfera. Nigdy nie spędziła z nim aż tyle czasu, ale nie polubiła go przez to ani trochę bardziej.

– Coś w rodzaju szefa wszystkich szefów. Bez jego wiedzy nic się w tym kraju nie wydarzy i w każdej dużej transakcji macza palce. Azazel był z nim w dobrych stosunkach, ale widocznie coś się popsowało. Te wyłączone kamery tuż przed jego przyjazdem...

– El Gris to nazwisko?

– To znaczy „szary”, bo zawsze się tak ubiera. Gdybyś go kiedyś spotkała, uciekaj. Jeżeli jakaś kobieta mu się spodoba, nie przyjmuje odmowy, a kiedy mu się znudzi, to ją zabija – powiedział spokojnie, obojętnym głosem.

– Kopnięty psychopata!

Lucyfer z zadowoleniem pokiwał głową.

– Odwała za nas kawał dobrej roboty. Gdyby wziął ciebie, musielibyśmy go sprzątnąć, a tego nie chcemy. Jeszcze nie. Skąd wzięłaś broń? – spytał, przeskakując nagle na inny temat i wpatrując się w nią intensywnie swymi bladymi oczami.

– Z sejfu – odpowiedziała zaskoczona.

– Znasz szyfr?

Kiwnęła głową, bo do tego spokojnie mogła się przyznać. To żadna tajemnica, a poza tym i tak niczego ciekawego w nich nie było. Cienka biała koperta, którą miała teraz w staniku wraz z fałszywym paszportem i woreczkami biżuterii, nie wydawała jej się ważna.

Lucyfer przyglądał jej się, z pozoru obojętnie. Patrzyła w jego zimne oczy i nagle zrozumiała, że to jakaś rozgrywka, której zasad nie zna. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli opuści wzrok, to przegra. Wpatrywała się w niego, starając się nawet nie mrugać i powoli obracała w palcach pusty kieliszek. W końcu odstawiła go na stół,

mając nadzieję, że sprowokuje tym diabła, by dolał jej wina. Trudno to zrobić, nie patrząc, ale Lucyfer tylko leciutko uniósł jeden kącik ust, dając jej do zrozumienia jak bardzo bawią go jej wysiłki. Mieli szansę tak siedzieć, aż do jej głodowej śmierci, bo poddać się nie miała zamiaru, ale zabawę przerwał dźwięk telefonu. Lucyfer położył palec na ustach nakazując jej ciszę i podniósł aparat do ucha, odwracając wzrok od dziewczyny.

– Tak, mam chwilę. Mów... Wiem, że nie działają, sam je zablokowałem... Powiedz Belzebubowi, że nie odblokuję, póki nie opanujemy tu sytuacji. VIPy mają swoje, ale uprzedź ich, że sprawdzę wszystkie przypadki użycia... Znaleźli je? Dobrze. Oddzwonię.

Popatrzył na Duszczykę spod oka, odkładając telefon na stół.

– Znaleźli dwa sejfy w zgliszcach. Są ognioodporne. Chwilowo nie mogą nam ich dostarczyć, więc muszą otworzyć na miejscu. Podaj mi szyfr – powiedział rozkazująco, sięgając po notes.

– Nie – oznajmiła krótko Duszczyka, wygładzając fałdy na sukience. Alarm w jej głowie był na pełny regulator. Wiedziała już, po co ta kolacja.

Lucyfer spojrział z niedowierzaniem. Pierw-

szy raz od stuleci ktoś mu się sprzeciwił i to go całkowicie zaskoczyło. Ku zachwytowi Duszyczki wreszcie okazał jakieś emocje, nawet jeśli tylko przez ułamek sekundy.

– To sejfy Azazela. Jak będzie chciał, to ci powie, a jak nie, to nie. – Starła się mówić spokojnie. – Ja mogę cię tylko poinformować, że jeden był całkiem pusty, a w drugim była broń, trochę mojej biżuterii i trzy paszporty Azazela, ale nie zwróciłam uwagi na jakie nazwiska.

– Szukamy dokumentu... – zaczął spokojnie.

– W sejfach nic więcej nie było. Ten twój dokument mógł być w biurku, albo Azazel go spalił w kominku – rzuciła z zadowoleniem. Sama nie wiedziała czemu, możliwość zniszczenia rzeczy poszukiwanej przez Lucyfera sprawiła jej frajdę. – Jak mi nie wierzysz, to niech twoi chłopcy się do nich włamią. Ja wam nic więcej nie powiem. I czemu nie szukasz Azazela? – pozwoliła, żeby w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

Lucyfer wstał, jak zwykle nie okazując żadnych emocji, wyszedł do drugiego pokoju i po chwili wrócił, niosąc w rękach dwie blond peruki.

– Wybierz jedną i załóż, bo muszę wyjść w sprawie twojego kochasia, a samej cię tutaj nie zostawię. Ta z lokami zasłoni ci twarz i przy-

najmniej na pierwszy rzut oka będziesz wyglądać inaczej. W łazience znajdziesz niebieskie soczewki.

Duszczycka uznała, że w tym wydaniu wygląda teraz jak cukierkowa kretyńska w loczkach, ale przynajmniej kolorystycznie była całkiem inna. Grzecznie zjechała z Lucyferem prywatną windą do hotelowego lobby, skąd diabeł poprowadził ją do kasyna w podziemiach. Czowała, jak jego szponiaste palce nabijają jej siniaki na ramieniu, ale za żadne skarby nie przyznałaby się, że ją to boli. Przy wejściu wręczył jej wyjętą z kieszeni garść żetonów.

– Zostawię cię na chwilę. Możesz przepuścić wszystko. Nawet będzie dobrze, żebyś to zrobiła. Bywam tu czasem z różnymi paniami – wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie. – Lubię się bawić w kasynie na mój koszt. Wszyscy w hotelu o tym wiedzą.

– Mogę w pokera?

Lucyfer z pewnym roztargnieniem skinął głową. Było mu obojętne na co kobieta Azazela przepuści jego pieniądze. Skinął na jednego z kręcących się po sali detektywów i Duszczycka została zaprowadzona do niewielkiej salki, gdzie za stołem siedziało pięciu mężczyzn. Nie od razu usiadła na wolnym krześle. Stała przez kwadrans, obserwując graczy, odmianę pokera,

w którą grali i, co najważniejsze, wartości żetonów. Nie miała zielonego pojęcia ile pieniędzy Lucyfer postanowił przegrać jej rękami, ale przynajmniej teraz wiedziała które żetony są najwięcej warte.

Gdy zwolniło się jedno miejsce, Duszczyka usiadła, uśmiechnęła się do mężczyzn na powitanie i metodycznie ułożyła przed sobą kupkę żetonów według kolorów. Gracze popatrzyli na nią i z pobłażaniem skinęli głowami. Kobieta przy zielonym stoliku była, w ich mniemaniu, skazana na pożarcie, ale skoro ktoś płacił za taką rozrywkę, byli gotowi pomóc jej się rozstać z gotówką. Nie wiedzieli jeszcze, że największą życiową pasją Duszczyki był poker. Nauczyła się grać jako dziecko i ku zdziwieniu jej samej i wszystkich ludzi, którzy mieli pecha z nią zagrać, przy stole przestawała być emocjonalną dziewczyną, a stawała się beznamiętną maszyną do liczenia i kalkulacji ryzyka.

Kiedyś, na początku ich wspólnego życia, w wolny wieczór Azazel zaproponował rozbieganego pokera. Przystała na to z entuzjazmem. Po godzinie Azazel siedział bezbrzeżnie zdumiony i goły jak święty turecki, a Duszczyka, kompletnie ubrana, tyle że bez butów, bezlitośnie go ogrywała. Ku jej żalowi, nigdy więcej nie usiadł z nią do stolika, ale czasem zabierał ją do

jakiegoś kasyna, co zapewniało obydwójgu godziwą rozrywkę i znaczny zastrzyk gotówki „na waciki”.

Teraz dwa pierwsze rozdania przegrała gładko, choć niezbyt wysoko, co tylko upewniło graczy, że jest zwykłym mięsem armatnim. Przy trzecim zaliczyła bardzo wysoko i nie tylko się odegrała, ale wyszła na niewielki plus. Uznano to za szczęście początkującego i nadal nie traktowano jej poważnie.

Czas płynął, pokerzyści przy stoliku zmieniali się, przed grającą jak maszyna Duszyczką rosła sterta żetonów i wraz z upływem nocy zaczęły się pojawiać czeki i weksle od mężczyzn stawiających zbyt wiele, żeby się odegrać. Akceptowała wszystkie, nawet te przypuszczalnie bez pokrycia, bo interesowała ją zabawa, a nie zysk. Miała tylko jednego dobrego przeciwnika, który siedział prawie naprzeciwko i grał równie odważnie i bezwzględnie, a jednak jego wygrana była bez porównania niższa.

Kasyno przysłało swoich detektywów, którzy sprawdzali, czy gra jest uczciwa, ale Duszyczka nie stosowała żadnych oszukańczych chwytów i nie mieli się do czego przyczepić.

Pokój zapełniał się publicznością, bo wieść o nieprawdopodobnym szczęściu jakiejś dziewczyny szybko się rozeszła i w spokojnej począt-

kowo sali zebrało się sporo ludzi. Duszczyka nawet ich nie zauważyła, grając jak w transie, gdy nad uchem usłyszała syczący szept.

– Co ty wyprawiasz? Zwariowałaś?

Żelazna dłoń Lucyfera złapała ją za ramię z taką siłą, jakby chciał je urwać. Podniosła głowę, obrzuciła spojrzeniem pokój pełen ludzi. Dopiero teraz wróciła do rzeczywistości i zdała sobie sprawę, że stała się ośrodkiem zainteresowania. Podniosła się natychmiast, odkładając karty.

– Przepraszam. Zagapiłam się. Dziękuję panom za grę – uśmiechnęła się do obecnych.

Wokół stołu rozległy się głosy dezaprobaty dla Lucyfera, który psuł publiczności zabawę, a Duszczyka posłusznie próbowała zebrać w garść żetony. Było tego o wiele za dużo i diabeł skinął na jednego z detektywów.

– Proszę dostarczyć wygraną do biura kasyna – rzucił mu przez ramię i wyprowadził z sali potykającą się o własne buty Duszczykę. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na stojącego z tyłu krótko ostrzyżonego, barczystego mężczyznę o wyglądzie knajpianego wykidajły. Cały czas przyglądał się dziewczynie i wyszedł za nimi, gdy tylko się upewnił, że go nie zauważą.

– Jak ty to robisz? – spytał Lucyfer, gdy weszli do głównej sali kasyna. Jego ton był ostry

i nieprzyjemny.

– Nie wiem, po prostu gram – powiedziała zakłopotana. – Jakoś tak mam.

– Nie o to mi chodzi. Pytam jak ty to robisz, że zawsze ściągasz na siebie uwagę. To głupie.

Bezradnie rozłożyła ręce, bo co właściwie mogłaby mu powiedzieć.

Detektyw z torbą żetonów dogonił ich w drzwiach biura. Ilość gotówki w wysokich nominałach na jaką je wymieniono, wprawiała Duszyczkę w zdumienie. Popatrzyła na Lucyfera przeprasząco, ale diabeł tylko wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Pieniądze wraz z czekami spakowano do płóciennej torby, którą dziewczyna powiesiła na ramieniu, bo Lucyfer, nadal niezadowolony i pragnący ją ukarać, odmówił pomocy w tej sprawie. Chciała mu oddać jego cześć wygranej, ale tylko popatrzył z politowaniem, jakby była kompletnym półgłówkiem, ale z uprzejmości nie chciał jej tego powiedzieć wprost.

– Poczekaś tutaj chwilę. Zaraz wracam. – Posadził ją w lobby i odszedł.

Larden usłyszał jęk swojego więźnia i szybko usiadł. Czuł się zupełnie dobrze i wreszcie mógł się nim zająć. Podeszedł i wyjął mu knebel z ust.

– Czego chcesz?

– Siku – zacharczał więzień. Poparzone ciało bolało go straszliwie.

– Lej w spodnie – ucieszył się Larden.

– Kim jesteś?

– Twoim nieszczęściem. Zaczynajmy. Dla kogo pracujesz?

– Gównu ci powiem.

– Próbujesz się stawiać? Zanim z tobą skończę, będziesz błagał, żebym cię wrzucił do wulkanu. Oszczędź sobie bólu. Masz takie ładne paznokcie – powiedział łagodnie, stając za więźniem i wepchnął mu szmatę do ust, żeby stłumić krzyki.

Gdy na świecie zrobiło się jasno, zawlókł głębiej w las krwawy strzęp, w jaki zamienił się ochroniarz i porzucił niedaleko mrowiska. Teraz trwał wyścig między żarłocznością mrówek, a tempem regeneracji storturowanego diabła. W końcu mu się uda, ale to będzie bardzo długo trwało.

Larden wiedział już wszystko, co powinien i jego pierwszy nauczyciel, Eskenezer, mógł być z niego dumny. Pozbawiony ciężaru, ruszył biegiem przez las na południe, w stronę drogi.

Duszczyka czekała w hotelowym lobby na powrót Lucyfera, a czas dłużył jej się straszliwie. Ziewała rozdzierająco, zmęczona przeżyciami

i tego dnia i poprzednich, a personel zaczynał jej się przyglądać. Bez karty magnetycznej do windy nie mogła wrócić do apartamentu i bała się, że recepcjoniści wyrzucą ją na ulicę, jeśli zaśnie w fotelu. Lobby pustoszało coraz bardziej i w końcu była jedyną czekającą tu osobą. Znów zwracała na siebie uwagę, choć tym razem całkowicie nie ze swojej winy. Nie wiedziała, co robić. Obrzuciła lobby ponurym spojrzeniem i chcąc ludziom zejść z oczu przynajmniej na chwilę, ruszyła do korytarzyka, w którym mieściły się toalety.

Gdzie jest cholerny Lucyfer? To jakaś epidemia z tym znikaniem.

Zamyślona weszła do łazienki. Gdy tylko przestąpiła próg, czyjaś silna ręka objęła ją w pól, ściskając jak imadło, a ogromna dłoń zasłoniła jej nie tylko usta, ale pól twarzy. Próbowała walczyć, ale została uniesiona w górę i wepchnięta do kabiny.

– Uspokój się! Nic ci nie zrobię! – szeptał ktoś pospiesznie, prosto do ucha, zatrzaskując kopniakiem drzwi.

Duszczyka kiwnęła głową. Niechby sobie zabrał pieniądze, zawsze może wygrać więcej. Napastnik nie złapał jednak za torbę z forszą, czego się spodziewała.

– Przestań się wyrywać! To ja, Velar. Pamięć-

tasz mnie?

Mężczyzna trzymał ją tak mocno, że nie była w stanie nawet nabrać powietrza. Zaczynała się dusić. Pokręciła głową, próbując poluzować uścisk, żeby złapać oddech, ale napastnik źle ją rozumiał.

– Nic ci nie zrobię. Uspokój się! – szeptał gorączkowo.

Stała przyciśnięta do niego w ciasnej kabinie i niezdarnie próbowała się uwolnić, ale równie dobrze mogłaby walczyć ze stalowym imadłem.

– Puszczę cię teraz. Nie będziesz krzyczeć?

Przed oczami miała wirujące czarne plamki. Obiecałaby mu nawet gwiazdkę z nieba, byle znów móc oddychać. Pokręciła głową, na ile pozwalał jej silny uchwyt. Mężczyzna zdjął rękę z jej twarzy. Gwałtownie wciągnęła powietrze, ale natychmiast zasłonił jej usta ponownie.

– Mówiłem, nie krzycz! – szepnął, odwracając ją przodem do siebie, ale nadal przygniatając przedramieniem do ściany. – Popatrz na mnie! Jestem Velar. Pamiętasz? Uratowałeś mi kiedyś tyłek w koszarach Azazela...

Kiwnęła głową. W obecnej sytuacji potwierdziłaby wszystko. Odsunął rękę od jej twarzy i wreszcie mogła oddychać. Patrzyła na niego i choć pamiętała imię, twarz niewiele jej mówiła. W jej opinii, mnóstwo diabłów było tak

do siebie podobnych, jakby wyszli spod jednej sztancy.

– Wyglądasz inaczej – mruknęła wrogo, odychając głęboko, na zapas. Nadal się go bała, a w ciasnocie kabiny była bez szans na ucieczkę.

– Wtedy byłem łysy i nie miałem garnituru. Ale powiem ci coś, co wiesz tylko ty i ja – szeptał pospiesznie. – Uderzyłem cię lufą karabinu, kiedy szłaś do Belzebuba i o mało nie upadłaś, pamiętasz? Obroniłaś mnie potem przed gniewem Azazela, jak skłamałaś, że nic ci nie zrobiłem. Widziałem cię też w kryjówce na śmietniku, ale nie powiedziałem nikomu.

Kiwnęła głową, nieco tylko uspokojona. Facet istotnie był tym, za kogo się podawał, ale to jeszcze nie przesądzało o jego dobrych zamiarach.

– Nie możesz tu zostać. Widziałem jak grałaś w kasynie. Obserwowały cię diabły, których nie powinno tam być. Dzieje się coś dziwnego. Uciekaj!

– Nie mam dokąd – szepnęła gniewnie. – Nie wiem gdzie jestem, nie wiem gdzie jest Azazel, a Lucyfer o mnie zapomniał. Kanały nie działają i nie mam jak, ani z kim, wrócić do piekła. Nie wiem nawet niby czemu mam akurat tobie zaufać.

– Bo jestem ci coś winien i muszę to spłacić.

Inaczej stracę honor. Wyprowadzę cię stąd, ale musimy się pospieszyć. Już się rozeszło, że Lucyfer przyprowadził jakąś kobietę, która umie grać w pokera i to na ostro. Pasuje do ciebie i ktoś przyjdzie to sprawdzić. Nie wiem, kto cię szuka i po co, ale chłopaki, którzy byli w kasynie... Znam ich. Lepiej, żeby akurat oni cię nie znaleźli – mówił gorączkowo.

Duszczyka zdjęła perukę i potrząsnęła włosami. Nadal nie była przekonana, czy ma uciekać i niby dokąd. W ogóle nie wiedziała co ma myśleć. Velar wziął ją za rękę i wyprowadził z kabiny.

– Zrobimy tak – powiedział, kładąc jej dłoń na ramionach. – Zajrzyj do lobby. Jeżeli Lucyfer już jest, idź do niego, jeżeli nie, lepiej uciekaj. Poczekał tu. – Stał obok wyjścia, opierając się plecami o kafelki.

Duszczyka powoli i z wahaniem otworzyła drzwi na korytarz i ostrożnie wystawiła głowę akurat w samą porę, żeby zobaczyć mężczyznę, który szedł przez lobby. Widziała jego twarz za ledwie przez moment zanim zniknął jej z pola widzenia, ale poznała go natychmiast i poczuła, że z wrażenia zaczyna się dusić. To on wysiadł razem z El Grisem z limuzyny tego dnia, w którym zniknął Azazel. Gwałtownie cofnęła się do toalety, wpadając na Velara i oparła się

o drzwi. Serce waliło jej w gardle i była pewna, że za chwilę upadnie.

– Co jest?

– Ten facet!

– Jaki facet?

– Widziałam go wcześniej! Jest stąd jakieś tylne wyjście? – pytała w panice. Nie miała ochoty czekać, aż w ślad za ochroniarzem El Grisa zjawi się kurdupel z uzi. Velar, zadowolony, że wreszcie może działać, włożył jej na głowę swoją besbolówkę i naciągnął daszek na twarz.

– Tu wszędzie są kamery, twarze musimy schować. Mam dla ciebie strój sprzątaczkii, świ-
snałem ze schowka, na wszelki wypadek. Roz-
miar trochę nie bardzo chyba... – powiedział z wahaniem, gdy Duszczyka wzięła ubranie w ręce i popatrzyła niepewnie. – Tylko taki znalazłem, spieszyłem się.

W gorączkowym pośpiechu, drżącymi rękami zapięła na sobie granatowy uniform. Torbę z pieniędzmi powiesiła na szyi i upchnęła pod spodem. Wyglądała teraz jak ciężarna sprzą-
taczka w nedorzecznie kosztownych szpilkach.

– W końcu się połąpią, ale na jakiś czas ich zmylimy. Cały czas trzymaj głowę w dół! – Velar wyszedł z toalety i pociągnął Duszczykę w lewo, w głąb korytarza, skąd przez wąskie drzwi przeszli do części dla personelu. Trzymając się za

ręce uciekali betonowymi schodami do piwnic, gdzie w długim korytarzu pod niskim sufitem biegły rury i grube wiązki kabli. Duszczyka potykała się w zbyt dużych butach, ale strach dodawał jej skrzydeł. Velar otworzył stalowe drzwi na słabo oświetlony parking dla personelu i chwilę później biegli w drobnym deszczu ciemną, boczą uliczką, przeskakując kałuże.

Lucyfer zjawił się w hotelu blisko pół godziny później, mocno zniecierpliwiony niespodziewaną zwłoką. Rozejrzał się po przestronnym lobby w poszukiwaniu pozostawionej tu Duszczyki, obszedł je, zaglądając w boczne korytarze, zanim podszedł do recepcji. Personel zgodnie twierdził, że owszem, taka pani tu była, ale patrzyli na siebie bezradnie, gdy pytał, dokąd poszła. Nikt nawet nie zauważył kiedy zniknęła. Wyraz twarzy Lucyfera nie zmienił się ani na jotę, a jednak recepcjoniści poczuli, że cierpnie im skóra. Wezwany natychmiast szef ochrony zaprosił diabła do sali monitoringu, gdzie zaczęto przeglądać zapisy z kamer. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że gość o takiej zasobności portfela, jak señor Fuentes, szukający zaginionej kuzynki ma dostać wszelką możliwą pomoc.

Zapis z lobby pokazywał Duszczykę w blond loczkach i niebieskiej sukience siedzącą na fo-

telu i wyglądającą na zniecierpliwioną. Majtała stopą w powietrzu, bębniła palcami po oparciu, rozglądała się. W pewnym momencie wstała, weszła do korytarza z toaletami i już nie wróciła, za to ledwie chwilę później zaskoczonemu Lucyferowi ukazał się podchodzący do recepcji El Gris ze swoim ochroniarzem. Mózg diabła zaczął pracować szybciej. Zastanawiał się, czy dziewczynę zawołał ktoś dobrze zorientowany, czy po prostu miała takie nieprawdopodobne szczęście. A może właśnie zupełnie ją opuściło?

Natomiast szef ochrony zainteresował się ciężarną, ciemnowłosą kobietą w uniformie sprzątaczkki, która na innym filmie wychodziła przez parking dla personelu wraz z barczystym mężczyzną w garniturze. Oboje trzymali głowy opuszczone, ukrywając twarze.

– Nikt taki dla nas nie pracuje. Czy to może być pańska kuzynka?

– W żadnym wypadku – skłamał gładko Lucyfer. Zastanawiał się kto wyprowadził nieufną przecież Duszyckę z hotelu, skoro Azazel zniknął, a Eskenezzer siedział w piekle. Z nikim obcym by nie wyszła, a najwyraźniej zrobiła to dobrowolnie. – No cóż, dziękuję panu za pomoc. Kuzynka zapewne lada chwila się znajdzie. Proszę mi przegrać filmy z ostatnich godzin ze wszystkich kamer i zostawić płytę w recepcji.

Przyślę kogoś po nią.

– Oczywiście, natychmiast. Żałuję, że mogę być bardziej pomocny, señor Fuentes – szef ochrony uklonił się przesadnie głęboko w nadziei uratowania stanowiska, ale Lucyfer zdążył już wyjść. Na korytarzu wyjął telefon do szyfrowanych połączeń.

– Sprawdź mi natychmiast kto z naszych pracował w moim hotelu dziś w nocy i kto nie miał służby, a przyszedł się zabawić. Przyślij dane na telefon.

Wolnym krokiem przeszedł przez puste lobby, do którego świt zaglądał przez ogromne okna i stanął przed swoją prywatną windą. Powoli przyłożył kartę do czytnika i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Lucyfer wcisnął guzik jazdy w górę i szybko się cofnął. Zanim drzwi ponownie się zamknęły i winda poszybowała na najwyższe piętro, diabeł już zniknął w tym samym korytarzu, przez który uciekła wszystkim Duszycka. Szybko przeszedł trasę, jaką musiała pokonać dwójka zbiegów, żeby dostać się na parking, ale nie znalazł żadnych śladów. W gruncie rzeczy wcale się ich nie spodziewał. Robił to dla porządku.

Stał na mokrym chodniku w bocznej uliczce i zastanawiał się w jaki sposób najszybciej znaleźć tę cholerną kobietę Azazela, która zniknęła

równie tajemniczo jak jej kochanek, gdy powietrzem wstrząsnął huk wybuchu. Lucyfer odruchowo odskoczył pod ścianę, szukając osłony, gdy z nieba zaczęły spadać płonące szczątki, gruz i miliony kawałków szkła. Tuż przed nim na mokrym chodniku dogasała na wpół spalona bluzka, którą Duszczyka miała na sobie kilka godzin wcześniej. Popędził długimi susami w stronę wylotu uliczki i spojrzał na front hotelu. Całe górne piętro, jego piętro, a raczej to, co się z niego jeszcze zachowało, stało w ogniu. Patrzył z niedowierzaniem, bo odkąd powstało piekło nikt nie powążył się zaatakować samego Lucyfera.

– Zobacz co się stało z apartamentem w moim hotelu. Zaraz będę w swoim centrum, prześlij mi filmy. Niech nasi chłopcy pójdą ze strażakami i dokładnie wszystko sprawdzą. Z mikroskopem – rzucił krótko do słuchawki i zniknął z ulicy. Teraz priorytetem był wybuch i tym mógł się zająć najlepiej ze swojej tajnej kwatery. Zbiegłą Duszczyką zainteresuje się w swoim czasie.

Tymczasem Duszczyka, ciągnięta za rękę przez Velara, biegła przez wyludnione o tej porze miasto ile sił w nogach. W człapiących butach, na mokrym i nierównym chodniku starała się jak mogła. Diabeł, nienawykły do opieki nad

ziemskimi kobietami, wydawał się zniecierpliwiony jej powolnością i ponaglał ją co chwile. Gdy już była przekonana, że lada moment umrze z wysiłku, Velar zarządził przerwę. Błyskawicznie włamał się do pierwszego lepszego samochodu stojącego w słabo oświetlonym miejscu i wepchnął Duszyczkę do środka. Miała wrażenie, że pękną jej płuca i dyszała, jak maratończyk po biegu, co diabeł odnotował ze zdziwieniem. On sam nie miał nawet lekkiej zadyszki.

– Eskenezer miał rację. Nie będzie ze mnie komandosa – stwierdziła urywanym głosem.

– Szef ma zawsze rację – potwierdził z szacunkiem.

– Nadal pracujesz dla Azazela?

Velar kiwnął głową, choć nie był pewny czy po dzisiejszym uprowadzeniu kobiety szefa będzie jeszcze miał okazję pracować dla kogokolwiek. Jak się okazywało, honor miał swoją cenę.

– Co właściwie robiłeś w damskiej toalecie?

– Czekałem na ciebie, a wcześniej obstawiałem hotel. Kilka dni temu przywiozłem do miasta Rożę, bo dostała od niebieskich pozwolenie na powrót, żeby załatwić jakąś nieuporządkowaną sprawę, co to nie zdążyła przed śmiercią. Nie wiem po co, bo to było czterdzieści lat temu, no ale widać musiała.

– Roza tu jest? Świetnie! Mogę się z nią zobaczyć?

– No, nie bardzo... Ma surowy zakaz kontaktowania się z ludźmi, oprócz tych, na których ma pozwolenie.

– Ja nie jestem człowiekiem... znaczy chyba nie? Sama nie wiem kim jestem – nachmurzyła się Duszczyka.

– Dziwnie wyszło z Rozą – zamyślił się Velar.

– Czemu dziwnie? – zainteresowała się.

– Może ty coś z tego zrozumiesz. Jestem tylko żołnierzem czwartego szeregu i myślenie nie leży w moich obowiązkach. – Velar rozejrzał się po okolicy i uspokojony bezruchem świtu ciągnął dalej. – Przywiozłem ją kilka dni temu zwykłym kanałem. Mogę podróżować tylko zwykłymi. Jak załatwiła, co miała załatwić, chciałem ją zabrać z powrotem, ale kanały się zepsuły. Skoro już tu byłem i musiałem czekać, to mi kazano pracować przy obstawie w hotelu, bo jakoś tak wyszło, że ludzi do roboty zabrakło. W sumie logiczne, byłem wolny.

Usłyszeli jakby odległy wybuch, a chwilę potem dalekie pojękiwania karetek. Żadne z nich nie zwróciło na to większej uwagi. Velar ciągnął, strapiiony:

– Kanały ruszyły, jak byłem na służbie, to nie mogłem Rozy zabrać od razu i znów stanęły

dziś, kiedy skończyłem całodobowy dyżur w hotelu. Nie mogę się stąd wynieść, a ona nie może wyjść z naszego hoteliku.

– Zabierz mnie do niej.

Velar energicznie pokręcił głową.

– Absolutnie nie. To nie miejsce dla kobiety szefa, absolutnie. To nora, bo mamy bardzo skromny budżet. Miał być jeden dzień, a siedzimy już kilka i chcą nas wyrzucić, bo nie mamy czym płacić. Jutro muszę okraść jakiś sklep – uśmiechnął się z zadowoleniem.

Duszyczka pokręciła głową z dezaprobatą. Sięgnęła pod uniform i na chybił trafił wyłowiła z przepastnych głębin swojej niby ciąży plik banknotów opasany banderolą. Nie miała pojęcia ile są warte.

– Na jak długo to wystarczy? – Podąła pieniądze diabłu, który popatrzył ze zdziwieniem, a potem odsunął jej rękę.

– Za to można wykupić kilka takich hoteli na cały rok i jeszcze sporo by zostało, ale nie wezmę od ciebie pieniędzy, bo szef mnie każe osmagać.

– Weź. Wystawisz mi potwierdzenie, a po powrocie pošlę je księgowemu Belzebuba. – Rzuciła mu plik na kolana, uśmiechając się na myśl o wkurzeniu Władcy.

– Myślisz, że tak będzie dobrze?

– Na pewno. W razie czego zwał na mnie. Zabierz stamtąd Rozę, póki jest mało ludzi na ulicach i znajdziemy jakieś spokojne miejsce dla nas trojga, póki się nie połapiemy o co chodzi i co z tym fantem robić dalej.

Velar z namysłem pokiwał głową. Był zadowolony, że znów ktoś myśli za niego. Sięgnął pod kierownicę i złączył przewody. Silnik zaskoczył i zanim Duszczyka zdążyła zaprotestować, bladym świtem jechała przez miasto kradzionym samochodem. Tego jeszcze w jej przestępczej karierze nie było.

– Gdzie właściwie jest ten hotel?

– W niebezpiecznej dzielnicy.

– I zostawiłeś tam Rozę samą? – zdumiała się.

– Przecież jej nie zabiorę ze sobą! Jest duchem. Nic jej nie będzie. Zamknąłem ją na klucz.

– Matko moja! A jakby się paliło?

– Czemu zaraz ma się palić? A jej nie wolno się kontaktować z ludźmi, mówiłem ci.

– A jakby pokojówka przyszła sprzątać?

– Że kto? – Velar odwrócił głowę i zdumiony wpatrywał się w Duszczykę.

– Patrz na drogę! – krzyknęła. Diabeł jechał przez miasto jak wariat, a teraz jeszcze na ślepo. – Zawsze tak prowadzisz samochód?

– Wcale nie prowadzę. Nie mam prawa jazdy. Od jeżdżenia są kierowcy, a ja jestem od bicia.

– Matko moja jedyna – mruknęła Duszczycka, kolejny raz wzywając rodzicielkę. Jej niezysająca od lat matka musiała mieć teraz straszną czkawkę. – To co z tą pokojówką?

– Tam nie ma pokojówek. Nasza nora ma dwa na trzy metry i mieści się w niej umywalka, łóżko i stado karaluchów. Kibel w korytarzu, wiecznie zajęty, a na schodach zdychają narkomani.

Duszczycka otrząsnęła się. Velar zjechał w boczną ulicę i zatrzymał samochód.

– Poczekasz tu chwilę, kobieto Azazela. Trzymaj głowę nisko, a najlepiej, żeby cię w ogóle nie było widać.

Velar wyskoczył z samochodu, przebiegł kilkanaście metrów i zniknął w drzwiach obskurnego hoteliku po drugiej stronie ulicy. Napis nad drzwiami głosił „Habitaciones por horas”.

– Pokoje na godziny? – westchnęła Duszczycka.

Lucyfer z ulgą wszedł do swojego centrum komunikacji ze światem i włączył monitor do rozmów z zaufanym asystentem.

– Czego się dowiedziałeś?

Na ekranie ukazała się pyzata twarz Gerebana. Wyglądał, jak zawsze, na przyszczatego nastolatka o przyciężkim umyśle, gdy w rzeczywistości niewiele ustępował inteligencją szefowi, a co więcej umiał myśleć w podobny sposób. Lucyfer przechylił głowę i przez moment patrzył na twarz diabła w monitorze. Gdyby miał zorganizować bunt przeciwko sobie samemu, musiałby pozyskać Gerebana, wraz z jego wiedzą o operacjach piekielnych i geniuszem organizacyjnym.

– O, nie, nie! Nic podobnego! – Gereban odsunął się od monitora i podniósł dłonie do góry. – Nie wiem kto to panu podsunął, ale to nieprawda. Achilles sprawdza mnie co tydzień!

Lucyfer pokręcił głową. Jego asystent jak zawsze umiał zgadnąć o czym myśli. Szef tajnego wywiadu, kulawiec przezywany Achillesem, faktycznie tylko czekał na najmniejsze potknięcie Gerebana.

– Pytałem.

– Lista diabłów obecnych dziś w hotelu jest na pańskim telefonie, szefie, ale już wrzucam na monitor. Na czerwono zaznaczyłem tych, którzy pracowali dla Azazela w ciągu ostatnich pięciu lat. Dwóch nie ma pełnego alibi. Arrestes już został zatrzymany, kiedy wychodził z hotelu i zeznał, że był z jakąś dziewczyną, ale nie umie

podać ani numeru pokoju, ani nawet piętra. Chłopaki nad nim pracują. Przypomni sobie. Drugi to Velar, skończył służbę o północy, ale kręcił się jeszcze po kasynie, a potem zniknął. Powinien być w hoteliku na przedmieściu, ale nie odpowiada na wezwania. Już kogoś posłałem po niego.

– Co on tam robił? To nie nasza operacja.

– Były materac Belzebuba, Roza, dostała od niebieskich zgodę na załatwienie jakiejś sprawy i on ma jej pilnować. Kanały są zablokowane i nie może jej przywieźć z powrotem, więc czeka i dostaje przy okazji jakieś drobne zadania, żeby się nie marnował. Wczoraj obstawiał kasyno.

– Sprawdź co się dzieje w moim apartamencie.

Gereban odwrócił wzrok na inny monitor, słychać było stukot klawiszy i na jego twarzy odbił się czerwony odbłask.

– Pięknie się pali.

– Tyle to i ja wiem. Są nowe informacje o Azazelu?

– Zniknął. Pozwoliłem sobie spytać księcia Mefistofelesa, ale też go nie znalazł. Po jego kobiecie nadal nie ma śladu. W aucie, którym miała wyjechać z rezydencji nie było nikogo, na miejscu wybuchu też ani jednej spalonej kości. Zaraz zaczynamy przeszukiwać okolice. To

zwykła kobieta, bez przeszkolenia wojskowego, sama sobie w lasach nie poradzi. Szybko ją znajdziemy.

– Daruj sobie, tam jej nie ma. Pchnij kogoś do hotelu, niech odbierze płytę z mojej skrytki w recepcji. Obejrzyj filmy z monitoringu i powiedz mi co myślisz. Zanotuj wszystko, co zwróci twoją uwagę, nawet jeśli to tylko zadek kelnerki. Posadź wszystkich sensownych chłopaków i niech rozpracują El Grisa. Ale teraz naprawdę w szczegółach. Na razie wszystko. – Lucifer przewał połączenie.

Na dworze było teraz zupełnie jasno i ulice zaczynały obsychać po nocnym deszczu. Wokół kręcili się już ludzie, ale nikt nie zwracał uwagi na ciemnowłosą dziewczynę w bejsbolówce, siedzącą w zdezelowanym, szarym Fordzie. Zza rogu wyszedł niespiesznym krokiem patrol wojskowy z długą bronią. Duszyczka skuliła się na siedzeniu i wpatrywała w nadchodzących żołnierzy, próbując rozpoznać zagrożenie, ale z tej odległości nie umiała określić czy to ludzie, czy diabły przysłane po nią, albo po Velara. Ich opalizujące słoneczne okulary skutecznie ukrywały oczy, nadając im wygląd groźnych owadów.

Mężczyźni podeszli bliżej spokojnym, kołyszącym krokiem, bez większego zainteresowa-

nia rozglądając się po przechodniach i obojętnie lustrując nieliczne samochody. Najwidoczniej z ich punktu widzenia wszystko na ulicy było w porządku, a i oni też nie wzbudzali w nikim niepokoju. Duszyczka z ulgą uznała żołnierzy za zwykły wojskowy partol, który w tej części świata wydawał się wszystkim czymś normalnym. Obaj minęli hotel na godziny nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem i bez pośpiechu szli wspinającą się na wzgórze ulicą. Duszyczka odprowadzała ich wzrokiem, póki nie zniknęli za najbliższym rogiem. Wychodzące zza budynków słońce zaczynało jej świecić w oczy.

Naciągnęła czapkę głębiej na czoło, gdy tylne drzwiczki otworzyły się gwałtownie i ktoś został bezceremonialnie wepchnięty do auta, a na miejsce kierowcy wskoczył paskudnie przeklinający Velar.

– Leżą, mendy, jak za pogrzebem – burknął, sięgając do przewodów pod kierownicą, żeby włączyć silnik. Duszyczka odwróciła się, żeby zobaczyć kogo diabeł z takim impetem wepchnął do auta, gdy nagle jego potężne ramię pociągnęło ją w dół, a Velar nakrył ją sobą.

– Roza, padnij! – krzyknął. Duszyczka poczuła za plecami jakiś ruch. Leżała z twarzą przyciśniętą do uda Velara. Właściwie to miejsce nie było już udem, ale nie chciała o tym my-

śleć. Jeżeli ktoś powie Azazelowi, oboje z Velarem będą martwi. I to całkiem.

– Przyjechali po nas – mówił diabeł gorączkowo, unosząc głowę na tyle, żeby obserwować sytuację znad krawędzi przedniej szyby. Z zewnątrz dobiegało trzaskanie drzwiczek. – Nie ruszać się! Dwa diabły i jakiś facet poszli na górę, jeden został w aucie. Duży, czarny SUV. O kurwa!

Velar wyprostował się nagle, jednocześnie znów sięgając do kabli pod kierownicą. Silnik posłusznie obudził się do życia, ale jego warkot utonął w huku eksplozji. Z okien na drugim piętrze strzelały jęzory ognia, szkła i płonących szczątków. Duszyczce, która wreszcie mogła podnieść głowę, przemknęło przez myśl, że pewnie spadnie na nich deszcz zdechłych karaluchów, gdy czwarty diabeł wyskoczył z auta i wbiegł do płonącego hotelu. Velar wrzucił bieg, zawrócił na jezdni i odjechał, skręcając w najbliższą przecznicę.

– Znowu?! Te wybuchy się robią męczące! – jęknęła Duszyczka. Sięgnęła, żeby zapiąć pas bezpieczeństwa, o którym przypomniała sobie trochę poniewczasie, ale jej ręka trafiła w pustkę. Pasa nie było. – Witaj Rozo – odwróciła się w stronę tylnego siedzenia. Przynajmniej nie musiała patrzeć na szaleńczy sposób prowadze-

nia auta przez Velara. Było jej już wszystko jedno kto będzie sprawcą kolejnej eksplozji, tym razem kończącej jej żywot.

– Witaj. – Była kochanka Belzebuba uśmiechnęła się spokojnie, jakby nic się nie stało. Jej burzliwe życie ziemskie i w zaświatach całkowicie uodporniły ją na jakiekolwiek niespodzianki. Wyglądała, jakby spotkanie z Duszczyką w kradzionym aucie w pełnym przemocy mieście Ameryki Południowej było najbardziej oczywistą rzeczą pod słońcem. – Cieszę się, że cię widzę.

Velar gwałtownie skręcił w wąską uliczkę starej dzielnicy przemysłowej, z rozpędem wjechał pomiędzy grożące zawaleniem rudery i ostro zahamował. Przed wypadnięciem przez przednią szybę uratowała Duszczykę jego wyciągnięta ręka. Uderzyła o nią z impetem, jak o sękatą gałąź, znów nabijając sobie przez niego siniaka na piersiach. Ciekawe co Azazel tym razem na to powie. Siedząca z tyłu Roza wpadła pomiędzy fotele.

– Aż tak się spieszymy? – spytała spokojnie, gramoląc się z powrotem.

– Bardziej! Wysiadajcie. Prędko! – ponaglał je Velar, wyskakując z samochodu. Bez większego wysiłku wepchnął go w bujne chaszczce rosnące pod przerdzewiałym wiaduktem i nie

zawracając sobie głowy śrubokrętem, gołymi rękami oderwał tablice rejestracyjne.

– Trzymaj. – Podał je Rozie. – Wrzucisz po jednej do różnych studzienek.

Roza posłusznie kiwnęła głową i podeszła do Duszczyki. Ucałowała ją serdecznie.

– Nie miałam okazji ci podziękować, że wróciłaś do Azazela.

– Pogadacie po drodze. Musimy stąd zniknąć, zanim ktoś nas przyuważy. – Pchnął je w stronę wylotu ulicy i ruszył za nimi. – Wy przodem, dla bezpieczeństwa. Na razie nikt nie szuka dwóch kobiet.

– Nie masz mi za co dziękować. – Duszczyka ruszyła wyszczerbionym chodnikiem, potykając się w za dużych szpilkach. – Cholera, zabię się. Dopiero po fakcie dowiedziałam się, że mieliście z Belzebubem zakład czy wytrzymam z Azazelem trzy lata.

– Belzebub się ze mną założył. Ja tego nie chciałam, ale wiesz jak z nim jest...

Duszczyka pokiwała głową. Miała z Władcą do czynienia.

– Słyszałam, że cię sprzedał. To jakiś horror.

– Zgadza się. Kiedy uciekłaś Azazelowi, musiałam jechać do najgorszego burdelu w karnej kompanii. Mefisto mnie wykupił, ale kosztowało go to półroczny dochód z jego wytwórni ko-

niaku.

– Niewyobrażalna kwota. – Duszyczka prze-
rwała gwałtownie, potykając się na kolejnej
dziurze w chodniku. Odwróciła się do Velara.

– Są tu jakieś sklepy z butami?

– Coś ci potem zorganizuję, nie zatrzymuj
się – mruknął, rozglądając się na boki.

Roza schyliła się, żeby wrzucić pierwszą
tablicę rejestracyjną do studzienki i diabeł
z uznaniem popatrzył na jej wypiętą pupę. Po-
tem przeniósł wzrok na siedzenie Duszyczki
i poczuł się trochę nieswojo. Szedł z dwoma
spośród pięciu najbardziej wpływowych ko-
biet piekła i zaczynał zdawać sobie sprawę po
jak kruchym lodzie stąpa. Do tej pory przywykł
uważać istoty płci żeńskiej wyłącznie za przed-
mioty użytkowe czy ewentualnie dekoracyjne,
choć jego poczucie estetyki pozostawiało wiele
do życzenia. Konieczność traktowania Duszycz-
ki, a do pewnego stopnia i Rozy, z szacunkiem,
uważał za dopust. Nie był to wprawdzie dopust
boży, tylko belzebubi, ale to na jotę nie popra-
wiało sytuacji. Postanowił, że najlepiej będzie
odnosić się do kobiety Azazela jak do niego sa-
mego i ochota na klepnięcie jej w tyłek od razu
mu przeszła.

O ile Duszyczkę najbardziej martwiło to, że

nie wie, gdzie jest Azazel, o tyle on sam też nie wiedział, gdzie jest, ale akurat tym zupełnie się nie przejmował. Leżał bezpiecznie na czymś miękkim, co zapewne było taką samą różową chmurą, po jakiej biegła teraz przed nim Duszczyka. Nie pamiętał, co działo się wczoraj, ani przedwczoraj, wiedział tylko, że cały czas widział swoją kobietę i to go uspokajało. Bo gdzieś z tyłu głowy tkwiła myśl, że w tym wszystkim coś było bardzo nie w porządku.

„Dlaczego ona tak biegnie?” – zastanawiał się. Dziewczyna pędziła po chmurze coraz szybciej i szybciej, zataczając wokół niego wielkie koło. Kręciło mu się w głowie i nie mógł nadążyć za jej ruchem. Nagle zauważył, że ktoś ją goni, ale był zbyt daleko, by rozpoznać napastnika. Nie wiedział, czy ten ciemny kształt to człowiek, czy diabeł. Demon może? Przecież demony należały do niej, nie uciekałyby przed nimi. Próbował wstać i podbiec, ale nie mógł się ruszyć. Chciał krzyknąć, żeby się nie bała, że zaraz przy niej będzie, ale tylko zacharczał.

– Zrób z nim porządek – usłyszał i uspokoił się. Teraz już będzie dobrze, ktoś się tym zajmie i pomoże mu uratować Duszczykę. – Jeszcze ze dwa razy i mamy go z głowy. Zatańczy, jak mu zagramy.

Zanim różowa chmura znów podniosła się

i zawładnęła Azazelem, diabeł miał przerażający przeblask świadomości. Wiedział, że stało się coś strasznego i musiał natychmiast się zregenerować, żeby jego kobieta miała szansę przetrwać. Tu nie chodziło o niego, ale tylko i wyłącznie o nią. Wszystkie rezerwy organizmu zostały uruchomione i Azazel zaczął swój wyścig.

Lucyfer odwrócił wzrok na monitor, na którym ukazała się zmartwiona twarz Gerebana.

– Nienajlepsze wieści, szefie – powiedział asystent bez wstępów.

– Mów! – Lucyfer patrzył na niego pozornie obojętnie.

– Dorwali się do hotelu przed nami. Nie rozumiem skąd wiedzieli, żeby szukać Velara.

– Złapali go? Melduj po kolei.

– Nasi podjechali pod hotel, jeden został przy aucie, jeden w recepcji, a dwóch poszło na górę po Velara i Rozę. Wtedy w hotel trafiła rakietna ziemia-ziemia, jedna z tych najlepszych.

– „Młot Thora”?

– Tak, panie. W efekcie hotel właściwie przestał istnieć, bo został tylko parter z recepcją, a i to grozi zawaleniem. Kierowca wyszedł bez szwanku, ten, który czekał na dole jest lekko ranny, a dwóch, co poszli na górę, jest poważnie uszkodzonych i regeneracja zajmie sporo czasu.

Chłopaki zbierali ich do reklamówek.

– Velar i Roza?

– Nie wiadomo. Żadnych śladów po nich nie ma. Znaleźliśmy jeszcze kilka martwych dziwek z klientami. Też martwymi, zresztą. Nie wiemy ile ich było, bo ciężko je poskładać do kupy.

– Pełna identyfikacja kobiet jak najszybciej. Szczególnie zależy mi na określeniu czy miały blizny i tatuaże. Natychmiast!

Gereban na chwilę odwrócił wzrok na inny monitor, powiedział kilka słów do mikrofonu i szybko napisał coś na klawiaturze. Zdawał sobie sprawę, że zaginęła także kobieta Azazela, która miała na ręce podwójną bliznę po mieczu Gabriela i domyślał się, że szef jej szuka, ale nie skomentował tego w żaden sposób. Jego stanowisko dawało mu ogromny prestiż, ale też łatwo było spaść z tego stołka prosto do wulkanu i wyparować na zawsze.

– Raport ze zdarzenia gotowy?

– Na razie ustny. Mam numery rejestracyjne podejrzanego pojazdu. Szary ford stał przed wybuchem w pobliżu hotelu, a potem zniknął.

– Roześlij wszystkich, niech go szukają. Jakim sposobem tamci mogli trafić na Velara?

– Dwie drogi. Albo wiedzieli wcześniej gdzie się zatrzymali z Rozą, bo to nie była tajemnica, albo po sygnale gps z telefonu.

– Ten kretyn się go nie pozbył? Przypomnij mi, żebym po wszystkim skierował go do mieszania betonu głową.

– Ale dzięki temu wiemy gdzie jest. Przemieszcza się przez miasto i jak się tylko zatrzyma to go zgarniemy. Co mamy zrobić z Rożą?

– Kogokolwiek z nim zgarniesz, przyślij do mnie. Dotarły filmy z mojego hotelu?

– Przed chwilą. Sporo tego. Ładnych kilka godzin oglądania.

– To zaczynajcie – Lucyfer się rozłączył.

Hotelik wybrany przez Velara był niewielki, zaledwie dwupiętrowy, w spokojnej dzielnicy. Wydawał się dobrą kryjówką.

– Jeśli w recepcji jest kobieta, to ja negocjuję, a jeśli facet, to ty – powiedział Velar do Rozy. Duszyczkę, jako nie mówiącą po hiszpańsku, całkowicie pominięto. Zastanawiała się co można negocjować w hotelu, ale nie pytała. Może to jakiś lokalny obyczaj. Na świecie są różne dziwactwa.

Gdy weszli do środka, w wąskiej recepcji zastali za ladą starszego mężczyznę, który obrzucił ich uważnym spojrzeniem. Jego brwi zmarszczyły się z niechęcią na widok Velara, który w garniturze wprawdzie nie wyglądał na seryjnego mordercę, ale i tak nie wzbudzał zaufania.

Bez większego zainteresowania prześlizgnął się wzrokiem po Duszcycze, bo, chociaż ładna, nie wytrzymywała konkurencji z porywająco piękną Rozą, która wzięła na siebie ciężar negocjacji. Recepcjonista wprawdzie gapił się na nią z cielecym zachwytem, ale cały czas przecząco kręcił głową. Sprawy z jakiejś przyczyny nie posuwały się naprzód.

Roza uśmiechnęła się i nawet Duszcyczka, która знаła ją od dawna, spojrzała z zachwytem. Nieszczęsny recepcjonista, jako nieudoporniony, niemal zaczął świecić własnym światłem z zachwytem, że takie zjawisko zawitało do jego hotelu. Był wprawdzie gotów skoczyć za nią w ogień, o ile tylko reumatyzm by mu na to pozwolił, a jednak nadal kręcił głową. Roza posmutniała, jak dziecko, któremu zabrano zabawkę i wydawało się, że słońce zgasło. Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

– Co jest? – szepnęła Duszcyczka do Velara.

– Mówi, że szef każe płacić z góry za pokoje. Wyrzuci go z pracy, jeśli nas wpuści za darmo, bez zaliczki, nawet małej. Nie mamy kasy.

– Zapłać mu z moich – powiedziała Duszcyczka stanowczo. Miała dość chodzenia po mieście.

Velar próbował protestować, ale widząc morderczy wzrok Duszcyczki wzruszył ramionami. Wyjął z kieszeni plik banknotów i podał Rozie

jeden z nich. Recepcjonista uważnie i z wyraźnym niedowierzaniem obejrzał go pod światło, wyginał, patrząc pod różnymi kątami, aż wreszcie rozjaśnił się i zaczął trajkotać jeszcze szybciej, niż do tej pory.

– Mówi, że to za dużo za jedną noc, a nie ma jak wydać reszty.

– Niech ją sobie zatrzyma – mruknęła zmęczona Duszczyka. Dałaby drugie tyle, za spokojną kryjówkę.

Recepcjonista ponownie oszacował wzrokiem ich trójkę. Zorientował się, że to nie piękność, z którą rozmawiał jest tu ważna, ani nawet nie potężny, stojący z tyłu mężczyzna, tylko wyraźnie zmęczona dziewczyna w bejsbolówce.

– Daj mu jeszcze jeden banknot, żeby nikomu nie mówił, że tu jesteśmy. I niech wreszcie zaprowadzi nas do pokoju – wymamrotała Duszczyka.

Recepcjonista, nie zważając na swój reumatyzm i niemal frunąc na górę po schodach, zaprowadził ich do pokoju z oknami wychodzącymi na front hotelu. Pomieszczenie było niewielkie, z podwójnym łóżem, a także, co najważniejsze, z czystą łazienką. Kłaniając się w pas, wybiegł na korytarz, ale po chwili wrócił, taszcząc w objęciach niewielki telewizor, który postawił na niskim stoliku i podłączył do sieci.

Velar stanowczo złapał go za ramię i wypchnął za drzwi, zamykając je głośno.

Duszczyka zrzuciła z nóg szpilki i z ulgą padła na łóżko.

Larden jechał rozklekotaną ciężarówką w stronę miasta. Kierowca, który zabrał go ze stacji benzynowej chyba zaczynał żałować swojej decyzji. Był milczącym człowiekiem i nie odzywał się całą drogę, a jednak dało się wyczuć, że się boi. Miał siwiejący, kilkudniowy zarost i małe, czarne oczy ukryte pod krzaczastymi brwiami. Co jakiś czas zerkał na swojego pasażera i szybko odwracał wzrok. Kiedy zabudowania miasta zaczęły gęstnieć, Larden mruknął coś w podziękowaniu i wyskoczył z ciężarówki na pierwszych światłach. Kierowca opuścił szybę i splunął za nim na asfalt, ale diabeł nawet tego nie zauważył. Cieszył się, że mężczyzna był milczkiem. Czekał kilka godzin w krzakach przed stacją na odpowiednią osobę. Teraz z zadowoleniem rozprostował nogi i ruszył przez miasto. Miał przed sobą daleką drogę.

Duszczyka czuła biegnące po plecach dreszcze. Brak snu i napięcie ostatnich dni dawały znać o sobie. Roza przykryła ją rogiem narzuty i patrzyła współczująco.

– Spróbuj się chwilkę przespać. Wyglądasz na wykończoną. Potem nam opowiesz skąd się tu wzięłaś i co cię tak martwi.

– Martwi mnie, że nie wiem gdzie jest Aza-zel i nie wiem jak go znaleźć. Nawet Lucyfer nie umiał mi pomóc – westchnęła. – Nie zasnę, póki czegoś nie postanowimy.

Roza współczująco głaskała ją po ręce. Velar chodził przez chwilę po pokoju, dwa kroki w jedną stronę i dwa w drugą, potem wyjrzał przez okno i wreszcie włączył telewizor. Nie interesowało go o czym szepczą między sobą kobiety. W milczeniu przerzucał kanały, aż trafił na wiadomości. Na ekranie szczupła reporterka z interesująco rudymi włosami opowiadała o czymś z przejęciem na tle wozu strażackiego. Kamera pokazała budynek, z którego płomienie strzelały wysoko w ciemne niebo. Velar paskudnie zaklął, włączył głos i słuchał przez chwilę. Kobiety nie zwróciły na niego większej uwagi.

– Popatrz! – krzyknął Velar. – Pali się hotel, w którym byłaś! Był wybuch na najwyższym piętrze, tam gdzie czasem mieszka Lucyfer!

Duszczyka zerwała się z łóżka.

– Zabili go! – szepnęła z niedowierzaniem.

– Nie wiem. Mówią, że wybuch był w nocy. Już ugasili i przeszukują hotel w poszukiwaniu ofiar.

- Czyli teraz został mi tylko Larden.
- Kto to jest? – zainteresowała się Roza.
- Diabeł, który miał mnie wywieźć z rezydencji. Przeżył pierwszy zamach na mnie i gdzieś się ukrywa.
- Jaki zamach? – Velar zaciekawiał się zawodo-
dowo.
- Później wam opowiem. To długa historia. Velarze, jeżeli chce się znaleźć diabła, a nie wiadomo gdzie on w tej chwili jest, to czy istnieje na to jakiś sposób?
- Szefostwo może i ma jakieś dobre sposoby, ale my mamy telefon z lokalizacją gps, o ile masz dostęp do centrali, która ma odczyty. Jak nie, zostają skrzynki kontaktowe, ale to powolny sposób.
- Na czym polega?
- W większych miastach są biura, w których zawsze ktoś jest. Na ogół są połączone z magazynem broni i sprzętu, żeby było bardziej ekonomicznie. Możesz tam zostawić wiadomość, ale czy ją odbierze i kiedy, to inna sprawa.
- Wiesz, gdzie to jest?
- Oczywiście. To podstawowa wiedza, kiedy się pracuje w terenie. Ale łatwiej jest zadzwonić. – Velar poklepał się po kieszeni, w której nosił telefon.
- Telefon z lokalizatorem? – spytały obie

równocześnie. Velar błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni. Duszyczka poczuła mrowienie na karku i wiedziona nie do końca sprecyzowanym poczuciem zagrożenia, wstała i założyła buty. Zza okna dobiegało trzaskanie drzwiczek samochodowych. Velar, nagle znów pełen podejrzliwości, wyrzwał na ulicę i twarz wykrzywiła mu wściekłość.

– Uciekamy, szybko!

Wypadli z pokoju i biegli korytarzem byle dalej od schodów. Duszyczce wydawało się, że porusza się wolno, jak zanurzona w galarecie, a chciała frunąć jak ptak. Velar jednym kopnięciem otworzył drzwi do ostatniego pokoju, którego okna wychodziły na podwórze. Z recepcji dobiegały głosy, potem suchy odgłos strzału i tupot stóp na schodach. Diabeł zamknął drzwi i zastawił je, bez wysiłku unosząc rozklekotaną szafę. Miał poczucie beznadziejności takich wysiłków, bo pierwszy lepszy wysłannik piekiel rozbiłby taka zaporę jednym uderzeniem pięści. Zyskiwali na tym sekundę, może dwie, ale czasem liczy się jeszcze mniej.

Nie oglądając się za siebie, Velar otworzył okno i usiadł na parapecie, opuszczając nogi na zewnątrz. Skinął ręką na Duszyczkę, żeby zrobiła to samo. Potem chwycił ją za rękę i po-

ciągnął na zewnątrz, aż z okrzykiem przestraszenia zawisała za oknem trzymana za nadgarstek, dyndając nogami w powietrzu. Nie wiedział jak dalece kobieta Azazela jest sprawna fizycznie i mógł tylko trzymać kciuki, żeby nie połamala sobie nóg na bruku podwórka. Miała teraz stopy zaledwie metr nad ziemią i uznał, że skoro kiedyś przetrwała upadek do Wysypiska, to i teraz jakoś da sobie radę. Wychylił się, opuszczając dziewczynę jak najniżej i rozluźnił uchwyt.

Mężczyźni, którzy wysiedli z terenówki kilka minut wcześniej, nie widzieli powodu do pośpiechu. Obiekt został namierzony, a kobieta, która z nim była nie stanowiła zagrożenia i nie mogła uciec. Robota była czysta i szybka. Oby więcej takich. Auto stało przed wejściem do hotelu, choć wyraźnie im powiedziano, żeby zaparkowali trochę dalej. Kierowca pozostawiony na straży odprowadził wzrokiem trzech swoich towarzyszy, wchodzących do budynku. Nie był diabłem, ale zwykłym żołnierzem stowarzyszonego gangu. Dyscyplina nie była jego mocną stroną. Mrużąc oczy w ostrym słońcu rozejrzał się leniwie po nielicznych w tej dzielnicy przechodniach, zlustrował zaparkowane w pobliżu auta i uznał, że jest bezpiecznie. Żadnych wojskowych patroli, ani podejrzanych osobników.

Odwrócił wzrok i sięgnął ręką do schowka po papierosy. W czasie akcji nie wolno było palić, ale jeden dymek nie mógł przecież w niczym zaszkodzić. Pstrykając zacinającą się zapalniczką, nie zwrócił uwagi na wyjeżdżający z bocznej uliczki podniszczony dostawczy samochód. Van zaparkował kilkanaście metrów za nim i ktoś z niego wysiadł, wydając z wnętrza ciężką skrzynkę. Kierowca wreszcie zapalił papierosa i z przyjemnością dmuchnął dymem przez szeroko otwarte okno, gdy poczuł chłodną lufę pistoletu przyłożoną do szyi.

– Saludos mi amigo – usłyszał nie wróżący nic dobrego szept i zamarł z papierosem w palcach. Błyskawicznie rozważył szanse ataku, ale zrezygnował z tej myśli, gdy napastnik przycisnął lufę mocniej.

Lądując na ugiętych nogach, Duszczyka usłyszała niemiły trzask i upadła, przerażona, że coś sobie złamała. Faktycznie. Jeden z obcasów szpilek nie wytrzymał i kuśtykała teraz, mając jedną nogę o blisko dziesięć centymetrów krótszą od drugiej. Zdjęła buty. Velar wylądował tuż obok, chwycił ją za rękę i pociągnął w głąb podwórza, ku śmietnikom i rozpadającym się budom. Krok w krok za nimi biegła Roza, ewakuowana w drugiej kolejności. Wąskim przeje-

ściami przy murze przedostali się na sąsiednie podwórko i dalej na ulicę. Duszyczka chciała obejrzeć się przez ramię, ale Velar na to nie pozwolił, ciągnąc ją za sobą. Zza pleców dobiegał grzechot kolejnych wystrzałów, pojedynczych i całych serii. Wyglądało na to, że w hotelu, który przed momentem opuścili, rozpętała się właśnie trzecia wojna światowa.

Trzech pasażerów terenówki weszło do hotelu i stanęło przed ladą recepcji.

– Buenos días señores – wykrztusił recepcjonista, odkładając wczorajszą gazetę, którą dostawał za darmo od zamożniejszego sąsiada. Przybysze nie podobali mu się ani trochę. W mieście, w którym wojskowe patrole z długą bronią były na porządku dziennym, umiejętności prawidłowej oceny obcych nabywały nawet dzieci.

Trzej mężczyźni nie pofatygowali się, żeby choć skinąć mu głową.

– Wysoki facet, w garniturze, z kobietą? – warknął ten, który wydawał się być tu szefem. Recepcjonista pokręcił przecząco głową. Napiewek, jaki kazała mu dać dziewczyna w bejsbolówce, przekraczał jego miesięczne dochody i postanowił na niego zapracować.

– No sé, señores, lo juro¹. – powiedział szybko, podnosząc ręce do góry.

Cios pięścią w twarz był tak szybki, że zanim się zorientował, już upadł na ścianę. Najważniejszy z napastników spojrzął na tablicę, na której brakowało tylko jednego klucza i wzruszając ramionami nad głupotą niektórych recepcjonistów, ruszył w stronę schodów. Nie oglądając się wyciągnął pistolet i na ślepo strzelił w tył do osuwającego się po ścianie recepcjonisty. Kula ledwie drasnęła go w ramię i mężczyzna czym prędzej wpelźł pod ladę dającą iluzoryczne schronienie. Ze swojego miejsca widział dwóch ludzi idących po schodach, co oznaczało, że trzeci został na dole. Nie mogąc wezwać pomocy, próbował sobie przypomnieć wszystkie modlitwy, jakich w dzieciństwie uczyła go matka.

Kierowca terenówki usłyszał strzał dobiegający z hotelu i drgnął nieznacznie. Jego napastnik też musiał go usłyszeć, bo lufa odsunęła się odrobinę i nacisk wyraźnie zelżał. Kierowca nie był jednak idiotą i nie próbował żadnych sztuczek, zdając sobie sprawę, że jego szanse na przeżycie właśnie spadły poniżej zera. Za plecami usłyszał tupot ciężkich butów i był to ostatni dźwięk w jego życiu. Trafiony kulą z automa-

1 Nie wiem, panowie, przysięgam.

tu osunął się na siedzenie. Czterech mężczyzn wpadło do recepcji i w pozostawionego w niej strażnika trafiło kilkanaście pocisków. Kilka kul przebiło ladę, siejąc wokół kawałkami drewna.

– To diabeł. Zabrać do vana! – jeden z nich rzucił szczekliwy rozkaz.

Recepcjonista dostrzegł kolejnych trzech mężczyzn z bronią automatyczną biegnących w górę po schodach. Na wszelki wypadek leżał bez ruchu, udając martwego. Jego nieskładne modlitwy trafiły do nieba, ciągnąc za ubrania wszystkich ważniejszych archaniołów i bez skutku domagając się natychmiastowej uwagi.

Na piętrze kanonada trwała w najlepsze, aż w końcu zapadła cisza. Recepcjonista ostrożnie uchylił jedną powiekę i uważnie obserwował biegnących z góry mężczyzn. Dwóch, których nigdy przedtem nie widział, najwyraźniej przetrwało strzelaninę bez szwanku. Jeden niósł na ramieniu tego łobuza, który postrzelił recepcjonistę w ramię, drugi wspierał rannego, również obcego. Minęli go, ale jeden się odwrócił.

– Nie widziałeś nas. Leżałeś za ladą i spokojnie sobie krwawiłeś – usłyszał zimny, niebezpieczny głos i odruchowo skinął głową, szorując policzkiem po szorstkiej wykładzinie. Usłyszał urywany śmiech, trzask zamykanych drzwiczek i pisk opon ruszającego samochodu. Bał się

wstać i pójść na górę. Szkoda mu było i pięknej dziewczyny i tej hojnej, w bejsbolówce, które musiały teraz leżeć martwe w pokoju na pierwszym piętrze.

Biegli ulicą, rozpychając się wśród przechodniów. Mieli świadomość, że zwracają sobie uwagę: piękna Roza, bosa, ciężarna Duszczyka i wysoki, wyraźnie rozgniewany mężczyzna. Powinni się gdzieś schować, ale Velar najwyraźniej uważał, że przede wszystkim, trzeba się oddalić z miejsca strzelaniny. Po kilkunastu minutach diabeł wreszcie stanął za załomem muru. Wyciągnął z kieszeni telefon, wyjął z niego kartę pamięci i zgrabnie rzucił go na plandekę przejeżdżającej ciężarówki. Z oddali dobiegło zawołanie policyjnych syren.

– Zupełnie jak Eskenezer – przypomniała sobie Duszczyka i uśmiechnęła się na wspomnienie szefa komandosów Azazela, który dał swój telefon litewskiemu kierowcy, jadącemu do Hamburga. Velar nie zwrócił na to uwagi. Był wściekły na siebie o tak podstawowe zaniedbanie. Kiedy szedł przedtem z kobietami ulicą, myślał o ich tyłkach, zamiast o zadaniu do wykonania. Będzie musiał zgłosić się do szefa o wyznaczenie kary, kiedy już ten niepojęty mentlik się skończy. Teraz skupił się na tym, co

miał do zrobienia.

– Roza, po drugiej stronie ulicy jest bank. Weź te trzy banknoty i rozmiń na drobne. Takie wysokie nominały zwracają uwagę i każdy nas zapamięta. Udawaj dziwkę obdarowaną przez klienta. Uśmiechaj się ładnie. Aha, i rozepnij kilka guzików.

Gdy Roza przeszła przez ulicę, Diabeł ustawił Duszyczkę pod murem i stanął do niej plecami, zasłaniając ją przed wzrokiem przechodniów.

– Dlaczego mi pomagasz? – spytała, kierując słowa do marynarki, opinającej szerokie ramiona Velara. Diabeł milczał przez chwilę.

– Mówiłem ci już – odezwał się wreszcie cichym głosem. – Pomogłaś mi kiedyś. Muszę to spłacić.

– Już to zrobiłeś, kiedy wyprowadziłeś mnie z hotelu. Bez ciebie oboje z Lucyferem spłonęlibyśmy w apartamencie. Teraz znów się przeze mnie narażasz.

– Nie wszystko ci jedno, dlaczego? – wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem.

Duszyczka pokręciła głową. Wcale nie było jej wszystko jedno, ale Velar najwyraźniej tego nie rozumiał.

Czekali w milczeniu dłuższą chwilę, zanim Roza wróciła, chichocząc.

– Przepraszam, ale chyba mnie zapamiętają.

Trzech ich przyszło oglądać te banknoty, zanim uznali, że są prawdziwe. Podobno takich nie ma w wolnym obrocie, tylko w międzybankowym, ale w końcu mi rozmienili – z dumą pokazała gruby plik banknotów. Velar wziął go, odliczył kilka i wręczył jej ponownie.

– Znajdź sklep z butami, stragan, cokolwiek i kup coś wygodnego kobiecie Azazela. Nie może iść boso. I jeszcze jakąś sukienkę, taką, żeby torbę pod nią schować, wiesz o co mi chodzi. Ten uniform łatwo zapamiętać. Ruszajmy powoli. I jeszcze jedno. Oni się nie gapili na banknoty. Zapnij się, bo wywołasz zamieszki.

Roza pospiesznie zapięła bluzkę.

– Jeszcze telefon nam potrzebny – wtrąciła Duszczyka. – Muszę znaleźć tego całego Lardena. A przynajmniej spróbować. Dokąd idziemy? Do innego hotelu?

– To nie jest dobry pomysł. Mam lepszy.

– Tak? – zaciekała się Roza.

– Schowamy się na razie u twojej siostry. Byle do wieczora.

Duszczyka nadal trzymała w rękach nieco uszkodzone niebieskie szpilki od Lucyfera, choć wcale nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Powiedz nam przez drogę co się właściwie stało w hotelu? – spytała.

– Nie wiem. Zobaczyłem czterech facetów

wysiadających z terenówki. Diabły... Nie było na co czekać.

– Udało nam się. Mogło być gorzej – westchnęła optymistycznie Roza.

– Będzie gorzej – westchnął optymistycznie Velar.

– Wreszcie jakaś lepsza wiadomość, szefie – zaczął Gereban, patrząc z monitora na Lucyfera. – Chłopaki wysłani do hotelu natknęli się na czterech obcych, którzy też przyjechali po Velara. Załatwili wszystkich. Dwóch, którzy okazali się ludźmi, zostawili na miejscu, a dwa diabły zabrali ze sobą. Mamy ich w centrum operacyjnym. Jak tylko odzyskają przytomność, to sobie pogadamy.

– A Velar?

– Nie znaleźli go w hotelu, ale wysłaliśmy ekipę, która przeszukała miejsce dokładniej. W innym pokoju wyłamano zamek i zostawiono otwarte okno. Sądzymy, że Velar uciekł przez podwórze. Pod oknem leżał odłamany niebieski obcas. Może mieć znaczenie?

Lucyfer zignorował pytanie.

– Straty własne?

– Jeden ranny, niezbyt poważnie. System lokalizacji pokazuje, że Velar ucieka z miasta samochodem. Przemieszcza się szybko na północ.

– Zatrzymać natychmiast, ale bez strzelaniny. Ktokolwiek z nim jest, ma nie być nawet drażnięty. Jeśli ci dwaj zabici ludzie przeszli już przez sąd przy Piotrowej Recepcji, niech Achilles się nimi porządnie zaopiekuje. Nawet jeśli to tylko ciury, zawsze coś z nich wyciśnie. Co z Lardenem?

– Zniknął w lasach, ale prędzej czy później pojawi się w punkcie kontaktowym.

– Uprzedźcie dyżurnego. Azazel?

– Żadnych wiadomości.

– To wszystko – Lucyfer rozłączył się.

Gereban w milczeniu wpatrywał się w pociemniały ekran. Wydawało mu się, że szef jest czymś zirytowany i był to pierwszy taki przypadek odkąd przed laty objął to stanowisko.

Larden zbliżał się powoli do budynku, w którym mieścił się punkt kontaktowy. Rozejrzał się uważnie po ulicy, nieomal węsząc w powietrzu. Coś go niepokoiło, ale nie umiał tego sprecyzować. Ponad godzinę stał po drugiej stronie ulicy, ukryty w ciemnym pasażu, obserwując wejście i mijających je ludzi. W końcu zdecydował się i przeszedł przez jezdnię.

Solidne stalowe drzwi były jak zwykle zamknięte. Larden podniósł głowę do kamery, żeby można go było rozpoznać na monitorze

i nacisnął dzwonek. Dłuższą chwilę nic się nie działo i zaczął się obawiać, że stąd też wszystkich ewakuowano. Wreszcie rozległ się cichy brzęczyk i diabeł pchnął drzwi ramieniem. Był czujny i wszystkimi zmysłami szukał zasadzki. Cicho i zwinnie wślizgnął do ciasnej salki i nacisnął kolejny dzwonek. Tym razem czekał krótko i wszedł do dużego pomieszczenia przedzielonego kratą. Po drugiej stronie, za masywną ladą siedział bokiem do niego diabeł zwany Staruchem i głośno siorbał kawę z wyszczerbionego kubka.

– Cześć Staruch – Larden przywitał się uprzejmie, ale w odpowiedzi uzyskał tylko wzruszenie ramion. Opierając się łokciami i ladę czekał cierpliwie, aż stary skończy kawę. Staruch potrafił być nad wyraz pomocny, albo nad wyraz upierdliwy, zależnie od humoru, a na jego przychylności teraz diabłu bardzo zależało. W końcu stary z łomotem odstawił kubek i odwrócił się twarzą do lady. Larden uniósł brew, zaskoczony. Lewa strona twarzy Starucha była rozbita i pokrwawiona w stopniu, który zwykłego człowieka przyprawiłby o skurcz żołądka. Właściwie wcale jej nie było.

– Świeża sprawa, jak widzę – mruknął Larden, z zawodowym zainteresowaniem próbując zgadnąć co spowodowało takie obrażenia. –

Kopniak to chyba za mało...

– Świeża – Staruch kiwnął głową. – Jakieś dwie godziny temu byli, może mniej. Trzech.

– Nie regenerujesz tego?

– Nie. Napisałem skargę i czekam na komisję lekarską. Nie wiem ile to potrwa, a boli jak skurwysyn i nie jestem w nastroju. Czego chcesz?

Larden się zmartwił. To czego chciał, było nielegalne i wymagało świadomej współpracy Starucha. Przechylił głowę, zastanawiając się, co mógłby zaoferować wkurzonemu diabłu za przymknięcie oka. Jednego, bo drugie i tak nikło w koszarnej opuchliznie, o ile w ogóle jeszcze było.

– Rakiety... – zaczął.

– Konkretnie. Balistyczne, międzykontynentalne, atomowe? Jakie? – Staruch mówił niewyraźnie. Połamana szczęka i brak sporej części zębów mocno mu przeszkadzały.

– Ręczne, ziemia-ziemia. Najchętniej „Młot Thora”. To, czym kiedyś Azazel zdmuchnął koszary Belzebuba.

Staruch zaśmiał się na wspomnienie legendarnej już akcji i z jękiem chwycił za bolącą twarz.

– Masz szczęście, że mnie rozbawiłeś. Inaczej gównem byś dostał. Już dziś zrobiłem coś dla

ciebie i limit dobrych uczynków mi się wyczerpał.

– Najpierw mi opowiedz kto cię pogłaskał i dlaczego, a ja ci za to opowiem najnowsze plotki o Azazelu i jego kobiecie.

Plotki były dla Starucha tym, czym dla ludzi powietrze. Nie umiał bez nich żyć i był powszechnie uznawaną skarbnicą wiedzy prawdziwej i domniemanej. Stary westchnął z zadowoleniem.

– Zawsze z przyjemnością o niej słucham. Ani specjalnie ładna, ani cycata, a sam bym ją chętnie dostał w ręce. Dobra, opowiem ci. Tych trzech kutasów niedawno wyszło. Przedstawili oficjalne, ostemplowane w biurze Lucyfera zapotrzebowanie na skrzynię kałasznikowów, to ich wpuściłem za kratę. Przecież sam nie będę tego taszczyć, bo to nie na mój kręgosłup. Od razu dostałem kastetem, nie zdążyłem się nawet zasłonić. Pytali o ciebie, compañero. Ale ciebie tu dawno nie było, to co im miałem powiedzieć? Gdyby przyszli po dobroci, opowiedzieli jakąś pieprzną historyjkę o najnowszym materacu Belzebuba, albo chociaż o skoku w bok Azazela, to bym im wyśpiewał wszystko, co wiem.

– A niby co mogłeś o mnie wiedzieć? – zjeżył się Larden. – Przecież mnie tu nie było.

– Ale była dla ciebie wiadomość. O to też py-

tali.

Larden odruchowo spojrzął na szereg prze-
gródek na korespondencję. Ta pod literą L była
pusta.

– Oddałeś im? Od kogo to było?

Staruch z krzywym uśmiechem pokręcił gło-
wą.

– Dostałem to tuż przed ich przyjściem.
Wiadomość była od kobiety. Zapisalem ją, ale
jak się połapałem, że prywatna, to wyrzuciłem
do kosza. Wiesz, że to nielegalne, a ja nie chcę,
żeby mnie wychłostali. Za stary na to jestem.

– Nie udawaj. Jesteś tak samo stary jak i ja.
Obaj przyszliśmy z pierwszego naboru.

– Nie przerywaj, bo ci nic nie powiem o tej
całusniej kobiecie. Jak mnie skopali, to pytali
o wiadomości, ale w koszu nie szukali. Kazali
dać znać, jak się pokażesz i poszli. Gereban, ten
cwaniak od Lucyfera, też dzwonił i kazał się za-
wiadomić, kiedy przyjdiesz. No właśnie, kiedy
przyjdiesz?

– Za kilka godzin. Daj mi trochę czasu na
zniknięcie. Co to była za wiadomość?

– Najpierw mów o kobiecie Azazela.

Larden opowiedział o udawanej ewakuacji
Duszczyki, ataku na szosie i późniejszym wybu-
chu w rezydencji. Nie powiedział tylko o trupie
ochroniarza, ani o wiadomościach, jakie z niego

wycisnął. Staruch puściłby te wieści dalej przy pierwszej okazji, a na tym Lardenowi wcale nie zależało.

– Polują na nią? – zastanowił się stary. – Logiczne. Tak najłatwiej trzepnąć Azazela.

– Nie pitol mi o Azazelu, bo on mnie gównie obchodzi, tylko powiedz co to za wiadomość.

Staruch schylił się z wysiłkiem i spod biurka wydobyl zmiętą karteczkę. Larden rozprostował ją starannie.

– „Kobieta, która całowała cię w windzie prosi o kontakt” – przeczytał głośno i podniósł zdumione spojrzenie. – Może wiele przez to straciłem, ale jak długo żyję, nie całowałem żadnej baby w windzie. Pamiętałbym. Tego numeru telefonu też nie znam. Nie pokręciłeś czegoś?

Staruch wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu.

– Gnoje, złamali mi żebro. Nic nie pokręciłem. Mówiła swobodnie po hiszpańsku. Dzwoniła z ulicy i był szum, ale powiedziała wyraźnie: „Una mujer que te besaba en el ascensor”². Wtedy jeszcze dobrze słyszałem. Teraz nie mam jednego bębenka.

Larden zamyślił się, przeglądając w myślach wszystkie kobiety, z jakimi miał do czynienia. Kiedy cofnął się do czasów, w których ludzie jeździli

2 Kobieta, która całowała cię w windzie.

jeszcze na osiołkach, podniósł na Starucha zrezygnowane spojrzenie.

– Nie wiem kto to. Zadzwońlbym do niej, ale zgubiłem swój telefon.

Stary wstał i wpuścił go do środka.

– Wyrzutnie leżą w drugiej sali, trzeci regał po prawej. Możesz wziąć trzy, nie więcej, bo się nie wyliczę. Telefon nowy, nie używany i nie do namierzenia, mam w biurku. Jesteś mi winien przysługę.

– Co chcesz za to? – Larden zgodziłby się nawet oddać nerkę za możliwość zemsty na ludziach El Grisa.

– Kiedyś cię dopadnę, jak się nie będziesz spodziewał – uśmiechnął się krzywo Staruch. – Bierz i spierdalaj. W każdej chwili może się ktoś zjawić. Dam ci sześć godzin, potem zgłoszę, że byłeś. Ale żadnej wiadomości dla ciebie nie odebrałem. Powiem, że dzwoniła jakaś diablica i chciała się umówić, ale nie zapisałem i nic nie pamiętam.

Larden uściśnił mu rękę i wyszedł, niosąc w torbie wyrzutnie.

Azazel od dłuższej chwili unosił się tuż pod powierzchnią świadomości. Gdy różowa mgła otaczająca jego umysł miejscami zaczęła się strzępić, docierające przez nią fragmenty rzeczywistości były zbyt okropne, by w nie uwierzyć. Skupił się na sobie. Wszystkie komórki jego ciała krzyczały z bólu,

ale nie rozumiał o co im chodzi. Nie wiedział, czy ma im coś dać, czy też może chcą, żeby coś zniknęło. Próbował przetrzeć ręką powieki, ale poczuł, że leży związany, jak prosię szykowane na rzeź. Chciał przypomnieć sobie, co się z nim działo, ale ostatnie wspomnienie uparcie pokazywało zaniepokojoną Duszyckę stojącą w plamie światła w holu rezydencji. Potem była czarna pustka wypełniona dziwnymi zjawami.

Instykt mówił mu, żeby udawał martwego, jak zwierzę próbujące ratować życie. Odsuwając na bok koszmarny ból, skupił się na otoczeniu. Leżał na czymś twardym, na kocu zapewne. W nosie czuł drobiny kurzu i smród niemytych ludzi, a przez powieki przeświecał słaby blask żarówek. Panowała cisza. Ból narastał. Diabeł starał się regenerować organizm najszybciej jak mógł, wiedząc, że za chwilę każda najmniejsza porcja energii może mu być potrzebna.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały męskie głosy, ale zbyt słabe, by choć rozpoznać jaki to język, nie mówiąc już o rozróżnieniu słów. Wbrew własnej woli Azazel jęknął cicho, bo ból stawał się nie do zniesienia. W pokoju szurnęło krzesło, rozległy się czyjeś kroki i szcęk otwieranych drzwi.

– Chyba już pora? – spytał ktoś donośnym głosem.

– Jeszcze pół godziny, nie zawracaj dupy.

– Ale on jęknął.

– Też byś jęczał, jakbyś był na głodzie. Za pół godziny ostatnia szpryca, a potem zatańczy, jak mu zagramy – ktoś zaśmiał się chrapliwie. – Wszystko nam odda, nawet tą swoją kościstą cipę.

Azazel uznał, że teraz nikt na niego nie patrzy i spróbował uruchomić kanał do natychmiastowej ewakuacji. Drgnął i napiął mięśnie. Nie udało się. Był zbyt słaby i zbyt chory. Czy może to nie była choroba? Pół godziny, podczas której musi zebrać wszystkie dostępne siły i uciec. Musi, bo kto uratuje Duszczkę?

Człowiek, który rozmawiał przez drzwi, wrócił stawiając ciężkie kroki. Zaskrzypiało krzesło, rozległ się trzask zapalniczki i zapach papierosowego dymu zaczął zasnuwać pomieszczenie. Azazel leżał bez ruchu, starając się nie zwracać uwagi na ból rozdzierający ciało. Minuty płynęły zbyt szybko.

W końcu usłyszał zbliżające się po betonie kroki i ktoś szturchnął go w bok. Jęknął głośno, ale mężczyzna nie zwrócił na to uwagi. Zawiązał Azazelowi sznur wokół ramienia i przejechał palcem w zgięciu łokcia w poszukiwaniu najlepszej żyły. Diabeł otworzył oczy. Wpatrywał się w obcą twarz, próbując skupić wzrok i zapamiętać ją na zawsze.

– Ciebie zabiję pierwszego – szepnął, ale mężczyzna go nie usłyszał, sięgając na stół po strzykawkę. Kiedy igła zbliżyła się do skóry Azazel

spróbował wykorzystać tę jedyną szansę jaką miał. Szarpnął całym ciałem i ku swojej ogromnej uldze, nareszcie poczuł, że spada. Nie leciał daleko. Był zbyt słaby, by stworzyć kanał, ale jama w jakiej się znalazł dawała schronienie i czas na naprawę organizmu. Wyjąc z bólu diabeł zaczął usuwać truciznę. Miał przed sobą olbrzymie zadanie, zanim będzie mógł stąd wyjść i zacząć zabijać każdego, kto stanie mu na drodze, nie troszcząc się o konsekwencje. Miał tylko jeden cel – odnaleźć Duszyckę. Bał się pomyśleć, że stało jej się coś złego.

Nie zobaczył już tego, co działo się w pomieszczeniu.

Mężczyzna siedział na brzegu pryczy ze strzykawką w ręce i krzyczał. Nie mógł przestać nawet, gdy z sąsiedniego pomieszczenia wpadli jego kumple i ogłupiałym wzrokiem wpatrywali się w puste legowisko, przez ostatnie dni zajmowane przez ich więźnia. Krępujące go dotychczas sznury leżały bezładnie splątane na brudnym kocu. Rozejrzeli się dookoła, ale jedyne wyjście z pomieszczenia prowadziło przez ich pokój, a okien nie było. W końcu jeden z nich uderzył wrzeszczącego hakiem w podbródek, pozbawiając go przytomności.

– Trzeba zawiadomić szefa – mruknął w nagłej ciszy i przekroczył bezwładne ciało. – Zrób to!

– Czemu ja? – zbuntował się drugi.

– Bo ja spieprzam. To jakieś diabelskie sztuczki i nie zamierzam się w to płątać.

Popatrzyli na siebie ze strachem, potem na nieprzytomnego strażnika, leżącego na betonie i zgodnie wyszli na zewnątrz, zatrzasnąwszy ciężkie drzwi. W końcu każdy chce żyć, nawet jeśli niewiele im tego dobrego zostało.

Duszyńskie zdawało się, że droga przez miasto ciągnie się w nieskończoność. Kawalek podjechałi kradzionym samochodem, ale diabeł porzucił go na przedmieściach, żeby nie wskazywać w jakim kierunku się przemieszczali. Uważała to za objaw paranoi z natręctwami, ale nie miała siły protestować. Okrążali centrum szerokim łukiem i cały czas gdzieś w oddali widoczne były szczyty gór otaczających miasto.

Nie jadła już prawie doba i nie bardzo pamiętała kiedy spała ostatni raz. Musiało to być dawno. Wlokła się teraz przez miasto, uczepiona velarowego łokcia i cieszyła, że kupione przez Rożę płóciennic buty na gumowej podeszwie są przynajmniej wygodne. Wyrzucony do pierwszego lepszego śmietnika granatowy uniform hotelowej pokojówki zamieniła na równie brzydką ciężową sukienkę w czerwone kwiatki. Dzień był słoneczny, ale niezbyt ciepły, co ułatwiało marsz, ale i tak czuła się jak zombie po czwartym zmartwychwstaniu.

Gdy tylko udało im się kupić telefon, Roza zadzwoniła do punktu kontaktowego i rozmawiała z kimś o skrzypiącym, zrzędlwym głosie. Została wiadomość, ale miała wrażenie, że z lekceważeniem wyrzucono ją do kosza. Tak czy inaczej, była to ich jedyna szansa na odnalezienie kierowcy, nawet jeśli bardzo mizerna. Starła się jak umiała, być miła i słodka, ale rozmówca z drugiej strony słuchawki był chyba całkiem odporny na damskie wdzięki.

Uliczka, którą szli była wąska. Samochody wtedy nie jeździły, a ludzie szli piechotą, jak oni, albo jechali na rowerach. Wpatrzona w chodnik Duszycka nie tyle zauważyła, co poczuła, że ulica wspina się na wzgórze. Kolejne wzgórze. Nie umiała już powiedzieć ile ich zdobyła tego dnia.

– Już niedaleko – usłyszała pocieszający głos Rozy. – To ten biały domek, tam wyżej.

Podniosła wzrok. Uliczka pięła się ku górze i zakręcała łagodnym łukiem. Wzdłuż niej stały niewielkie, kolorowe domki, niektóre parterowe, inne z pięterkiem, z żaluzjami albo ozdobnymi kratami w oknach. W świetle zachodzącego słońca wyglądały jak z bajki o krasnoludkach i aż przystanęła z wrażenia.

– Nie zatrzymuj się. – Velar pociągnął ją za rękę.
– Zaraz będziemy na miejscu.

Duszczyka z wielkim trudem znalazła w sobie tyle siły, żeby przyspieszyć kroku i czuła się, jakby zdobywała ośmiotysięcznik. Roza zatrzymała się przed zielonymi drzwiami obmurowanymi ciemnymi kamieniami i zastukała. Biała ściana zdawała się różowa w ostatnich promieniach gasnącego słońca i Duszczyce przypominał się wszechobecny w piekle blask wulkanu. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

W niewielkim okienku, jedynym, jakie wychodziło na ulicę poruszyła się ciężka, koronkowa firanka i przez moment mignęła czyjaś twarz. Chwilę potem drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich... Duszczyka nie była pewna jak ma tę kobietę określić. Była niewysoka, szczupła, czy wręcz chuda, niewątpliwie dobrze po sześćdziesiątce, ale trzymała się bardzo prosto. Siwiejące włosy miała związane z tyłu w kok, kolorowa sukienka z pewnością nie była nowa, ale czysta, a korale i ogromne złote kolczyki świadczyły o staraniach, jakich dokładała, żeby zachować ładny wygląd. Najwyraźniej nie była skłonna chodzić w tej kwestii na kompromis. Duże czarne oczy, zupełnie takie, jak u Rozy, napęły się łzami. Kobieta patrzyła na nich z niedowierzaniem i wydawało się, że się rozpłacze. Roza objęła ją i szybkim ruchem.

– Pozwól nam wejść. Potrzebujemy pomocy – powiedziała cicho. Kobieta odsunęła się i cała trój-

ka weszła do mrocznego pomieszczenia, zatrzasnąjąc za sobą ciężkie drzwi.

Pokój był niewielki, czego można by się spodziewać po takim domku. Przez okno wpadały resztki dziennego światła, ukazując kontury obcych sprzętów. Stół, krzesła, kanapa i szafka ze starym telewizorem, wszystko to stało na podwyższeniu, do którego prowadziły trzy półkoliste schodki. Duszczyka oparła się o ścianę. Była przekonana, że nie zrobi już ani kroku, a pokonywanie schodów przetrastało ją zdecydowanie. Postanowiła zostać tu, na dywaniku przy wejściu, póki nie dojdzie do siebie. Właściwie mogłaby nawet tu spać. W końcu przetrwała tydzień na piekielnym Wysypisku i teraz nic nie powinno jej być straszne.

– Soy Solana. – zwróciła się do niej siostra Rozy.
– Conozco a este diablo, pero tú, quién eres hija mía?³

Przyjrzała się uważnie opartej o ścianę bladej dziewczynie z podkrążonymi oczami i załamała rękę.

– Dios mío!⁴– krzyknęła, widząc wystający brzuch. W półmroku salonu nie sposób było dostrzec, jak bardzo jest nieforemny.

Velar wzdrygnął się z odrazą, słysząc ten

3 Tego diabła znam, ale kim ty jesteś, moja droga?

4 Mój boże!

okrzyk.

– Ona nie mówi po hiszpańsku – burknął. Wziął Duszyckę na rękę i zaniósł na kanapę, jednocześnie ruchem głowy wskazując Rozie odsłonięte okno. Prędko opuściła metalowe rolety i w pokoju zapadła ciemność. Duszycka poczuła, że lada moment zaśnie, nie zważając na dobre maniery i uprzejmość należną gospodyni.

Słabe żarówki oświetliły jej wymizerowaną twarz i na ten widok Solana załamała rękę.

– Entonces, qué lengua hablo? – machnęła ręką. – Da igual. Las conozco siete, así que vamos a elegir algo.⁵ – Wyrzucała słowa z ogromną prędkością. Zdecydowanym ruchem ręki wskazała Velarowi drzwi w głębi pokoju. Najwyraźniej oczekiwała, że jej polecenia będą wypełniane natychmiast i przez każdego. Wiedząc z kim ma do czynienia, diabeł z ciężkim westchnieniem podniósł Duszyckę z kanapy, zaniósł do wąskiego korytarza i postawił w drzwiach do mikroskopijnej łazienki, równie spartańskiej, jak reszta mieszkania. Mieścił się w niej zaledwie sedes i staroświecka, kwadratowa wanna, przywodząca na myśl dawne balie. Duszycka poczuła nagły przypływ sił i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Solana wypchnęła diabła do

5 W jakim języku mam mówić? Wszystko jedno. Znam siedem, to coś dopasujemy.

salonu i zamknęła za nim drzwi.

– Pomogę ci się umyć i idziesz do łóżka. W twoim stanie trzeba o siebie dbać – powiedziała surowo.

– Nie jestem w żadnym stanie – uśmiechnęła się Duszczyka, ściągając ciężowy ciuch przez głowę. Stała teraz w eleganckiej, niebieskiej sukience z płócienną torbą na szyi. Solana poczuła ulgę.

– Bałam się, że za chwilę urodzisz. Herr Gott! Nie wyglądałaś dobrze. Jest tylko zimna woda, przykro mi. Jak skończysz, to przyjdź do nas. – Solana odwróciła się i wyszła.

Larden jechał na południe skradzionym samochodem. Rakiety wepchnął do bagażnika i starał się przestrzegać przepisów. Zatrzymanie przez patrol równałoby się utracie broni i zaprzepaszczeniu całej akcji. Pogwizdywał cicho przez zęby, gdy przypominał sobie o kobiecie, którą jakoby całował w windzie. W wyobraźni zobaczył ciemne wnętrze garażu w posiadłości Azazela i jego samego stojącego ze swoją kobietą w jasno oświetlonej windzie. Duszczyka! Ależ był kretynem. O tym zdarzeniu wiedziały tylko cztery osoby. Azazel nie szukałby go w ten sposób, więc zostawała tylko ona i strażnik, który tego dnia miał służbę w rezydencji.

Zatrzymał się na poboczu, wyjął telefon i wystukał podany przez Starucha numer. Czegokolwiek chciała od niego kobieta Azazela, musiało być waż-

ne, skoro szukała go aż w punkcie kontaktowym, zamiast spytać Azazela. W słuchawce rozległ się kobiecy głos.

– Mujer de Azazel? – spytał. – Larden aquí.⁶

Usłyszał jakąś rozmowę, stukot butów czy może pukanie i wreszcie inny głos powiedział:

– Witaj Lardenie. Tu Duszczyka, kobieta Azazela. Dziękuję, że dzwonisz. Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Jak wydostałaś się z rezydencji? – spytał bez żadnych powitań i wstępów, odsuwając na bok grzeczności. Nie był pewny, czy to nie podstęp. Prawdopodobieństwo było niewielkie, ale było i nie zamierzał dać się złapać jak dziecko.

– Lucyfer mnie ewakuował tuż przed wybuchem. Ktoś nas wysadził następnego dnia po twoim wyjeździe.

– Rano? – zapytał, zastawiając pułapkę.

– Wczesnym popołudniem. Kiedy mnie widziałeś miałam na sobie niebieską bluzkę i białe spodnie do kolan, Azazel pocałował mnie dwa razy i machnął ręką, żebyście wyszli z garażu – powiedziała spokojnie, starając się ubiec jego pytania. – Wierzysz teraz, że ja to ja?

Larden powoli skinął głową bez słowa.

– Lucyfer powiedział, że te zamachy były na mnie. I że ciebie zabiją za to, że widziałeś tych

6 Kobieta Azazela? Tu Larden.

ludzi. O ile to byli ludzie... Jedziemy na jednym wózku, więc pomyślałam, że razem mamy szansę przeżyć. I że ty może wiesz co się stało z Azazelem – mówiła szybko, jakby starała się go przekonać.

– Mam teraz coś pilnego do zrobienia. Wytrzymasz do jutra? Gdzie jesteś?

– W mieście... Nie, nie wiem, gdzie jestem. Dam ci Rozę.

– Kogo?

– Rozę, była kochankę Belzebuba, pamiętasz? Tę, która wygrała z nim zakład.

Larden znów kiwnął głową, zupełnie jakby kobieta Azazela mogła go zobaczyć. Za moment usłyszał w słuchawce zalew hiszpańskich słów wystrzeliwanych z ogromną prędkością. Roza podała mu adres miejsca spotkania, oddalony od domu jej siostry zaledwie o kilka minut drogi. Larden rozłączył się i ruszył dalej. Pół godziny później skręcił w gęsty las i wjechał autem między drzewa. Zamaskował wóz gałęziami, bez wysiłku zarzucił na ramię potężny, marynarski wór skrywający rakiety i ruszył biegiem.

Na pulpicie Gerebana błyskało światelko pilnych połączeń od diablej arystokracji. Za często ostatnio zawracali gitarę głupotami i szef operacji terenowych doszedł do wniosku, że trzeba

będzie drastycznie przykrócić te fanaberie.

– Kogo tam znów anioły niosą? Mało mam roboty? – mruknął, ale gdy na komputerze wyświetliło mu się imię nadawcy, natychmiast odebrał rozmowę. Na ekranie zobaczył, jak zwykle nieco kpiące oblicze i ku swojej irytacji, znów poczuł się kimś gorszym, choć Mefisto zazwyczaj traktował go z chłodną uprzejmością.

– Witaj, książę – zaczął grzecznie, prostując się w fotelu. Elegancja Mefistofelesa wymuszała odpowiednie zachowania.

– Witaj. Lucyfer prosił o informację, gdybym się czegoś dowiedział o Azazelu. Poczulem go przez moment, ale zbyt krótki, żeby go zlokalizować. No w każdym razie nadal istnieje i nikt go nie przetopił w jego własnym piecu hutniczym. Gdzieś się zakopał i w swoim czasie wyjdzie.

– Dziękuję – kiwnął głową Gereban, choć ta informacja była dla niego mało użyteczna.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy udało ci się, panie, znaleźć jego kobietę?

Twarz Mefista w jednej chwili straciła swój uprzejmy wyraz i Gereban poczuł, że za chwilę mu się oberwie. Nie mylił się.

– Czy ja dobrze słyszę? – zaczął Mefisto z drwiną, opierając się wygodnie w fotelu. – Macie u siebie tabuny diabłów, którzy nie po-

trzebują snu, ani jedzenia, mogą pracować na okrągło i nie potraficie znaleźć jednej zwyczajnej kobiety?! Nie ma przygotowania wojskowego, nie jest komandosem, a wodzi was za nos jak chce. Słyszałem, że podobno zwał wam też komandos Azazela i była kochanka Władcy, której pilnował. Zdumiewający popis indolencji!

Gereban bez słowa patrzył w ekran i wszystkie siły skoncentrował na zachowaniu spokojnego wyrazu twarzy.

– Nigdy więcej nie pytaj mnie o kobietę Azazela – ciągnął Mefisto i nagle zrobiło się groźnie. – Nie jest twoja i nic ci do niej. Twojemu szefowi też nie.

Rozłączył się bez pożegnania. Gereban zdawał sobie sprawę, że książkę najwyraźniej sam ma ochotę na kobietę Azazela i nawet jeśli wie gdzie jest, nigdy nie wyda jej w obce ręce. Ta chęćka wcale go nie dziwiła. Pół piekła miało na nią ochotę nie dlatego, żeby była piękna czy wyjątkowo pociągająca. Każdy chciał się dowiedzieć co Azazel w niej zobaczył, że postanowił zostać tylko z nią i, co dziwniejsze, przeważnie był jej wierny.

Obiekt tej wierności siedział teraz na kanapie w lekkiej sukience w czerwone kwiatki, podzwaniając zębami z chłodu i niewyspania. Po

myciu zimną wodą Duszczyka trochę się rozbudziła i miała nadzieję, że nie zaśnie w pół zdania. Roza z Solaną siedziały naprzeciwko niej trzymając się za ręce.

– Jesteście takie podobne – uśmiechnęła się do nich. – Jak to się stało, że pozwolono ci wrócić, Rozo? Tego się prawie nigdy nie praktykuje.

– To bardzo długa historia – zaczęła Solana, gdy kątem oka zobaczyła, że stojący pod ścianą Velar ziewa bez skrępowania. Najwyraźniej babskie opowiastki niepomernie go nudziły. Kobieta groźnie zmarszczyła czarne brwi, zupełnie jakby uważała, że diabła można tym wystraszyć.

– Młody człowieku – zaczęła surowym tonem, zupełnie ignorując fakt, że diabeł jest od niej starszy o kilka tysięcy lat. – Ziewanie przy paniach świadczy o kompletnym braku manier. Ciekawe, co na to mówi twoja żona.

– Nie mam żony – zająknął się Velar, zdziwiony, że ktoś w ogóle mógł wpaść na taki pomysł.

– Nic dziwnego. Przydaj się na coś, skoro rozmowa z paniami w tak oczywisty sposób cię nie interesuje. Idź do kuchni i przygotuj tapas dla tego biedactwa. – Spojrzała na mizerną Duszczykę i pokręciła głową. – Ukrój kilka kromek, polej oliwą i podgrzej na patelni. Pasta pomi-

dorowa stoi na parapecie, talerz jest w kredensie, a nóż w szufladzie. Niestety, nic lepszego w domu nie mam – zwróciła się do Duszczyki przepraszającym tonem.

– Ależ to z pewnością będzie pyszne i w zupełności wystarczy – odpowiedziała, ze zdumieniem obserwując plecy Velara, znikające w drzwiach kuchni.

– Czy on cię nie drażni? – Solana spojrzała na Rozę.

– Nie bardziej niż inni. A wracając do naszej opowieści. Czterdzieści lat temu miałam narzeczonego. Nic dobrego, jak się okazało, ale ja byłam młoda i strasznie zakochana. Zupełnie nic mnie nie obchodziła jego reputacja i jak głupia wierzyłam, że on się dla mnie zmieni.

– To się prawie nigdy nie zdarza – westchnęła Duszczyka.

– Któregoś dnia Roza przyłapała jego i mnie w sypialni. – Solana patrzyła w podłogę. – Do dziś mi wstyd, że zrobiłam to własnej siostrze. Roza wybiegła z domu i nie widziałam jej żywej przez następne czterdzieści lat.

– Uciekłaś z domu?

– Nie. Czekałam przed jego mieszkaniem i po prostu go zabiłam za to, co nam zrobił. Uważałam, że to jego wina, że uwiódł najpierw mnie, a potem moją siostrę. Pchnęłam go no-

żem dwadzieścia sześć razy.

– Ależ musiałaś mieć krzepę! Takie zabójstwo jest strasznie męczące – Duszyczka patrzyła współczująco.

– Wracалам do domu rozmówić się z Solaną, kiedy dostałam kulę w plecy...

– A ja przez te wszystkie lata myślałam, że to zemsta któregoś z jego kumpli. – Solana otarła ręką łzę z policzka.

– Taka też była moja ostatnia myśl. Później się dowiedziałam, że oberwałam przez pomyłkę. To zbłąkana kula. Wtedy w tamtej dzielnicy to nie było nic niezwykłego. W Recepcji natychmiast skierowali mnie do piekła, bo zabiłam człowieka. Może bym się wykręciła czyścem, gdybym go pchnęła raz, w afekcie, ale dwadzieścia sześć ciosów uznano za grubą przesadę.

Duszyczka pokiwała głową ze zrozumieniem. Była kiedyś w podobnej sytuacji, gdy Belzebub pokazał jej, jak zdradza ją Azazel. Nie zabiła go wtedy tylko dlatego, że w przypadku diabła na nic by się to nie zdało.

– Co roku przed Bożym Narodzeniem prosiłam o pozwolenie wyjaśnienia Solanie, że to nie jej wina, że to by się stało prędzej czy później. Zabiłabym go jak nie za to, to za coś innego. Byłam w gorącej wodzie kąpana i wtedy nie mogłam znieść, że skrzywdził moją młodszą

siostrę. Belzebub co roku wyrzucał moje podania do kosza, nie przekazując ich do sekretariatu Najwyższej Hierarchii. Dopiero Mefisto mi pomógł.

– Wiesz, kiedy zobaczyłam Rożę w drzwiach, myślałam, że umarłam i trafiłam do nieba. – Solana płakała teraz otwarcie. – Całe życie uważałam, że jej śmierć to moja wina i nawet za mąż nie wyszłam, żeby siebie ukarać. Teraz jestem taka szczęśliwa, że do mnie wróciła, choć na chwilę i że mi wybaczyła!

– Gereban? – rzucił Lucyfer do słuchawki. – Obstawieś dom siostry Rozy?

– Godzinę temu. Chłopaki meldują, że od tamtej pory nikt nie wchodził, ani nie wychodził.

– Niech wejdą przed świtem i solidnie przetrzepią to miejsce.

Velar stał w kuchni i klął. Dał się zagonić do czegoś, co uważał za typowo babskie zajęcie, ale mając do wyboru ponowne wysłuchanie łzawej historii Rozy albo szykowanie jedzenia, wybrał jednak to drugie. Rozejrzał się dookoła. Kuchnia była niewielka, z jednym oknem i drzwiami wychodzącymi na coś w rodzaju zagraconego, małego patio, ledwie widocznego w półmroku.

W rogu pomieszczenia stała mała kuchenka na gaz z butli. Po krótkich poszukiwaniach diabeł znalazł chleb i oliwę w kredensie, a pasta pomidorowa faktycznie stała na parapecie, tam gdzie mu powiedziano. Miał poczucie sukcesu. Z buta wyjął sprężynowy nóż, z którym nigdy się nie rozstawał i otworzył go szybkim ruchem. Cienkie ostrze błysnęło w słabo oświetlonej kuchni. Velar przez chwilę patrzył z niesmakiem, a potem energicznie zamknął go i ponownie wsunął do cholewki. Krojenie chleba nożem, którego normalnie używał do walki wydawało mu się straszliwym świętokradztwem.

Z szuflady wyjął szeroki, zakrzywiony nóż i trzymając chleb w powietrzu zaczął go kroić. Kromki wychodziły mu zdumiewająco krzywe, ale nie poddawał się. Jeżeli kobiety umiały kroić równo, to on też może się tego nauczyć. Skorzystanie z deski do chleba nawet nie przeszło mu przez myśl. Kiedy została mu w rękach pięćka zbyt mała, żeby dalej na niej ćwiczyć, zapalił gaz pod patelnią i stanął zamyślony. Na razie było łatwo, ale co dalej? Jakie przeznaczenie miały oliwa i pasta z pomidorów? Honor absolutnie nie pozwalał mu na powrót do pokoju i przyznanie się do porażki. Z całą pewnością umie zrobić to, co jakaś baba.

Depcząc po okruchach obficie zaścielających

podłogę i lepiących się do butów, Velar wziął do ręki pierwszą kromkę i położył na patelni. Po kuchni rozszedł się zapach palonego chleba. Diabeł zmarszczył nos. W koszarach taki zapach byłby cudowny, ale jakoś nigdy tak nie pachniało w restauracjach, które kazano mu ochraniać. Zrzucił poczerniałą kromkę na stół i postanowił zmodyfikować działania. Kolejne dwie polał oliwą i posmarował pastą, co chyba znów nie było strzałem w dziesiątkę. Pasta paliła się na czarno, zasmradzając wszystko wokół i przywierając do patelni, którą musiał oskrobać nożem. Kupka nieudanych tapas rosła na talerzu, ale Velar czuł, że wreszcie dochodzi do sedna. Kolejne kromki polał oliwą, ale posmarował obficie pastą dopiero, kiedy je zdjął z patelni. Dało to niezły efekt i diabeł był sobą zachwycony.

Wziął gotowe kanapki i ruszył w stronę salonu gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi, głos Duszyczki wołającej coś do przybysza i odgłos bosych stóp na podłodze. Rzucił talerz na stół, jakby to było frisbie i nie zwracając uwagi na fakt, że wszystkie kanapki wylądowały na zaśmieconej okruciami podłodze, pognął do pokoju.

Duszyczka była już przy drzwiach, kiedy Velar dogonił ją i o mało nie przewracając, szarp-

nał za ramię.

– Puszczaj! Zwariowałeś? – warknęła, próbując się uwolnić.

– Nie otworzysz tych drzwi – szepnął gniewnie, zagradzając jej drogę.

Stukanie rozległo się ponownie, tym razem bardziej nagłaco.

– Oczywiście, że otworzę! – awanturowała się również szeptem. Poczucie zagrożenia, jakie stwarzał Velar okazało się zaraźliwe. – To mop! Chce mi coś powiedzieć.

– Rozmawiasz z mopami? – zakpił rozgniewany diabeł, zapominając do kogo mówi. – Może jeszcze latasz na miotle?

Mając prawą rękę zamkniętą w stalowym uścisku diabła, wyprowadziła fachowy cios lewym nadgarstkiem, tak, jak ją kiedyś uczył Eskenezer i uderzeniem od dołu próbowała złamać Velarowi nos. Diabeł zupełnie się tego nie spodziewał i uchylił się w ostatniej chwili, łapiąc ją za rękę. W oczach Duszczyki odbijała się wściekłość.

– Nigdy więcej nie będziesz się do mnie odzywał w taki sposób – wycodziła, stojąc przed nim bez ruchu. – Podjąłeś się mojej ochrony z własnej woli, więc rób to bez głupich uwag albo odejź!

– Wybacz – Velar pochylił głowę, puszczając

jej ręce i unosząc dłonie obronnym gestem. – Masz rację, nie okazałem szacunku. Opiszę to w raporcie i zgłoszę się w koszarach po karę od Eskenezera.

– Młody człowieku! – rozległ się z głębi pokoju chłodny głos Solany. – Bicie kobiet źle o tobie świadczy. Natychmiast przestań!

– To ona chciała mnie uderzyć – zaprotestował diabeł.

– Skarżypyta – mruknęła Duszczycka, której złość przeszła natychmiast, gdy usłyszała o karze. Była kiedyś świadkiem i mimowolną przyczyną takiego widowiska i nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę. Velar popatrzył na nią i kręcąc głową z dezaprobatą, zdecydował się na kompromis.

– Schowaj się w łazience. Sprawdzę, kto puka – westchnął z rezygnacją. – Roza, ty też idź!

Chwilę później przez uchylone drzwi do pokoju wślizgnął się mop. Zastygł na moment pod ścianą, jakby próbując się zorientować w sytuacji i lotem koszącym poszybował w stronę łazienki. Solana patrzyła na to szeroko otwartymi oczami, nie wierząc w to, co widzi. Duszczycka wybiegła z łazienki, prawie wpadając na mopa, a raczej to, co jeszcze z niego zostało. Po frędzelkach nie zostało nawet wspomnienie, a niegdyś czerwony kij był obity i nadpalony.

– Cześć – przywitała się. – Stało się coś złego, tak?

Mop kiwnął się w przód potakująco, ale tym razem Duszczyka wykonała zgrabny unik i nie oberwała w czoło.

– Mamy uciekać natychmiast?

Mop pokręcił się przecząco.

– O co tu chodzi? – nie wytrzymała w końcu Solana. Już powrót siostry z zaświatów był szokiem, przebywanie w towarzystwie prawdziwego diabła było trudne, ale skoro taki był warunek rozmowy z Rozą, uznała, że warto. Przez całe życie widziała, że diabły istnieją naprawdę, nawet jeśli to nie Belzebub je zatrudniał. Teraz jednak jej postrzeganie świata zaczęło się załamywać. Przyprowadzona przez Rozę dziewczyna rozmawiała z jakimś brudnym kijem. Tego jej poukładany światopogląd nie przewidywał.

– Przepraszam Solano, to mop, przyjaciel z zaświatów. Już dwa razy mnie uratował, a teraz chyba chce to zrobić po raz trzeci. Nie może mówić, więc trzeba go pytać, a on odpowiada gestami, tylko tak, lub nie. Długo trwa, ale zawsze warto.

Solana pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Możemy tu zostać do rana?

Mop pokręcił się przecząco. Duszczyka westchnęła.

– Czyli nie musimy uciekać natychmiast, ale przed świtem? – wtrącił się Velar.

Mop energicznie kiwnął się w przód.

– Obstawili dom i wejda zanim się rozjaśni. Standard. – Velar przytaknął ze zrozumieniem. Sam niejednokrotnie uczestniczył w takich akcjach. W tym momencie przypomniał sobie o tapas, które przygotował z dużym wysiłkiem. – Zjesz i znikamy.

W kuchni w pośpiechu wdepnął w pierwszą kanapkę, robiąc z niej placek w przypalonych pomidorach. Zaklął paskudnie. Pozbierał wszystkie tapas na pęknięty talerz, który nie przetrwał rzucania po stole i krytycznie spojrzął na podłogę usłaną okruchami i plackami pasty. Miał niejasne wrażenie, że nie tak to wyglądało, kiedy wszedł tu po raz pierwszy. Nie rozumiał, jak mogło się tak nabrudzić, ale chciał uniknąć oskarżeń o niedołęstwo. Chwycił białą ściereczkę do naczyń wiszącą przy zlewie i energicznie przetarł kamienną posadzkę, rozmazując czerwone plamy w długie smugi. Zadowolony z końcowego efektu rzucił szmatkę na stół i zabrał kanapki do pokoju.

Kobiety obrzuciły talerz krytycznymi spojrzeniami. Jedzenie wyglądało, jakby pamiętało lepsze czasy, ale Duszczyka była tak głodna, że nie zamierzała grymasić.

– Velar, z ciebie będzie kiedyś wspaniała żona – pochwaliła go i ugryzła pierwszy kęs. Twarde okruchy zgrzytały jej w zębach.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? – bardzo z siebie zadowolony diabeł zagadnął Solaną.

– Można przejść z patio przez mur do sąsiadki. Trzeba ją uprzedzić, żeby nie umarła ze strachu, kiedy zobaczy powrót Rozy z zaświatów. – Solana wzięła do ręki słuchawkę. – Powiem, że przyjechała kuzynka.

– Nie! Roza musi zostać. Ma przepustkę od niebieskich, żeby odwiedzić ciebie i tylko ciebie.

– Daj spokój, przecież to sytuacja nadzwyczajna – zaprotestowała Duszczyka z pełną buzią. Tapas były wprawdzie przypalone, ale jedzenie to jedzenie.

– Nic z tego! – warknął.

– To ja też zostaję. Nie oddam Rozy na pastwę jakichś obcych diabłów – oświadczyła twardo, pakując do ust ostatni, mocno poczerniały kawałek grzanki i założyła ręce na pierśsiach. W uszach słyszała rytmiczny chrzęst własnych, ciężko pracujących szczęk.

Velar pokręcił głową. Mógł wziąć Duszczykę na ramię i zabrać stąd bez względu na jej protesty. Dziewczyzna patrzyła na niego twardym wzrokiem, na ile jej pozwalały opadające z braku snu powieki.

– Coś ty nagle taki praworządny? – mruknęła z przekąsem, przelękając ostatni kawałek zimnej grzanki.

– Dostałem zadanie i zamierzam je wypełnić.

– Już go nie wypełniłeś. Roza rozmawiała ze mną, z recepcjonistą w hotelu, facetami w banku i ekspedientkami w sklepie. Na ulicy widziały ją setki ludzi. Jedna osoba mniej czy więcej nikomu nie zrobi różnicy – Duszczyka wzruszyła ramionami nad spapraną misją diabła i ze znużeniem podniosła się z kanapy, sięgając po torbę. – Chodź wreszcie, zanim zwalę się na ziemię.

Velar machnął ręką. Kobieta Azazela miała rację mówiąc, że nie wypełniał należycie swoich obowiązków. Liczył, że niedługo dopracuje się awansu, a tymczasem po powrocie do piekła groziła mu degradacja. Zdecydowanie nie był pieszczochem losu i zawsze coś nieprzewidzianego stawało mu na drodze, a i z tym zadaniem nie radził sobie najlepiej.

Kwadrans później potykająca się o własne nogi, nieprzytomna z niewyspania Duszczyka została przez Velara podsadzona na mur i zgrabnie zeskoczyła z drugiej strony. Torba z pieniędzmi wisząca na szyi znów nadawała jej wygląd kobiety w zaawansowanej ciąży.

Señora Esperanza, siwiejąca, tęga kobieta w czerni, czekała na nich na małym, bliźniaczym patio. Widząc skaczącą na ziemię ciężarną dziewczynę, podbiegła i zalała ją potokiem hiszpańskich słów. Duszczyka nie próbowała protestować. Bez słowa pozwoliła się zaprowadzić do jasno oświetlonej kuchni, gdzie po prostu podniosła sukienkę, pokazując wypchaną, płócienną torbę. Señora odetchnęła z ulgą i odwróciła się do drzwi, w których właśnie stanęła Roza. Obie patrzyły dłuższą chwilę, nie odzywając się ani słowem.

– Roza... – szepnęła w końcu Esperanza robiąc niepewnie kilka kroków w stronę dziewczyny. – *Te ves como Roza*⁷.

Roza gwałtownie pokręciła głową.

– Nie! Jestem... jestem... – zająknęła się. Czterdzieści lat wcześniej Esperanza była jej najlepszą przyjaciółką. Teraz szukała w starzejącej się kobiecie rysów dobrze sobie znanej dziewczyny i z trudem je odnajdywała. Była rozdarta pomiędzy koniecznością zachowania swojej tożsamości w tajemnicy, a niechęcią do okłamywania dawnej przyjaciółki. Obie kobiety stały naprzeciwko siebie, nie pamiętając o otaczającym je świecie. Velar wtrącił się brutalnie, przerywając ten magiczną chwilę i wskazał palcem na Duszczykę.

7 Wyglądasz, jak Roza.

– Ona musi się położyć.

Duszczyka stała oparta o ścianę. Była przekonana, że bez niej upadłaby na posadzkę. Za wszelką cenę starała się utrzymać otwarte oczy, bo gdy je zamknęła, choćby na moment, czuła, że zasypia.

Señora Esperanza miała w sobie niespożyte pokłady macierzyńskich uczuć, a zmęczona i blada Duszczyka w jej mniemaniu wspaniale nadawała się na obiekt troski. Starsza pani w jednej chwili wróciła do rzeczywistości i załamała ręce. Zaprowadziła ich do saloniku i nie pozwalając nikomu dojść do słowa ułożyła dziewczynę na zapadniętej kanapie i nakryła kocem. W ostatnim przeblasku świadomości Duszczyka kiwnęła ręką na Velara.

– Niech mop nas pilnuje – mruknęła i nie czekając na odpowiedź zapadła w niebyt, jak w czarną dziurę, pozbawioną snów.

Mężczyzna bezwładnie zwisał z haka, na którym go powieszono zaledwie kilka godzin wcześniej, choć miał wrażenie, jakby ta męczarnia ciągnęła się od wieków. Wola walki, o ile w ogóle ją posiadał, gdy tu przybył, dawno rozplynęła się w jego krzykach. Teraz już nawet na to nie miał siły.

– No, nie udawaj martwego. U nas nic ci to nie da – szeptał mu Eskenezer prosto do ucha.

– Czy naprawdę warto upierać się przy swoim?
Kto was posłał do hotelu?

– Powiedzieli, że mnie zabiją, jeśli komuś wygadam – głos mężczyzny był ledwo słyszalny.

– No i zabili cię. Wprawdzie nie ci, o których myślałeś, ale chyba nie robi ci to różnicy?

– Cichy szept Eskenezera brzmiał miękko i kojąco, prawie jak miłosne wyznanie. Mężczyzna pokręcił głową, lecz nie było wiadomo czemu właściwie zaprzecza. Próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał wydobyć głosu. Nie chciał otwierać oka, jakiego mu nie wylupiono, żeby nie widzieć swojego oprawcy, gołych ścian i łańcuchów zwisających z niskiego sufitu. W ciasnym pomieszczeniu śmierdziało strachem.

– Możesz umrzeć tylko raz i już to zrobiłeś. Teraz jesteś mój na wieczność i będziesz tu wisiał, póki się nie dowiem wszystkiego, co chcę wiedzieć. Powiesz mi to. – Diabeł przerwał na chwilę, patrząc na bezwładne ciało. – Im szybciej, tym lepiej dla nas obu.

Powoli i z namysłem przejechał pejcem po twarzy skazańca. Mężczyzna skinął głową, na ile pozwalał mu wrzynający się w szyję sznur.

– Zaczynamy – uśmiechnął się diabeł, a srebrzysta blizna przecinająca mu lewy policzek zdawała się połyskiwać w półmroku. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały krzyki innego,

niedawno dostarczonego potępieńca, który zachował jeszcze trochę sił. Eskenezer wiedział, że i na niego przyjdzie pora. Chciał wiedzieć wszystko o człowieku, który wydał rozkaz ataku, o tym który zagroził jedynej kobiecie, jaką kiedykolwiek kochał i jednocześnie jedynej, której nie mógł mieć. Zamierzał tę informację wycisnąć wszelkimi środkami.

Larden siedział na szczycie pagórka i obserwował rezydencję El Grisa, położoną na sąsiednim wzgórzu. Wojskowa lornetka z laserowym dalmierzem, którą ukradł Staruchowi, była cudem i diabeł miał ochotę ją pogłaskać. Ba, mógłby nawet ożenić się z nią, gdyby jeszcze potrafiła gotować. Nie miał wyrzutów sumienia, bo po pierwsze dla takiego sprzętu był gotów nawet zabić, a po drugie Staruch całe manko zrzuci teraz na tych, którzy go napadli.

W błym przedświcie Larden mógł dokładnie obejrzyć teren parku otaczającego dom, basen, garaże, stajnie i wszelkie budynki służby i ochrony. Rezydencja tonęła w półmroku, ale wokół muru krążyli ludzie z długą bronią, a detektory ruchu zapalały kolejne reflektory. Diabła zdziwiła gęstość straży. Wyglądało to na środki nadzwyczajne, bo nawet najpilniej chronione obiekty nie były pilnowane jak ten, przez

całą armię.

– Ciiii – powiedział szeptem do skomlących cicho psów, które leżały obok niego. Wyciągnął rękę, żeby podrapać je za uszami. Były szkolenne do zabijania i towarzyszyły patrolom w zewnętrznym kręgu ochrony. Pierwszy strażnik, który miał nieszczęście natknąć się na Lardena zatrzymał się, gdy jego pies zjeżył się i zaskomlał. Nie zdążył zareagować, gdy był już martwy, a z jego krtani sterczał nóż, wbity aż po rękojęść. Diabeł ukrył trupa w płytkiej jamie i zasłonił liśćmi i trawą, ale zabrał z sobą jego psa i pistolet maszynowy. Drugi strażnik zginął kilka godzin później, być może wysłany na poszukiwanie pierwszego. Psy bały się diabła i tuliły uszy, ale nie oddalały się bez pozwolenia.

Larden głaskał je z roztargnieniem, starając się jak najlepiej zaplanować swój atak. Zamierzał wystrzelić tylko dwie rakiety, zachowując ostatnią na inny dom gangstera. Wpatrywał się w rozplanowanie budynków, wybierając najlepszy cel, gdy reflektory oświetliły odległy koniec rezydencji i w powietrze uniósł się niewielki helikopter. Diabeł zaklął. Będzie musiał poczekać, aż maszyna wróci, a miał nadzieję niedługo odjechać do miasta.

– Kto powiedział, że człowiek planuje, a diabeł rujnuje? To był chyba jakiś kompletny kre-

tyn – mruknął do swoich psów i rozsiadł się wygodniej.

– Obudź się – Duszczyka usłyszała czyjś łagodny głos i poczuła dotyk na ramieniu. Niechętnie otworzyła oczy i miała wrażenie, że ktoś nasypał do nich piasku.

– Wstań. Twój mop pukał do okna. Coś się zaczęło dziać na zewnątrz. Musimy iść – szepotała Roza. Duszczyka usiadła, odrzucając koc i ziewnęła. W pokoju przy drzwiach wejściowych stał Velar i wyglądał przez wizjer. Señora Esperanza stała przy stole, zawijając w papier kawałki ciasta, które wetknęła Rozie w ręce. Ucałowała obie młode kobiety i pożegnała wszystkich znakiem krzyża. Velar otrząsnął się.

– To mi przyniesie pecha – mruknął z przekonaniem i wzdrygnął się, przyspieszając kroku.

Na dworze było bardzo cicho, jakby całe ogromne miasto jeszcze spało, a z rzadka stojące stylowe latarnie nie dawały wiele światła. Cienie tańczyły wokół zbiegów w chłodzie nocy. Roza prowadziła ich w górę ulicy, gdzie na oddalonym zboczu majaczyły prawie czarne drzewa. Minęli zakręt i kiedy Duszczyka obejrzała się przez ramię, domu Esperanzy nie było już widać. Objęła się ramionami, próbując opano-

wać dreszcze.

– Zimno ci? – zdziwił się Velar, ale Duszczycka pokręciła głową.

– To z niewyspania. Zaraz mi przejdzie.

Niebo z jednej strony zaczynało jaśnieć i odezwały się pierwsze ptaki. Roza szła markotna, ze spuszczoną głową.

– Nie martw się – burknął Velar, zły na siebie, że okazuje troskę. – Przecież nic jej nie zrobią. Uprzedziłem ją, że tylko rozejrzą się po domu, zadadzą parę pytań i pójdą. Nie będą jej szturchać czy demolować wszystkiego, ani zagłędać do szuflad czy pod dywan.

Na to właśnie liczyła Duszczycka, zostawiając każdej z kobiet po pliku banknotów. Korzystając z zamieszania podczas ucieczki z domu Solany wrzuciła je do kuchennej szuflady, a u señory Esperanzy upchnęła pod poduszkami na kanapie. Uważała, że tym kobietom przydadzą się bardziej niż jej. Nie był to może najładniejszy sposób wyrażania wdzięczności, ale przynajmniej z jej talentów pokerzysty mógł skorzystać ktoś, komu te pieniądze się przydadzą.

– Na wszelki wypadek powiedziałam Solanie, że idziemy na plac, w dole. – Roza wyciągnęła rękę w stronę miasta, które zostawiali za plecami. Weszli teraz do rzadkiego lasku, który, jak głosiły tablice przy wejściu, był parkiem

miejskim. Ulica przeszła w wąską aleję, której zwir chrząścił im pod nogami. Velar pociągnął obie kobiety w głąb lasu, w stronę altanki majaczącej w bladym świetle. Zza ażurowych ścianek można było obserwować okolicę, samemu nie będąc na widoku.

– Co będziesz robić, kiedy wrócisz do siebie?

– spytała Duszczyka, próbując rozproszyć senność. Roza wzruszyła ramionami.

– Nie mam wielkiego wyboru. Będę czymś w rodzaju Aurelii, tylko w mniejszym domu. Właściwie to mój dom bardziej przypomina chatę, ale i tak jestem szczęśliwa, że go mam i jestem panią siebie. Dzięki tobie – uśmiechnęła się.

– Przesadzasz, to raczej Mefisto wyciął Belzebubowi numer, kiedy cię wykupił. Ja o niczym nie wiedziałam.

– Ciiiiii – mruknął Velar, który nie tylko obserwował okolicę, ale zdawał się węszyć w powietrzu. – Umiem wyczuć innego diabła w pobliżu, ale nie człowieka. Niech każda pilnuje swojego kawałka parku. O której masz spotkanie z Lardenem?

– Za trzy godziny, niedaleko stąd – powiedziała Roza cichym głosem. – Dojdziemy tam spacerem w kwadrans.

Velar niespokojnie kiwnął głową, wpatrując

się w przestrzeń. Niecałe trzy godziny to bardzo mało, albo bardzo dużo.

Eskenezer skończył dyktować maszynistce raport z przesłuchania obu skazańców.

– Wydrukuj w trzech egzemplarzach i rozślij jak zwykle. Mam zgodę na użycie kanału dla vipów, załatw z sekretarzem Azazela aktywację najdalej za godzinę. Niech mi przygotuje miejski zestaw wyjściowy z tłumikiem, no i czyste ubranie, bo w tym mnie na ziemi aresztują.

Oboje popatrzyli na strój komandosa, na którym plamy krwi zdążyły już zeszywnieć. Eskenezer z niechęcią wytarł dłonie o spodnie i ruszył w stronę łazienki. Gdyby kobieta Azazela zobaczyła go w takim stanie, uciekłaby z krzykiem.

Tymczasem kobieta Azazela spała w najlepsze na twardej drewnianej ławce altanki. Roza siedziała obok niej i posłuszenie lustrowała swój kawałek parku. Velar stał odwrócony do niej plecami i liczył upływające sekundy. Zadawał sobie sprawę, że kara za niewykonanie rozkazów będzie straszna i tym razem nawet Duszczyka nie będzie w stanie go obronić. Może się nawet okazać, że w ogóle już jej nie będzie. Potrząsnął głową, żeby odpędzić myśli, jak zwy-

kle podsuwające najgorsze scenariusze. Tysiące lat niepowodzeń nauczyły go pesymizmu. Nie był zdolnym diabłem i jego kariera obfitowała w widowiskowe wpadki. Wpatrywał się teraz w las, w którym nikt się nie pokazał od kilku godzin.

– Długo jeszcze? – spytał Rożę. Gdy wciągał powietrze, coś w zapachu mu się nie podobało, ale nie umiał tego określić. Jakieś mgliste poczucie zagrożenia unosiło się z wiatrem.

– Najwyżej kwadrans.

– Nie budź jej, sam pójdę. Tak będzie bezpiecznie.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Nie wiesz nawet jak ten cały Larden wygląda i co zrobisz?

Wzruszył ramionami.

– Są sposoby. Zawsze rozpoznam innego diabła.

– Pytanie, czy tego co trzeba.

Velar milczał.

Larden obserwował rezydencję El Grisa przez swoją cudowną lornetkę. Uruchomiony na moment laser podał mu odległość do najbliższego budynku, jego długość i szerokość, kąt nachylenia strzału przy różnicy wysokości i azymut. Diabeł zakochał się w nowej zabawce bez pamięci. Miał tylko nadzieję, że systemy

bezpieczeństwa w rezydencji nie zostały wyposażone w detektory promieni laserowych, bo wtedy może nie zdążyć dokonać swojej zemsty. Poglaskał lornetkę i zabrał się za programowanie rakiet. Od rezydencji dzieliło go blisko trzy kilometry, czyli o kilkaset metrów więcej, niż szacował. Wzruszył ramionami. Nawet najlepiej wyszkoleni snajperzy mylili się w ocenach. Po to istniały takie cudenka, jak to, które miał na szyi. W bladym świetle świtu ustawił wszystkie parametry i czekał.

Helikopter wrócił po kilkunastu minutach. Zbyt szybko, by mógł kogoś odwieźć lub dostarczyć. Larden wsłuchiwał się w odgłos silnika przelatującej prawie nad nim maszyny i miał wrażenie, że rytm jest nierówny. Helikopter opadł na jasno oświetlone lądowisko, ale nie było widać czy ktoś z niego wysiadł. Diabeł wstał i właśnie miał wziąć do ręki pierwszą z rakiet, gdy jeden z jego psów wstał niespokojnie i położył uszy po sobie. Bał się tego, kto się zbliżał.

Larden błyskawicznym ruchem zdjął bluzę i zerwał z siebie czarny podkoszulek. Okręcił nim pistolet, robiąc prowizoryczny tłumik. Na wiele się to nie zda, ale przynajmniej strzał nie będzie tak wyraźnie słyszalny w okolicy.

– Szukaj! – rzucił komendę jednemu z psów, wysyłając go na spotkanie intruza. Zwierzę po-

kręciło się chwilę niezdecydowane, spojrzalo na Lardena, jakby pragnąc, żeby zmienil zdanie i w końcu posłusznie ruszyło truchtem w dół stoku. Diabeł przynajmniej teraz wiedział z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Pociągnął za obrozę drugiego psa i kilka metrów w dół stoku kazał mu siadać, robiąc z niego przynętę. Sam odbiegł w bok, wybrał duże, rozłożyste drzewo i wspiał się na nie zręcznie, jak małpa. Czekał. Jego praca w ogromnym stopniu polegała na czekaniu i potrafił bez zmęczenia tkwić godzinami w tej samej pozycji, wtopiony w tło.

Teraz wpatrywał się w las, jednocześnie starając się wachać i słuchać. Czuł mrowienie na karku i wiedział, że ten, który się zbliża, też jest diabłem. Wreszcie dostrzegł samotny cień, bezszelestnie przesuwany się od drzewa do drzewa. Wysłany mu na spotkanie pies najwidoczniej nie przeżył spotkania. Obcy miał w rękach gotowy do strzału pistolet maszynowy, taki sam, jak ten, który Larden zdobył na jednym z jego kolegów.

Diabeł podniósł broń. Nie miał wyrzutów sumienia, zabijając intruza, bo po pierwsze nie bardzo się orientował czym w ogóle jest sumienie, a po drugie zabity i tak się zregeneruje. Pozostawało tylko dopilnować, żeby nie zobaczył kto go trafił i nie doniósł o tym gdzie nie trzeba.

Larden zdawał sobie sprawę, że ma tylko jedną szansę. Jeśli chybi, obcy go zastrzeli, a wtedy czeka go długie i bolesne przesłuchanie. Uważnie wycelował i gdy intruz na moment znieruchomiał pod niedalekim drzewem, pociągnął za spust. Rozległ się przytłumiony huk. Diabeł błyskawicznie osunął się po pniu na ziemię, żeby zejść z linii ewentualnego ostrzału i ostrożnie wyjrzał. Trafił! Obcy leżał na ziemi, twarzą w zwiedłych liściach i zielsku.

Larden uniósł mu głowę i okręcił podkoszulkiem, którego użył przedtem jako tłumika, związał ręce jego własnym paskiem i wrócił do swoich rakiet. Nie było szans, żeby intruz trafiony w pierś podniósł się szybko, więc przez jakiś czas miał swobodę działania. Na wszelki wypadek wyjął z cholewki buta nóż i zgrabnym ruchem podciął leżącemu gardło, a potem wytarł ostrze w koszulę trupa i bezszelestnie wrócił na miejsce obserwacji.

Zirytowany niespodziewaną zwłoką spojrział przez lornetkę na rezydencję i dostrzegł dwie czarne limuzyny wjeżdżające przez bramę. Kilku mężczyzn wysiadło na podjeździe i weszło do budynku. Gwizdnął cicho częściowo z zaskoczenia, że ofiar będzie więcej. Prawie w tej samej chwili coś szturchnęło go w nogę. W ułamku sekundy diabeł odwrócił się, gotów strzelić

i w ostatnim momencie cofnął palec. Obok niego stał pies, przywabiony gwizdnięciem.

– To nie było do ciebie, baranie – mruknął.
– Mogłem cię zastrzelić.

Podniósł lornetkę do oczu w samą porę, by zobaczyć kolejne podjeżdżające samochody. Uśmiechnął się z zadowoleniem. El Gris najwidoczniej organizował sobie jakiś zlot gwiazdzisty. W ciągu godziny przybyło jeszcze kilka limuzyn i banda płaczących się po bocznym parkingu ochroniarzy zdecydowanie wzrosła. Larden próbował się połączyć z kobietą Azazela, żeby ją uprzedzić, że dojedzie później, ale jego telefon nie łapał zasięgu. Wzruszył ramionami. Trudno, będzie musiała poczekać. To było ważniejsze. W końcu mścił się nie tylko za siebie, ale także za nią.

– No to zaczynajmy – szepnął z uśmiechem.

Stanął między drzewami z wyrzutnią na ramieniu. Odpalił ją i w napięciu obserwował miejsce trafienia. Front rezydencji rozprysnął się wokół, strzelając odłamkami w górę i na boki. Kolejne ładunki eksplodowały wewnątrz budynku, zamieniając go w kupę gruzu i wywołując pożar. Larden czuł z jednej strony satysfakcję a z drugiej niepokój przed spodziewaną karą za działanie bez rozkazu. To go jednak nie mogło powstrzymać. Odczekał minutę, aby dać

czas ochronie na skupienie się w jednym miejscu i posłał drugą raketę. Nawet tu, gdzie stał, usłyszał głuchoe tąpnięcie, a drgnięcie ziemi pod stopami przyniosło echo wybuchu. Uśmiechnął się, zarzucił na plecy marynarski wór, teraz wyraźnie lżejszy i biegiem ruszył w dół stoku, przywołując psa gwizdnięciem. Zastrzelonemu intruzowi nie poświęcił ani chwili uwagi. Był beużyteczny.

Velar patrzył na Duszyczkę, śpiącą na twardej ławce, z torbą pieniędzy pod głową i nakrytą marynarką, którą Roza kazała mu oddać dobrą godzinę wcześniej.

– Dzwoniłaś do niego?

– Kilka razy. Nie łapie zasięgu, albo wyłączył telefon.

– Albo zgubił, albo mu ukradli, albo musiał się go pozbyć. Larden jest nam potrzebny, a to miejsce to nasz jedyny kontakt. Pójdę sam i poczekam na niego. – westchnął. – Coś jest nie tak...

– Dlaczego nam pomagasz? – spytała nagle Roza cichym głosem. – Narażasz się paskudnie.

Velar wzruszył ramionami. Nie rozumiał po co ta kobieta go wypytuje. Przecież myślenie nigdy nie było jego mocną stroną.

– Mam wobec niej dług wdzięczności. Nie

chciałem, żeby ją złapali ci, którzy byli w hotelu, a wiem, że na kogoś polowali. Potem... jakos samo poszło – powiedział trochę bezradnie i odwrócił się w jej stronę.

Nie wiedział, jak właściwie mogło do tego dojść. W jednej chwili był bohaterem, ratującym kobietę swojego szefa, a w następnej stał się w oczach piekielnego prawa zbuntowanym dezercerem. Teraz nawet kobieta Azazela nie da rady wyciągnąć go z bagna, w jakie sam się wpackował. A przecież chciał dobrze. Roza stała teraz tuż obok niego, unosząc twarz i przechylając głowę, jakby się nad czymś zastanawiała. Zdaniem Velara była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział, a widział ich wiele. Wcale się nie dziwił, że swego czasu Władca trzymał ją jako kochankę przez całe trzy lata, choć normalnie zmieniał kobiety razem z rękownikami. Teraz mieszkała w rezydencji Mefistofelesa, więc kto wie, czy nie było między nimi coś na rzeczy. Na tym polu na nic dla siebie nie liczył, bo włożenie księżetom w szkodę byłoby jeszcze głupsze, niż ratowanie ich kobiet.

Roza uśmiechnęła się łagodnie i przejechała czubkami palców po rękawie jego koszuli. Velar poczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele. Pragnął, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale kobieta zaraz zrobiła krok do tyłu, jakby

zmieniła zdanie.

– Może faktycznie idź, tylko bądź ostrożny. Jeśli nie wrócisz za kwadrans, pójdziemy stąd. Spotkamy się przy fontannie w parku, tam, za tym wieżowcem. Widzisz? – wyciągnęła rękę.

– Będę siedziała na ławce, a Duszyckę gdzieś schowam.

– To zły pomysł. Przejdź o każdej nieparzystej godzinie przed główną komendą policji, od strony parku. Wiesz gdzie?

Roza kiwnęła głową.

– Tam jest zawsze dużo ludzi i nie będziesz się rzucać w oczy. Gdyby mnie nie było, to nie czekaj, odejdź. Jeżeli nie wrócę do zmierzchu, musicie sobie radzić same, z Lardenem czy bez niego.

– Uważaj na siebie – szepnęła.

Velar wyciągnął rękę, jakby chciał ją dotknąć, ale zaraz odwrócił się i szybkim krokiem ruszył przez pusty las. Roza podeszła do Duszyckiej i delikatnie pogłaskała jej ramię.

– Wstań, zaraz idziemy.

Azazel przeciągnął się w swojej jamie. Czyścił kolejno wszystkie komórki swojego ciała i po niespełna dwudziestu czterech godzinach doszedł dopiero do połowy. Nadal był na głodzie i miał męczącą świadomość, że czas działa

przeciwko niemu. Musiał zaryzykować i wrócić do miejsca, z którego uciekł w ostatniej chwili i mógł tylko mieć nadzieję, że teraz będzie wystarczająco silny, żeby zrobić to, co musi. Wziął głęboki wdech, zamknął oczy przed nieuniknionym kurzem i ku swojej uldze poczuł, jak unosi się coraz prędzej w wąskim kanale transportowym VIPów, wracając po swoich śladach. Sekundę później siedział na twardej pryczy w podziemiach budynku, który opuścił poprzedniego dnia.

Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu ledwo rozjaśnionym trupim światłem pojedynczej świetlówki na suficie. Wszystkie pozostałe były potłuczone i w kątach zalegał półmrok. Jedynymi sprzętami była prycza, stół i przewrócone krzesło. Cienki jak placek materac, na którym siedział, był miejsce przy miejscu pocięty nożami, jakby ktoś czegoś szukał i z furją mścił się, gdy nie znalazł.

Azazel wstał i ruszył w stronę kilku schodów wiodących do uchylonych drzwi, ale nie zdołał do nich dojść. Potknął się o ciało leżące na plecach obok stołu. Stał nad nim i przyjrzał się uważniej. Trudno było powiedzieć, czy go znał, bo kilka strzałów z bliskiej odległości pozbawiło trupa twarzy. Trącił go butem. Wydawało się, że mężczyzna nie żyje od wielu godzin, jednak

Azazel nie potrafił określić jak długo przebywał w swojej jamie i nie wiedział ile czasu po jego ucieczce zlikwidowano strażnika. Nieważne. Był człowiekiem, a nie diabłem więc i tak chłopaki z pewnością zajmują się nim w piekle. Jeżeli będzie miał pecha, to może nawet sam Eskenezzer...

Na podłodze pod stołem Azazel zobaczył strzykawkę, zapewne tę samą, która szykowano dla niego. Te komórki jego organizmu, których nie zdążył naprawić zawyły ze szczęścia. Diabeł zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Nie będziecie mi mówiły co mam robić – warknął sam do siebie i zgniótł strzykawkę butem. Jeszcze tylko kilka godzin i będzie wyleczony, ale teraz tylko jedna myśl powstrzymywała go przed szukaniem narkotyku: musiał znaleźć Duszyczkę. Bez niej mógł równie dobrze przyłączyć się do ludzi zebrzących na ulicy o kolejną działkę.

Bezszelestnie wszedł po betonowych schodach i ostrożnie zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia. Było duże i pełne światła, z wysokim sufitem i okratowanymi oknami wychodzącymi na pobliski mur. Najwidoczniej i tutaj czegoś szukano, bo szafki były poprzewracane, a cała zawartość wysypana na podłogę. Diabeł rozejrzał się, ale żadnych niespodzianek w po-

staci trupów na podłodze nie zauważył. W niektórych miejscach widział ślady proszku do zdejmowania odcisków palców. Domyślił się, że to raczej nie policja dokonała nalotu, bo oni nie zostawiliby ciała w sąsiedniej salce. Diabeł uznał, że nic tu po nim i zniknął, kierując się do swojej rezydencji.

Velar szedł szybkim krokiem w dół ulicy. Placyk, na którym byli umówieni z Lardenem leżał wprawdzie zaledwie o kilka minut drogi, ale doliczając czas na poszukiwanie nieznanego sobie diabła i drogę powrotną, nie można było pozwolić sobie na beztrioskie spacerowanie.

Placyk był mały, zalany słońcem i pusty, tylko w biegnących wokół podcieniach kręcili się ludzie. Velar obszedł je, przyglądając się przechodniom. Czuł czyjaś obecność, ale nie umiał zidentyfikować ani miejsca ani osoby. Wrażenie było słabe i przypisywał je porannej akcji w domu Solany, po której mogły się kręcić po okolicy pojedyncze patrole. Najwyraźniej Lardena jeszcze nie było. Velar postanowił poczekać kilka minut, ot, na wszelki wypadek. Oparł się plecami o mur i obserwował plac i podcienia po przeciwnej stronie, oświetlone odbitymi od prawie białych kamieni promieniami słońca.

Gdy poczuł intensywnie czyjaś obecność,

było za późno na jakąkolwiek reakcję. Tuż obok, podobnie jak on opierając się o mur i niemal dotykając go ramieniem, stał Eskenezer. Velar popatrzył zaskoczony na jego złowieszczą uśmiechniętą twarz i wiedział, że przegrał na całej linii. Próbował uciekać kanałem transportowym, ale nie mógł go uruchomić. Szef spojrział na niego z politowaniem i pokręcił głową.

– Witaj Eskenezerze. – Velar starał się brzmieć pewnie.

– Witaj komandosie. Czekasz tu na kogoś?

– Sam nie wiem. Chyba już nie.

– Gdzie ona jest?

– Która ona? – zapytał z głupia frant Velar.

– Były dwie.

– A to nie są razem? – zdziwił się Eskenezer, choć brak lotności u diabła czwartego szeregu nie powinien go zaskakiwać. Poza tym wywiad donosił, że poprzedniego dnia widziano dwie odpowiadające rysopisowi kobiety w towarzystwie Velara. Wszyscy zakładali, że nadal są w trójkę.

Velar zwiertzył szansę na zmylenie wszystkich i pokręcił głową.

– Roza miała ją ukryć, póki się nie zorientujemy o co w tym chodzi i dlaczego jest tyle zamachów na kobietę Azazela.

– Czyli gdzie teraz jest?

– Nie wiem – Velar rozłożył ręce. Zastanawiał się czy już minęło piętnaście minut i czy obie zdołały bezpiecznie opuścić park i zniknąć w ogromnym mieście, gdzie można ich szukać i nigdy nie znaleźć. Nie chciał patrzeć na zegarek, żeby nie podsuwać szefowi myśli, że gra na czas.

– Nas interesuje wyłącznie Duszczyka. Roza zostanie ukarana przez niebieskich za niedotrzymanie warunków przyjazdu. Nie nasza sprawa. Ty dostaniesz od nas karę osobną, ale oni też będą mieli coś do powiedzenia, bo działałeś po części na ich zlecenie. Dopiero czekamy na pismo w twojej sprawie. Mów. Lepiej teraz, niż kiedy zabiorę cię do piekła pogadać w podziemiach koszarów.

Velar poczuł dreszcz. Podziemie było miejscem, którego starano się unikać za wszelką cenę, no chyba że komuś przyszło tam pracować. Tortury wyciskały prawdę z każdego.

– Wiedziałem, że będę miał pecha. Takie rzeczy nie przechodzą bezkarnie.

– Jakie rzeczy? – Eskenezer pytał pozornie bez zainteresowania.

– Ta cholerna baba przeżegnała nas na dowidzenia. – W ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby nie wymieniać imienia Esperanzy.

Przesądny Eskenezer popatrzył na podwład-

nego z niechęcią, jakby to była jego wina i odsunął się o centymetr, nie chcąc, żeby nieszczęście przeszło na niego.

– Jeszcze raz, gdzie ona jest?

– Nie wiem, gdzie teraz jest. – Velar wzruszył ramionami. – A co konkretnie stanie się z Rozą? – spytał.

Eskenazerowi zdawało się, że usłyszał w jego głosie troskę. Oderwał się od ściany i spojrzał uważniej.

– Czy ja cię dobrze rozumiem? Spodobała ci się? – roześmiał się na całe gardło.

– Może i jestem głupi, inaczej bym się tak nie wpakował, ale nie jestem kompletnym kretynem. Nie ruszam kobiet książąt.

– Ona nie jest niczyją kobietą. Mieszkała u Mefistofelesa, ale w osobnym domu. On nie był zainteresowany. I nie mów mi, że byłeś z nią w hotelu na godziny i nic nie zrobiłeś.

– Myślałem, że mam jej pilnować, a nie ją pieprzyć – warknął Velar obrażonym głosem.

– Pilnowanie też ci nie wyszło – zadrwił Eskenazer. Velar był coraz bardziej zły. Podniósł rękę i spojrzał na zegarek. Minęło już ponad dwadzieścia minut. Jeszcze chwila, będzie mógł spokojnie powiedzieć, gdzie zostawił kobiety.

– No to ruszajmy się – szef wskazał mu ręką

przeciwległą stronę placu. Velar nie zmierzał być baranem prowadzonym na rzeź. W gorze ulicy zobaczył jakąś kobietę, szczupłą i niewysoką, która od biedy mogła być uznana za Rożę. Wskazał ją szefowi ruchem głowy, a gdy Eskenezer odwrócił wzrok, wystartował pędem w dół placu i dalej na ulicę. Nigdy, od początku świata, nie biegł tak szybko. Dziwił się tylko, że nie słyszy za sobą kroków goniącego go szefa komandosów. Z przejścia między domami wysunął się cień, który dostrzegł w ostatniej chwili. Lekko odbił w bok, ale nie był dość szybki. Kopniak prądu z paralizatora powalił go na ziemię i chwilę później napastnik wraz z Eskenezerem podnieśli go, i zarzuciwszy sobie jego ramiona na szyję, powlekli jak pijanego. Zdążyli wepchnąć swój ciężar do czekającej furgonetki tuż przed pojawieniem się statecznie sunącego patrolu policji z długą bronią, ale tego już Velar nie widział.

Azazel stał przed gruzami swojej rezydencji oniemiały i przerażony. Opuszczone stalowe żaluzje sprawiły, że cała siła wybuchu poszła w górę, niszcząc dach i ściany, a resztki domu zaścielały trawniki. Przez wyrwane drzwi wbiegł do gruzowiska, szukając jakichkolwiek śladów Duszyczki, nie zwracając uwagi

na grożące w każdej chwili zawaleniem szczytki sufitu. Podłoga w hallu była pokryta belkami, fragmentami dachu i szkłem z potłuczonego na tysiące kawałków świetlika. Biegał po ruinie swojego domu, cały czas wołając Duszyczkę. Rozpoznawał fragmenty ścian i resztki połamanych i nadpalonych mebli, ale nigdzie nie było ani śladu jego kobiety, tylko z boku, blisko pełnego śmieci basenu leżała jej na wpół spalona sukienka, cała w strzępach. Podniósł ją i stał teraz na gruzach brudny, wysmarowany sadzą i ceglanym pyłem, w rozdartej i pokrwawionej koszuli, aż wreszcie wyrwał mu się z gardła ryk wściekłości.

Ten, kto chciał w niego uderzyć atakując jego kobietę, trafił najboleśniej, jak to tylko było możliwe. Dla czystej zemsty był teraz gotów ruszyć na wojnę z całym piekłem i każdym jego przedstawicielem z osobna.

– Kimkolwiek jesteś, nie będziesz miał chwili spokoju – powiedział w przestrzeń, przekonany, że jego głos i tak dotrze do kogo trzeba. – Zetrę cię na proch, nawet gdybym musiał zniszczyć świat.

Wyszedł przed dom i przez chwilę stał bez ruchu, próbując sobie przypomnieć tę pożyteczną informację, którą jakaś poprzednia kochanka sprzedała mu za ogromną sumę. Ciąg

liczb, oznaczający lokalizację najbardziej tajnego miejsca na świecie. Pora przekonać się, czy mówiła prawdę.

Strażnik ukryty w budce przy bramie obserwował Azazela biegającego po gruzowisku i próbującego czegoś szukać. Natychmiast złapał za telefon.

– Przyszedł... tak, strasznie wściekły, krzyczał... nie, nie widział mnie – mówił cichym głosem. – Zatłukłby mnie od razu... teraz stoi i patrzy... Tak jest, natychmiast. – Strażnik z niechęcią wyszedł za próg, żeby podać Azazelowi telefon, ale na gruzowisku już nikogo nie było.

Larden biegł po zboczach, okrążając wzgórze. W dole widział opasującą je drogę, a na niej kilka samochodów pędzących na złamanie karku. Najwolniejszy z nich, należący zapewne do którejś stacji telewizyjnej, miał na dachu sprzęt do przekazu satelitarnego, a pozostałe pewnie należały do paparazzich czy innych hien. Odsunął na bok chęć zestrzelenia ich swoją cudowną rakieta. Nie spodziewał się tego towarzystwa aż tak szybko. Widać ich system powiadomiania stale był usprawniany. Helikopter, który chwilę wcześniej przeleciał mu nad głową, miał wyraźne oznakowanie policyjne, czyli cholerni stróże

prawa też już wiedzieli. A gdzie nasi? - przeleciało mu przez głowę.

Nie zwalniając kroku biegł teraz w dół, przez chwilę czekał, aż auta znikną mu z oczu zanim przeciął drogę i bez żadnych oznak zmęczenia pędził dalej w stronę miasta. Co jakiś czas wyciągał z kieszeni telefon, ale w tej bezludnej okolicy nadal nie łapał zasięgu. Przyspieszył. Termin spotkania z Rozą i kobietą Azazela dawno minął. Liczył, że pilnujący ich Velar poradzi sobie z sytuacją. Nigdy wcześniej się nie spotkali, czyli nie mógł to być diabeł wysokiej rangi, bo inaczej musieliby się znać.

Pilnie potrzebował transportu. Rakieta, którą niósł w marynarskim worze wykluczała możliwość łapania przygodnej okazji. Nigdy nie wiadomo na jakiego podejrzliwego świra się trafi. Trzeba będzie coś ukraść, a pierwsze, a z rzadka pojawiające się już zabudowania dawały na to nadzieję. Zatrzymał się za ogrodzeniem jednego z domów i zaskoczony poczuł, że pies liże go po ręce. Zupełnie o nim zapomniał, zajęty własnymi myślami.

– Myślisz, że mają tu inne psy? Wolałbym załatwić sprawę po cichu.

Pies szczeknął. Zza płotu odpowiedziała im cisza.

– Niegłupi jesteście – szepnęła Larden z uzna-

niem i położył swój ciężar na ziemi.

– Pilnuj! Zaraz wracam. – Zręcznie przeskoczył niskie ogrodzenie i zniknął za walącą się szopą. Chwilę później otworzył bramę i bezszelstnie wypchnął przez nią podniszczzonego piczupa.

– Wskakuj – mruknął do psa, wkładając do auta wór z rakietą. Wyjeżdżając z gruntowej drogi na szosę przepuścili pędzące karetki pogotowia i skierowali się w przeciwną stronę, ku majaczącemu zza wzgórz miastu.

Duszczyka siedziała na ławce w parkowej al-tanie, obejmując się ramionami.

– Gdzie Velar? – spytała, rozglądając się dookoła przez obrosniętą jakimś pnączem kratkę, odgradzającą ją od świata.

– Poszedł się spotkać z Lardenem. Od kilku godzin nie możemy się do niego dodzwonić. Musimy się zamienić sukienkami. Rozbierz się.

Roza zdjęła sweterek teraz mocowała się zamkiem spódnicy. Duszczyka posłusznie ściągnęła przez głowę bezkształtną, luźną kiecę.

– Po co? – spytała, otrząsając się z zimna.

– Polują na ciebie, teraz już pewnie wiedzą jak jesteś ubrana. No to zrobimy im niespodziankę.

– W żadnym wypadku! – powiedziała Du-

szyczka kategorycznym tonem, odsuwając od siebie ubranie Rozy. – Z pewnością na to nie pozwolę.

– A niby czemu nie? – Rozbawiona twarz Rozy wyłoniła się z przepastnego wnętrza paskudnej sukienki w czerwone kwiatki. – Nie myślisz chyba, że można mnie jeszcze bardziej zabić?

Trudno było cokolwiek zarzucić takiemu tokowi rozumowania i Duszczyka niechętnie włożyła na siebie zielonkawy sweterek i szarą spódnicę z falban. Sądząc po metkach musiały kosztować majątek i niewątpliwie były darem Mefista. Zastanowiła się przez chwilę nad przyczynami takiej hojności, ale szybko uznała, że to nie jej sprawa. Wprawdzie diabeł cały czas deklarował, że na nią poczeka, ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł się spodziewać, że będzie przez nieokreślony czas żył w celibacie.

– Chodź – Roza pociągnęła ją za rękę do wyjścia. – Znikamy stąd, bo Velara nie ma już od kwadransa. Musiało mu się coś przytrafić. Teraz musimy same zadbać o siebie.

– Nie chodzi mi o dbanie. Chcę znaleźć Aza-zela, a bez Lardena nie dam rady.

Gdy dotarły do skraju parku, stanęły przy obrośniętej bluszczem balustradzie i spojrzały

w stronę miasta. Ulicą od strony placu zmierzowało w ich stronę kilku mężczyzn. Duszyczka przyjrzała się uważniej, bo miała wrażenie, że w pierwszym z nich jest coś znajomego.

– Matko moja! – jęknęła, cofając się gwałtownie. – Eskenezer!

– Myślisz, że on też jest przeciwko nam? – zdziwiła się Roza.

– Nie ufam już żadnemu z nich, poza Lardenem. Tak, wiem, paranoja z natręctwami. Ty jak chcesz, ja zwiewam.

Puściła się biegiem alejką wzdłuż ulicy, byle dalej od nadciągających diabłów. Za sobą słyszała lekkie kroki goniącej ją Rozy. Gdy park się skończył Duszyczka zwolniła, nie chcąc zwracać na siebie uwagi na ulicy. Roza dogoniła ją wreszcie i poprowadziła w miasto. Kilka milionów mieszkańców dawało nadzieję na długą zabawę w chowanego z diabłami.

Lucyfer uchylił drzwi do salki, w której urzędował jego osobisty asystent. Gereban prowadził trzy rozmowy na raz, przełączając się między rozmówcami, odpowiadał na maile i wysyłał faksy. Lucyfer miał wrażenie, że patrzy na wieloręką boginię Kali, załatwiającą kilka spraw jednocześnie. Stanowczo Gereban, pomimo pewnych niedociągnięć, był najlepszym

pracownikiem operacji naziemnych od wielu dziesięcioleci.

Uwagę diabła przykuła ewidentna irytacja asystenta, który kłął, rozmawiając z kimś przez telefon. Widział tylko jego plecy, wystające zza oparcia kosztownego fotela, obitego piękną skórą. Zamiłowanie do luksusu było tą słabością Gerebana, którą tolerował bez zmrużenia oka.

– Nie wiem, gdzie jest... nie mówił mi, dokąd. Sam się dowiedz, kuternogo... dobra, zawiadomię go, jak tylko się pokaże... Moich też nie odbiera... spierdalaj!

Asystent odłożył słuchawkę i natychmiast odebrał następny telefon. Lucyfer na palcach wszedł do pokoju i rozsiadł się na lekko podniszczonym fotelu, identycznym, jak należący do Gerebana. Bawiło go obserwowanie pracy wewnętrznego sekretariatu. Oczywiście połowę obowiązków jego asystent wykonywał dobrowolnie, choć mógł je spokojnie przekazać komuś niżej postawionemu. Wynikało to częściowo z jego wścibstwa - nie mógł przeboleć, kiedy ktoś był lepiej poinformowany od niego, a częściowo z nieprawdopodobnego pracowolizmu, który kazał mu załatwiać wszystkie sprawy, jakie tylko pojawiały się na horyzoncie. Miał w sobie tyle energii, że podłączony do sie-

ci elektrycznej dałby chyba radę oświetlić całe miasto.

Gereban odwrócił się, żeby wyjąć kartki, które właśnie wypluwała drukarka i zobaczył szefa, przyglądającego mu się spod oka. W jednej chwili zerwał się z fotela.

– O Belzebubie, ale mnie pan wystraszył, szefie. Moment, już się panem zajmuję.

Włączył przycisk komunikacji z podwładnymi i rzucił w przestrzeń:

– Przejmijcie wszystkie połączenia, z wyjątkiem tych od ksiąząt. Jestem zajęty. Raporty bezpośrednio szefowi faksem albo mailem. Nie meldować o trudnościach.

Stanął na baczność i skłonił głowę. Był blady i zaciskał usta.

– Chciałbym złożyć dymisję, szefie – powiedział głucho, po czym wyciągnął rękę i ze stosu papierów podniósł pojedynczą kartkę, którą wręczył Lucyferowi.

– Co to jest? – spytał diabeł, nie zadając sobie trudu czytania.

– Moja dymisja. – Gereban nadal stał sztywno, jakby kij połknął. Widać było, że rozstanie ze stanowiskiem przychodzi mu z najwyższym trudem. Pызata twarz tępawego nastolatka zastęła w wyrazie sztucznej obojętności.

– Powód?

– Ciężkie niedopatrzenie i naruszenie obowiązków.

Lucyfer przechylił głowę i popatrzył przeciągle. Celowe niedopatrzenie u Gerebana nie mieściło mi się w głowie, ale w końcu każdy może zdradzić, więc niby czemu wykluczać go z listy potencjalnych renegatów.

– Lepiej, żebyś miał dobry powód. Szczegóły!

– Kobieta Azazela – westchnął asystent. Miał szczerą ochotę wtłuc tej durnej babie, przez którą za chwilę straci najlepsze stanowisko we wszechświecie. Może nawet zostanie zesłany do mycia kibli w siedzibie wywiadu u Achillesa, na pośmiewisko wszystkich. We własnym mniemaniu jak najbardziej na to zasłużył.

– Co z nią?

– Po pierwsze nie wiedziałem, że ona jest priorytetem, dopiero Achilles mi powiedział. A co gorsza popełniłem ten błąd, że jej nie doceniłem. Myślałem, że skoro jest zwykłą kobietą, to łatwo będzie ją złapać...

– Z wielu względów to nie jest zwykła kobieta – zaczął cierpliwie Lucyfer, przerywając te wywody. – Nawet Azazelowi zajęło trochę czasu, żeby ją złapać.

Książę piekła siedział przez chwilę bez ruchu, patrząc przed siebie, a jego asystent milczał,

czekając aż będzie mógł przejść do szczegółów i ujawnić swoją hańbę w całej rozciągłości.

– Wiesz Gerebanie, kiedy się nad tym zastanowić to właściwie nie on ją, ale ona jego złapała. To jedna z najbardziej dla nas niebezpiecznych istot na ziemi, gorsza od aniołów, bo jest po prostu dobra, choć Mefisto twierdzi, że ona jest wybiórczo niemoralna, cokolwiek przez to rozumie. Swoją drogą nie wiem skąd on miałby to wiedzieć. Nie dziwię się, że ktoś próbuje ją wyeliminować, ale ze względu na Azazela absolutnie nie jest mi to na rękę akurat w tej chwili.

Asystent powoli kiwnął głową. Zupełnie nie rozumiał wzajemnej fascynacji Duszczyki i Azazela, która ciągnęła się od ładnych kilku lat. Jemu wystarczała władza, jaką zdobył pracując dla Lucyfera i żadna kobieta nie mogłaby mu zapewnić takiego spełnienia.

– Co ci zrobiła? – spytał Lucyfer po chwili milczenia.

– Wymknęła się. Kazałem obstawić dom siostry Rozy chyba tylko minutę po tym, jak ona tam weszła i założyłem, że nie ma tylnego wyjścia.

– Było?

– No właśnie i tamtędy musiała uciec. Eskenazer złapał Velara, tyle że bez niej. Właśnie go przesłuchuje, ale w mojej opinii szukaj wiatru

w polu. To miasto ma siedem milionów ludzi.

– Ku twojemu utrapieniu pewnie każdy będzie chciał jej pomóc. Ta kobieta to dla nas ciężkie doświadczenie, bo umie owijać sobie wszystkich wokół palca. Czy wiesz, że dwa razy była w pałacu Belzebuba i dwa razy uzyskała to, po co przysła?

Gereban słyszał wcześniej tę historię, ale z trudem w nią wierzył. Chętnie by poznał kogoś tak skutecznego, jak ta cholerna baba, niech ją niebo pochłonie. Teraz czekał na wyrok. Szeff siedział bez ruchu na skórzanym fotelu, który asystent uznał za zużyty, bo lekko przetało się siedzenie i patrzył na niego bladymi oczami z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Pod tym spojrzeniem asystent poczuł dreszcz na plecach, rozumiejąc, że gdyby nawet Lucyfer zamierzał kazać go obedrzeć ze skóry powoli i centymetr po centymetrze, też wydałby taki rozkaz z całkowitą obojętnością.

– Wybij sobie z głowy – odezwał się w końcu. – Jesteś tu potrzebny. Nie mogę w tej chwili zrezygnować z kogoś, kto to wszystko ogarnia. Zostaniesz ukarany za nonszalancję, kiedy już opanujemy sytuację.

– To nie wszystko – mruknął Gereban ponuro, nawet już nie patrząc na swojego szefa. W pokoju nagle zrobiło się duszno i czuł, że

gniew Lucyfera może jednak być straszny. – Posłałem ludzi do głównej siedziby El Grisa i znów za późno. Zastali kupę gruzów po ostrzale raketowym, kilku rannych diabłów, których udało nam się wkręcić do obstawy i siedmiu zabitych szefów pomniejszych odłamów mafii. A do tego wozy transmisyjne kilku telewizji, kupę fotografów, karetki, policję i cholera wie kogo jeszcze.

Przerwał i czekał, aż ta informacja dotrze do Lucyfera i diabeł rozważy, co to może dla nich oznaczać.

– Lista zabitych gangsterów?

– Posłałem panu faksem.

– Jest na niej El Gris?

– Nie. W tym czasie siedział w stolicy. Miał podobno lecieć helikopterem, ale tak jakoś wyszło, że go w czasie ostrzału nie było w rezydencji. Achilles właśnie ustala, czy to on zorganizował jatkę, czy też tylko przypadkiem udało mu się ocaleć. Tak czy inaczej zwołał zlot szefów innych organizacji i cała konkurencja została wykasowana za jednym pociągnięciem. Teraz szykuje się wojna wszystkich ze wszystkimi.

– To może nie być takie złe. Jakie to były rakiety?

– Prawdopodobnie uzyskane z napadu na Starucha. Zgłosił wczoraj pobicie i kradzież

trzech rakiet. Sprawcy nieznani, ale niewątpliwie nasi. Achilles nad tym pracuje.

– Czego on chciał ode mnie?

– Mefisto dzwonił i...

– Kto? – spytał Lucyfer lodowatym tonem.

– Książę Mefistofeles – poprawił się natychmiast Gereban, przeklinając swoje głupie przejęzyczenie. – Podobno wyczuł gdzieś Azazela. Sprawdzamy właśnie skąd i dokąd podróżował, bo jest sygnał, że użył kanału przerzutowego. Natychmiast pošlę chłopaków w to miejsce.

– Zrób to! I przyłóż się bardziej do szukania Duszycki. Musze ją znaleźć zanim Azazel ją zgarnie i gdzieś ukryje. Niech ktoś przejrzy wszystkie materiały filmowe z telewizji, ale i tak na pewno nic ciekawego tam nie będzie. Sprawdź skąd strzelano i... zresztą co ja cię będę uczyć. Z Achillesem skontaktuję się później. – Lucyfer skinął swojemu asystentowi, wstał z fotela i zniknął. Gereban odetchnął z ulgą. Gilotyna z pewnością spadnie, ale jeszcze nie teraz.

– Myślałem, że będziesz bardziej wylewny – mruknął rozczarowany Eskenezer swoim ciepłym, niskim głosem, który nie wróżył więźniowi niczego dobrego. Znajdowali się w podziemiach piekielnych koszarów dla komandosów Azazela, miejscu, które diabły zgodnie uważały

za jedno z najgorszych na świecie. Eskenezer siedział na rozchwianym, drewnianym krześle, trzymając na stole nogi w skórzanych butach. Pejczem uderzał miarowo w cholewki, jak zwykle, gdy miał coś do zrobienia i próbował się skupić.

– Co chcesz wiedzieć? – Velar nadal dziwnie się czuł po ataku paralizatorem.

– Twierdzisz, że nie wiesz, gdzie ona jest. – Nie było to właściwie pytanie, jakby Eskenezer z góry wiedział co usłyszy.

– Mówiłem wam już – Velar próbował wzruszyć ramionami, ale sznury, którymi przywiązano go do krzesła były zbyt ciasne. – Zostawiłem ją w parku, ale teraz może być wszędzie.

– A jak się z nią umówiłeś? Bo przecież nie porzuciłeś jej, ot tak, po tym co dla niej zrobiłeś.

– Mieliśmy się spotkać po południu w parku – Velar skłamał trochę zbyt szybko.

– Nawet ty nie jesteś taki głupi. Powiesz sam, czy trzeba ci pomóc? – głos Eskenezera znów był ciepły i łagodny. Velar wiedział, że długo nie wytrzyma prawdziwego przesłuchania.

– Która godzina?

– Niby gdzie?

– Tam, skąd mnie zabraliście.

– Popołudnie. A dokładnie piąta – skłamał Eskenezer. W rzeczywistości zaledwie minęła

jedenasta.

Velar postanowił wytrzymać jeszcze sto dwadzieścia minut. Potem powie im wszystko o głównej komendzie policji, ulicy sąsiadującej z parkiem i nieparzystych godzinach. Bardzo się przeliczył. Już po niecałej godzinie, w samo południe, teren wokół komendy został obstawiony tak szczelnie, że każdy przechodzień mógł być uważnie zlustrowany. Gdyby którakolwiek z kobiet pokazała się choćby na moment, natychmiast by ją złapano.

Zmaltretowanego Velara wrzucono do najgorszej celi. Póki Azazel nie wróci, miał tam tkwić, czekając na wyrok za dezercję i wyobrażając sobie możliwie najgorsze scenariusze.

Duszytzka i Roza siedziały w niewielkiej knajpce przy oknie z widokiem na skwer, popijając potwornie mocną kawę. Na ławce po drugiej stronie ulicy miał się za chwilę pojawić Larden. Przez telefon powiedział, że jego znakiem rozpoznawczym będzie duży worek marynarski. Roza chowała się przed światem za wielkimi, ciemnymi okularami, a długie włosy ukryła pod czapką. Duszytzka w nowych džinsach kupionych na ulicznym straganie i w granatowej bluzce, podobnej do tej, którą zostawiła w apartamencie Lucyfera, starała się przynajmniej

różnić kolorystycznie od znanego już pewnie wszystkim opisu. Nie miały żadnych złudzeń, że mocniej przyciśnięty Velar zatai cokolwiek przed Eskenezerem.

– Co będziesz robić jak to wszystko się wreszcie skończy? – spytała Duszczyka cichym głosem, zarezerwowanym zazwyczaj na nocne rozmowy. Patrzyła na Rożę, która najwyraźniej cieszyła się każdą chwilą.

– Wrócę do piekła. – dziewczyna nie odrywała wzroku od palm na skwerze. – Nie mam innego wyjścia. Fajnie jest tu, na ziemi i miło było zobaczyć nawet te karaluchy w hotelu na godziny. Dzięki tobie drugi raz spotkałam się z siostrą, już drugi dodatkowy dzień patrzę na słońce, ale to się szybko skończy. Zabiłam człowieka z premedytacją i piekło to dla mnie odpowiednie miejsce. I tak mam szczęście, że dostałam własny dom i jestem panią siebie. Musi mi to wystarczyć. A co ty właściwie zamierzasz?

Duszczyka zmarszczyła nos.

– Muszę znaleźć Azazela. Nie wiem co oni mu zrobili i ten niepokój mnie zabija. Bez niego nie dam rady im uciekać, nawet nie wiem kogo powinnam się bać, a kto jest po mojej stronie. W ogóle nie mam pojęcia o co tu właściwie chodzi.

Drgnęła na widok mężczyzny z wielkim wo-

rem, siadającego właśnie na ławce. – Idziemy, już przyszedł.

Powoli przeszły obok niego.

– Cześć Larden – rzuciła Roza przez ramię.

Diabeł przyjrzał im się, szczególną uwagę zwracając na Duszyckę, którą przynajmniej raz widział i zdołał zapamiętać. Kiwnął głową ni to na powitanie, ni to w potwierdzeniu tożsamości, wolno podniósł się z ławki i ruszył za nimi w głąb skweru.

Roza zatrzymała się przy ławce za ogromnym krzewem obsypanym czerwonymi jagodami. Larden stał teraz przed nimi, przyglądając się obu kobietom. Marynarski wór postawił tuż obok, ale cały czas przytrzymał go dłonią, jakby bał się stracić z nim kontakt. W końcu uznał, że oględziny są zakończone i uklonił się. W końcu grzeczności nigdy za wiele gdy ma się do czynienia z tak wpływowymi kobietami, a że nie miał zbyt wielu okazji, by się uprzejmości nauczyć, postanowił wykorzystać przynajmniej tę mizerną wiedzę, którą udało mu się zdobyć na przestrzeni wieków.

– Jestem Larden.

Duszycka z roztargnieniem skinęła mu głową i wyraźnie zaciekawiona podążyła wzrokiem gdzieś w bok. Larden odwrócił się nerwowo i zobaczył swojego psa, szybkim truchtem zmierza-

jącego w ich stronę. Zanim zdążył zareagować, Duszczyka zrobiła kilka kroków i wyciągnęła rękę.

– Siad! – krzyknął, próbując ratować sytuację, ale zarówno pies, jak i Duszczyka nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Zwierzę biegło teraz szybko do zupełnie tym nie przestraszonej dziewczyny. Diabeł włożył rękę do marynarskiego worka, gotów strzelać ze zdobycznego pistoletu maszynowego, ale broń zahaczyła się o jakieś elementy rakiety i nie mógł jej wyszarpnąć. Rzucił worek na ziemię i wyciągnął rękę, żeby złapać dziewczynę i schować ją za siebie. Nie zamierzał odpowiadać przed Azazelem za rozszarpanie jego kobiety przez psiego mordercę. Duszczyka jednak nagle kucnęła i dłoń Lardena złapała powietrze.

Pies dopadł do niej, ale zamiast rozszarpać jej gardło, oparł dziewczynie łapy na ramionach i ku zdumieniu diabła, szeroko i zamasyście polizał ją po twarzy ociekającym śliną jęzorem. Duszczyka ze śmiechem klapnęła na ziemię, zasłaniając buzię przed objawami psiej miłości.

– Twój pies? Faj, jesteś bardziej nachalny niż moje kundle. – Nie mogła się podnieść, póki Larden nie odciągnął psa za obrozę i pomógł jej wstać. Przechodzący niedaleko patrol wojskowy przyglądał się scenie z wyraźnym rozbawie-

niem. Duszyczka otarła twarz i uśmiechnęła się do nich, a Larden zamarł bez ruchu. Mundurowi mogli w każdej chwili kazać mu otworzyć worek. I tak by im w końcu uciekł, ale całą zemstę szlag by trafił, a kobiety trafiłyby do więzienia. Pies, korzystając z chwili swobody stanął a tylnych łapach, znów liżąc dziewczynę po twarzy.

– Siad! – warknął diabeł, zirytowany nieposłuszeństwem i nagłym pojawieniem się patrolu.

– Nieładnie tak nie słuchać swojego pana. Siad! – rzuciła rozkaz Duszyczka.

Pies natychmiast usiadł przy jej nodze, trącając ją pyskiem w udo. Larden patrzył zaskoczony, póki nie przypomniał sobie historii krążącej po piekle, jakoby kobieta Azazela weszła na wybieg dla ghuli i bawiła się z nimi, jak z kociakami. Aż do dziś uważał to za wierutne łgarstwo. Patrzył teraz z zainteresowaniem na kobietę Azazela, wiedząc, że w tej chwili ryzykuje więcej, niż gdy stał z powierzchni ziemi rezydencję El Grisa, razem z jego gośćmi.

Lucyfer siedział w obrotowym fotelu w swoim centrum komunikacyjnym i czytał raporty, napływające faksem. Wszystkie nieoznakowane najwyższym priorytetem odkładał na bok, wychodząc z założenia, że to Gereban jest od

zajmowania się drobiazgami. Stosik kartek do przeczytania wydatnie się zmniejszył. Lucyfer położył nogi na biurku, wyłączył kamery i zabrał się do lektury.

Gereban bał się degradacji za wpadki przy łapaniu kobiety Azazela, ale Lucyfer był w głębi duszy zadowolony z takiego obrotu sprawy i tylko dlatego Gerebanowi się upiekło. Dopóki nie miał jej w rękach, Azazel nie mógłby zwalić na niego winy, gdyby coś jej się stało.

Niejasny status Duszczyki dodatkowo wszystko komplikował. Gdyby była potępieńcem, sprawy byłyby proste. Nie można by jej zabić po raz drugi, a każdy wypadek byłby później tylko kwestią dłuższej lub krótszej regeneracji. Nawet rozjechanie jej walcem na placek nie zostawiłoby trwałych śladów. Lucyfer siedział przez chwilę ze wzrokiem wbitym w ścianę, rozpatrując taką przyjemną i malowniczą możliwość.

Belzebub, usiłując niegdyś wypełnić warunki umowy, zdawał sobie sprawę, że nie można dziewczyny zabrać do piekła jako potępieńca. Przepisy niebieskich całkowicie to uniemożliwiały. Pozostawienie jej, jako osoby żywej, też nie wchodziło w rachubę, bo Władca chciał jej odciąć możliwość powrotu na ziemię do poprzedniego życia. Stała się więc czymś komplet-

nie nieokreślonym, ale żywym. Gdyby ja zabito, musiałaby iść do nieba, rozdzielona z Azazelem na wieczność. Znając ich obydwójce, można się spodziewać w proteście pięknego widowiska, na którym jednak Lucyferowi zupełnie nie zależało. Podobnie jak Gereban, nie rozumiał wzajemnej fascynacji obydwójga, ale pragnął zachować w miarę poprawne stosunki z niebieskimi. Jednocześnie nie chciał, żeby Belzebub znów zamienił Azazela w garść piasku. Bardzo go tu potrzebował.

Dopóki Duszydzka o własnych siłach wymykała się jego służbom, nikt nie dostarczał informacji zdrajcom. Złapanie Velara było słuszne i teraz wszyscy szukali dwóch kobiet, z czego jednej o nieprzeciętnej urodzie. Jeżeli się rozdziela, Duszydzkę uda się złapać wyłącznie przez przypadek. I można by polemizować, czy będzie to przypadek szczęśliwy.

Drzwi do pokoju otworzyły się nagle, szarpnięte silną ręką i wyrwane z zawiasów frunęły przez pokój, uderzając w przeciwległą ścianę. Zaskoczony Lucyfer, choć zawsze szybki jak kobra, zdążył tylko zdjąć nogi z biurka i wypuścić z rąk raporty, gdy czyjeś silne ręce chwyciły go za ramiona i uniosły w górę. Wydawało się, że w małym pomieszczeniu eksplodowała czysta, namacalna wściekłość, ale i coś jeszcze. Strach.

Przed sobą miał teraz wykrzywioną twarz Azazela, który patrzył na niego oczami płonącymi nienawiścią. Lucyfer wisiał w jego rękach o kilka centymetrów nad podłogą, jak zwykle nawet nie zmieniając wyrazu twarzy i tylko blade oczy zwęziły mu się, jak u kota.

– Byłem w rezydencji – szepnął Azazel i Lucyfer zrozumiał, że gdyby był w jakimkolwiek stopniu winny, jego własny autorytet nie powstrzymałby podwładnego przed wepchnięciem go do pieca i unicestwieniem na zawsze.
– Gdzie jest Duszczyka?

Lucyfer chciał wzruszyć ramionami, ale uścisk tylko się zacieśnił. Czuł, że lada chwila zaczną mu pękać kości. Z trudem mógł oddychać.

– Nie wiem, gdzie jest teraz. Wiem gdzie była kilka godzin temu – zaczął.

– Nie wierzę ci. – Azazel wszedł mu w słowo.
– Z rezydencji została kupa gruzu, ale jej tam nie ma. Kto ją zabrał? Sama by sobie w lesie nie poradziła!

– Ja ją ewakuowałem. Opowiem ci, kiedy mnie puścisz. A jeżeli jeszcze kiedykolwiek, po kres świata, dotkniesz mnie palcem, postaram się, żeby ktoś złapał twoją kobietę i oddał komandosom. Ty będziesz na to patrzył.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Niena-

wiść w oczach Azazela nie zmniejszyła się ani na jotę, ale w końcu postawił Lucyfera na podłodze i głęboko wciągnął powietrze. Widać było, że za wszelką cenę próbuje się opanować.

– Mów – rzucił polecenie, zupełnie jakby to Lucyfer był jego podwładnym.

Diabeł rozumiał, że nie pora teraz uczyć Azazela posłuszeństwa, ale przynajmniej odliczanie do kolejnego wybuchu wściekłości zostało na chwilę wstrzymane.

– Skąd się tam wzięłeś i kto zniszczył mi dom?

– Ona mnie wezwała. A raczej kazała ochroniarzowi mnie wezwać, na chwilę przed tym, jak usiłowała go zastrzelić. Twoja kobieta ma teraz pięć kropek na czole. Z czasem wybije nas wszystkich – próbował zażartować.

Twarz Azazela nieco się wygładziła.

– Opowiedz mi po kolei.

– Jeżeli po kolei, to ty musisz zacząć. – Lucyfer odzyskiwał utracony teren. – Usiądź, nalej sobie kieliszek.

Azazel odmówił poczęstunku, usiadł na krześle i zaczął z pełną premedytacją bębnić palcami po biurku. Wiedział, że Lucyfera zawsze to potwornie irytowało.

– Nie mogłem jej zabrać stamtąd normalnymi kanałami, więc wypuściłem wabia: samo-

chód z kierowcą i bagażem Duszyczki.

– Niezła próba. Samochód ktoś zdmuchnął z drogi. – Lucyfer bardzo starał się nie pokazać, jak wielką ma ochotę odrąbać diabłu bębniące palce.

– A kierowca? – Azazel znieruchomiał i denerwujący dźwięk ustał.

– Zregenerował się na tyle, że prysnął. Wiemy, że dotarł do stolicy, był u Starucha w punkcie kontaktowym, a niedługo potem ktoś ostrzelał raketami główną siedzibę El Grisa.

– Bardzo dobrze! Awansuję go. Ten gnój El Gris jest teraz u nas w piekle? – Bębnienie wróciło.

– Nie. Za to cała jego konkurencja już siedzi w kotłach – Lucyfer zdawał się rozbawiony, choć jego twarz nie zmieniła wyrazu. – Nie muszę ci mówić, że teraz zaczyna się między gangami walka o władzę w całym kraju.

Azazel obojętnie machnął ręką, jakby odganiał komara.

– Niech się rzną, dla nas lepiej. Jak to się stało, że El Gris ocalał?

– Nie było go w domu. Z tego, co właśnie czytałem w raportach, miał awarię helikoptera.

– Jednak nie awansuję Lardena. To fuszerka. Po tym co mi zrobił, El Gris jest moim priorytetem i teraz żadna twoja protekcja go nie

uratuje. – Spojrzał spod oka na swojego szefa, który spokojnie skinął głową.

– Jest twój – Lucyfer wiedział, że musi coś rzucić Azazelowi na pożarcie, zanim przycisnie go do ściany w innych sprawach. – A teraz mów.

– Przyjechali wczesnym popołudniem, on i ochroniarz. Ledwie zdążyłem kazać Duszczyce siedzieć cicho w sypialni i spaliłem część dokumentów...

– Twoją kobietę uratowało nieposłuszeństwo. Weszła na strych i cyngiel El Grisa jej nie znalazł. Inaczej już byś ją miał w niebie.

Azazel zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że z impetem przewrócił je na podłogę.

– Wredny kutas!

– Usiądź wreszcie i posłuchaj!

Lucyfer opowiedział mu całą historię ucieczki Duszczyki, aż do momentu, gdy przechwycono Velara. Azazel kilkakrotnie wstawał z krzesła, nie mogąc spokojnie usiedzieć, aż wreszcie nadeszła jego kolej na przedstawienie wydażeń.

– Jak ci już powiedziałem, większość dokumentów udało mi się spalić. W sejfach zostały tylko paszporty moje i Duszczyki.

– Duszczyki? – zdziwił się Lucyfer. – Nie było tam ani jednego jej paszportu.

– Jeden był, jej biżuteria i pistolet.

Lucyfer pokręcił głową.

– To z tej broni strzelała do wartownika, zresztą naślanego przez El Grisa. Znaleźliśmy go w ciężkim stanie w lesie za rezydencją. Eskenazer już go przemaglował i teraz wyłapujemy wszystkich, których nazwiska podał. Bizuterię musiała zabrać z sobą. Wygląda na to, że razem z tym co wygrała mogłaby kupić pół tego kraju. Jak to się stało, że El Gris cię zabrał z rezydencji?

– Na chwilę odwróciłem się tyłem, żeby mu nalać drinka. Dostałem czymś w głowę. Ocknąłem się w jakiejś norze, chyba w starych magazynach na przedmieściu. Szprycowali mnie narkotykami. Albo nie wiedzieli, że jestem diabłem, albo nie myśleli, że uda mi się wymknąć.

– Chodź, pokażę ci film z rezydencji.

– Nic nowego mi nie pokażesz. Wolę szukać Duszycki! – nagle postawił się Azazel.

– Siadaj! – Rozkaz rzucony przez Lucyfera brzmiał jak szcęknięcie. – I tak nie wiesz, gdzie szukać. Tam jest siedem milionów ludzi!

Lucyfer stał i patrzył, jak Azazel niechętnie siada, gotów w każdej chwili zerwać się i skoczyć mu do gardła. Musiał natychmiast wykorzystać tę niewielką przewagę, jaką udało mu się uzyskać.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jest moja kwatery?

– spytał surowo.

– Kupiłem tę informację dawno temu, od pewnej dziwki. Nie wiem skąd ją miała, ale dałem za to majątek i nie wiedziałem, czy mnie nie nabrała.

– Kto? – spytał krótko Lucyfer.

Azazel pokręcił głową.

– Taki był jej warunek. Nikt ma nie wiedzieć, że to ona. Uznałem, że warto zaryzykować.

– Wiesz, że mogę cię teraz wydać w ręce chłopaków, którzy to z ciebie wycisną w godzinę... – Lucyfer nie dokończył zdania. Znacznie łatwiej byłoby schwytać Duszyczkę i powiesić nad ogniskiem. To ona była słabym punktem Azazela. Bardzo słabym punktem.

Dłuższą chwilę stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy. Azazel rozumiał zagrożenie i postanowił nie dotrzymywać warunków umowy z tamtą kobietą.

– Marimar – powiedział w końcu. – Kupiłem tę informację od Marimar. Wiele lat temu.

Lucyfer nie okazał zdziwienia. Bez słowa włączył komputer i po chwili obserwowali film, na którym ochrona została przez kogoś wycofana, rezydencja wyleciała w powietrze, a Larden wprowadził obcego wartownika.

Gdy ekran pociemniał, Azazel potarł ręką czoło.

– Dziękuję ci. Gdybyś jej nie zabrał, siedziałyby teraz u niebieskich. Nie chciałbym być zmuszony do podpalenia nieba z czterech stron, żeby mi ją oddali.

– Zrobiłbyś to? Poszedłbyś na otwartą wojnę z niebieskimi? Belzebub by cię zniszczył!

Azazel popatrzył na niego twardo, marszcząc brwi. Wyprostował się jeszcze i Lucyferowi zdało się, że wypełnia sobą cały pokój.

– Wątpisz we mnie? Bez niej to wszystko – zrobił zamaszysty gest – nie miałoby sensu. Albo będę z nią, albo zginę, starając się ją odzyskać.

Lucyfer pokręcił głową. Wszyscy od zawsze wiedzieli, że Azazel jest nieobliczalny, ale dopiero obecność Duszczyki wyzwoliła w nim bezmiar szaleństwa. Na jakiegokolwiek działania zaradcze było za późno. Za późno było już kilka lat temu, w chwili, kiedy zobaczył ją idącą ulicą, ale tego nikt przecież nie mógł przewidzieć.

– Poczęstujesz się?

Larden, siedzący na parkowej ławce, pod którą troskliwie ulokował swój śmiercionośny worek, spojrzał pożądlivym wzrokiem na kilka kawałków domowego ciasta, podsuwanego mu przez Rożę na wymiętej serwetce. Uważnie oszacował je wzrokiem, wybrał największy

i cały na raz włożył do ust. Na twarzy miał błogostan absolutny. Widać było, że takie delicje trafiają mu się nad wyraz rzadko. Gryzł powoli, delektując się każdą chwilą. W końcu przełknął i popatrzył na Rozę z uznaniem.

– Jeżeli jeszcze umiesz rozłożyć, wyczyścić i złożyć AK-47, to jestem skłonny się z tobą ożenić.

– To nie ja piekłam – zaśmiała się Roza. – Co gorsza nie znam się na broni. Ale dziękuję.

Larden popatrzył na Duszczykę.

– Umiesz gotować? – zainteresował się. Przez moment mignęła mu w oczach nadzieja, która zaraz zgasła. Machnął ręką. – Ty i tak jesteś stracona dla świata. Kobieta Azazela...

– Nie umiem gotować. Mój romans z kuchnią obfitował w krwawe incydenty, zanim nastąpiło gwałtowne rozstanie.

– Musisz mi kiedyś opowiedzieć o tych krwawych incydentach. Lubię takie historie.

– Za to na broni się zna... – zaczęła Roza.

– Daj spokój, co to za znanie – weszła jej w słowo Duszczyka i machnęła ręką.

– ... ale to nie ona upiekła.

Larden popatrzył uważniej, wyraźnie zainteresowany. Zawsze najbardziej go pociągały kobiety umiejące dobrze gotować. Wszystkie inne zalety uważał za drugorzędne. No może poza

umiejętnością posługiwania się bronią.

– Kto? – spytał krótko i korzystając z chwilowej nieuwagi Rozy wziął do ręki następny duży kawałek. Dziewczyna gwałtownym gestem zabrała ciasto, starannie zawinęła mizerne resztki i podała Duszyccze.

– Nie dostaniesz więcej. Ona musi jeść, bo jest człowiekiem, a ty jesteś zwykły łakomczuch. Ciasto robiła Esperanza, tylko po pierwsze jeszcze żyje, po drugie jest dla ciebie za stara.

– Kiedyś umrze i może do nas trafi.

– Na to nie licz. Jest taka dobra, że na pewno od razu pójdzie do nieba.

– Cholerne anioły zawsze zgarniają najciekawsze opcje – mruknął Larden, przełykając resztkę ciasta. – Ciebie musimy odstawić do punktu kontaktowego – zwrócił się do Rozy, wracając do rzeczywistości.

Dziewczyna zaczęła coś mówić, próbując zaprotestować, ale diabeł uniósł rękę.

– Nie mogę chronić was obu na raz. Velarowi też się nie udało. Poza tym jeśli zgłosisz się sama, niebiescy ci łba nie urwą za nieposłuszeństwo. I mnie też nie – dodał po krótkim wahaniu, choć w jego obecnej sytuacji jedno wykroczenie więcej nie robiło już żadnej różnicy.

– A gdzie macie ten cały punkt? – prychnęła Roza z widocznym niezadowoleniem.

– Na 16 Ulicy, zielone drzwi naprzeciwko księgarni. Znajdziesz.

– Czemu nie chcesz, żebym została?

– Rzucasz się w oczy. Kobieta Azazela może się wmieszać w tłum, ale ciebie każdy zauważy.

Duszyczka wprawdzie poczuła się nieco dotknięta uwagą, że nie jest wybitnej urody, ale musiała przyznać Lardenowi rację. Roza była tak piękna, że przyciągała wzrok wszystkich przechodniów, kobiet i mężczyzn. Miasto było już zapewne patrolowane przez coraz większą liczbę szukających ich diabłów, a po ściągnięciu posiłków z innych miast, można się było spodziewać jakiegoś czorta na każdym rogu.

– Idź już. Szukają dwóch kobiet, ewentualnie jednej samotnej. My we dwoje plus pies wyglądamy niewinnie. Przynajmniej na razie.

Roza przyjrzała im się krytycznie, przechylając głowę.

– Seryjna zabójczyni diabłów, facet z bronią i pies morderca. Faktycznie, chodząca niewinność.

Duszyczka otwarcie zaczęła się śmiać, pocierając prawą brew. Larden przypomniał sobie, co mówiono o tej kobiecie.

– Chodziły takie głupie plotki, że masz prawo do czterech cyngwajsów na czole za zabicie diabłów – zaczął.

– Pięciu. Lucyfer niedawno przyznał mi kolejną kropkę. – Nagle zamilkła, czując, że zabrzmiało to jak przechwałka, choć wcale nie powinno. Mefisto miał chyba rację, mówiąc kiedyś o jej wybiórczej moralności.

Larden z niedowierzaniem pokręcił głową nad tą informacją.

– Nie wyglądasz – stwierdził, zamykając dyskusję. Żadna z kobiet nie czuła potrzeby wyjaśnienia mu jak bardzo się mylił.

– Kiedy będą z tobą rozmawiać, nic im o mnie nie mów – ostrzegął diabeł. – Im dłużej nie wiedzą, że jesteśmy we dwójkę, tym lepiej. Daj nam czas się dobrze schować, a potem to już będzie bez znaczenia co powiesz.

– Ile czasu?

– Do wieczora... jak dasz radę.

Obie kobiety niechętnie podniosły się z ławki i uściśnęły na pożegnanie.

– Dziękuję ci za wszystko. Do zobaczenia w piekle – szepnęła Duszczyka. Patrzyła za odchodzącą Rozą, póki ta nie znikła za kępą krzewów. Larden wyciągnął spod ławki swój śmiercionośny bagaż, gwizdnął na psa i nie oglądając się na swoją nową towarzyszkę, ruszył w przeciwną stronę.

Roza i Eskenezer siedzieli po przeciwnych

stronach stołu, przyglądając się sobie nawzajem. Kiedy komandosa zawiadomiono, że była kochanka Belzebuba zgłosiła się do punktu kontaktowego, zjawił się po nią w ciągu kilku minut, korzystając ze stałej przepustki na prze-rzuty dla VIPów. Niewątpliwym ukłonem w jej stronę był fakt, że rozmawiano z nią w biurze, a nie w pokoju przesłuchań, wśród narzędzi tortur i zapachu krwi i cierpienia. Eskenezer nie dowiedział się jednak wiele nowego poza tym, że Duszczyka nadal jest w mieście.

Nigdy wcześniej nie widział Rozy z bliska, bo gdy mieszkała w pałacu, praktycznie nie wypuszczano jej na zewnątrz, a kiedy Mefistofeles udzielił jej schronienia po wykupieniu z burdelu, bała się sama wychodzić. Teraz wreszcie mógł ją obejrzeć i zrozumiał, czemu Władca trzymał ją u siebie tak długo. Była nie tylko porywająco piękna, ale było w niej coś dziwnie pociągającego, jakiś nieuchwytny urok, który otaczał ją, jak mgielka. Roza twierdziła, że Duszczyka sama kazała jej odejść, bo za bardzo zwraca uwagę, z czym musiał się zgodzić. Każdy kto ją mijał na ulicy miał niewątpliwie ochotę obejrzeć się za siebie. W odróżnieniu od kobiety Azazela, nie umiałyby wtopić się w tłum i zniknąć.

Świadomość, że Duszczyka jest teraz pozostawiona sama sobie w obcym mieście i co gor-

sza ścigana przez jakieś zbuntowane, wrogie diabły, sprawiała, że miał ochotę zabić siedzącą przed nim kobietę za to, co po części uważał za dezercję. Niemal widział swoje potężne dłonie zaciskające się na jej delikatnej szyi i uśmiechnął się ciepło do tych myśli.

Dla Rozy spotkanie z Eskenezerem również było nowością. Nie widziała go nigdy wcześniej. Początkowo była gdzieś na dnie piekła, gdzie komandosi pierwszego stopnia nie zagładają, a potem stała na niebotycznych wyżynach, o których Eskenezer nawet nie marzył. Widziała teraz przed sobą wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę z szopą niesfornych ciemnych włosów. Niewielkie, czarne oczy nadawały mu wyraz brutalności i okrucieństwa, a twarz przecinała srebrzysta blizna. Roza czuła dreszcz strachu, póki Eskenezer się nie uśmiechnął. Przemiana była zdumiewająca. Stał się teraz miłym choć niezbyt przystojnym facetem i w odpowiedzi też uśmiechnęła się do niego. Diabeł pochylił się do przodu.

– Nadal nie rozumiem dlaczego zostawiłaś ją samą w obcym mieście – powiedział przyjaźnie.

Roza zaskoczona przemianą diabła, na moment straciła czujność. Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, że przecież Duszczyka wcale nie jest sama skoro są z nią i Larden i pies. Wtedy przy-

pomniała sobie, że ma milczeć, więc czym prędzej je zamknęła. Eskenezer oparł się wygodnie na krześle i obserwował ją uważnie. Teraz miał pewność, że kłamie.

– Niczego więcej się od ciebie nie dowiem? – spytał łagodnie.

Roza odwróciła wzrok i pokręciła głową.

– Jakiś stary znajomy czy nowy obcy? – dociękał nadal, pełen niepokoju. Jeśli Duszczyka zaufała komuś nieodpowiedniemu, skutki mogły być katastrofalne. Gdyby ją zabiło, bramy nieba zamknęłyby się za nią na zawsze, odcinając ją nie tylko od Azazela, ale także od niego samego, a tego Eskenezer nie mógłby znieść. Wiedział, że ta kobieta nigdy nie będzie należała do niego, ale mógł ją przynajmniej widywać. Była to okrutna tortura, a jednak wołał to, niż utracić ją na wieczność.

Roza na chwilę podniosła wzrok i napotkała pełne śmiertelnej groźby spojrzenie komandos. Zadrżała i zacisnęła wargi. Nie zamierzała nic więcej mu powiedzieć. Nadal pamiętała strach Duszczyki, która zobaczyła Eskenezera w towarzystwie innego diabła, idących w jej stronę ulicą. Komandos nagle wstał i zanim zdążyła podnieść się z krzesła, wziął ją pod pachę, jak snopek słomy i ruszył w stronę schodów wiodących do osławionych podziemi. Roza

próbowała się wyrwać, ale wobec siłacza, jakim był Eskenezzer, nie miała żadnych szans.

W piwnicach długi korytarz rozdzielał ulokowane po obu stronach cele, odgradzone kratami. Na widok wnoszonej do środka kobiety, zamknięte w nich diabły zaczęły gwizdać, a Roza skuliła się ze strachu. Jeszcze pamiętała koszmarne tygodnie, jakie spędziła sprzedana do burdelu. Z całej siły ugryzła diabła w plecy i biła go pięściami, ale równie dobrze mogłaby go głaskać. Nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty, diabeł wrzucił ją do maleńkiej, pustej celi, ledwie futerału na człowieka, i zatrasnął kratownicę.

– Jeśli przez godzinę nie przypomnisz sobie czegoś więcej, oddam cię tam, skąd wykupił cię Mefistofeles. Muszę odnaleźć kobietę szefa i wycisnę z ciebie prawdę, tak czy inaczej.

Odszedł korytarzem, a podziemia wypełniły się gwizdami i sprośnościami wykrzykiwanymi przez siedzące w celach diabły przykute łańcuchami do ścian. Roza skuliła się w kącie, jak najdalej od zakrwawionej, pozbawionej paznokci dłoni, która machała do niej, przeciętna przez pręty sąsiedniej celi.

Długo trwało, zanim diabły znudziły się zaczepianiem kobiety, tak rzadkiego zjawiska

w koszarach. Roza głęboko wciągnęła smrodliwe powietrze, próbując się uspokoić. Nie chciała przedwcześnie opowiedzieć o Lardenie, ale czuła, że za godzinę nie będzie miała innego wyjścia. W ciszy piwnicznego więzienia rozlegały się tylko pojedyncze westchnienia i jęki i jeszcze czyjś szept, który nie dawał się skupić, jak uporczywe brzęczenie komara. Roza ode-rwała się wreszcie od własnych myśli i rozejrza-ła po otoczeniu. Piwnica była długim pomiesz-czeniem, a po obu stronach umieszczono po-jedyncze cele. Nad każdą z nich świeciła mdła żarówka, pozwalająca obserwować zamknięte-go nieszczęśnika. Cele były od siebie oddzielone w połowie ceglanym murem, a bliżej przejścia zwykłymi kratami. Diabły przykute do tylnej ściany mogły widzieć tylko osobników naprze-ciwko, ale rozmawiać dało się też z sąsiadami z boku.

Wszystkie cele w zasięgu wzroku Rozy były zajęte. Niektórzy więźniowie leżeli bez ruchu na ziemi, inni siedzieli oparci o mur, z rękami sku-tymi łańcuchem, a jeszcze inni spacerowali dwa kroki w przód, zwrot i dwa z powrotem. Roza tkwiła bez ruchu, nie chcąc przyciągać do sie-bie wzroku. Cały czas słyszała w głowie dziwny szept, powtarzający jej imię. Rozejrzała się na boki. Z sąsiedniej celi nadal wysuwała się czy-

jaś pokaleczona ręka, machająca nieporadnie. Roza przesunęła się w jej stronę i zajrzała. Przykuty za jedną rękę Velar, wyciągnął się na tyle, żeby przesunąć drugą przez pręty. Dziewczyna jęknęła i chwyciła jego dłoń.

– Co oni ci zrobili?

– Nic takiego – próbował się uśmiechnąć, ale wypadło to żałościwie. – Zregeneruję się i będę dobrze. Nie martw się o mnie. Na pewno zasłużyłem na to, skoro ciebie złapali.

– To nie twoja wina! Sama się zgłosiłam, bo tak mi kazał...

– Ani słowa! – przerwał jej surowo. – Czego nie wiem, tego im nie powiem, a ciebie przecież nie będą torturować.

Twarz Rozy ściągnęła się ze strachu.

– Eskenezer powiedział, że mnie odda tam, skąd wykupił mnie Mefisto, jeżeli wszystkiego nie powiem. Ma tu przyjść za godzinę... teraz już pewnie za pół. Nie wrócę tam! – zawołała z rozpaczą.

– Oczywiście, że nie. Powiesz mu, co chce wiedzieć i cię wypuszczą. Nie zrobiłaś nic złego.

– I jak potem spojrzę w lustro? – mruknęła ponuro. – Obiecałam...

– Spójrz na to z innej strony. Co się stanie, kiedy Eskenezer cię tam odda, a potem wróci Duszczyka i się o tym dowie? Bo się dowie, to

jasne.

Roza patrzyła, zaskoczona. Widać było, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

– Słyszałaś co się działo, kiedy broniła Eskenezera? Byłem przy tym. Azazel ją przyprowadził, bo podobno chciała szefowi podziękować za opiekę na ziemi. Szef wisiał już cały dzień głową w dół nad ogniskiem za karę, że ją dotknął i pewnie długo by już nie wytrzymał. Szkoda, że tego nie widziałaś – westchnął ze szczerbatym uśmiechem. – Duszyczka krzyczała na Azazela, wyobrażasz sobie?! Potem rozwalila polanem ognisko i stała przed księciem z tym kawałem drewna w rękach. Czekaliśmy, kiedy go zdzieili. Wtedy by nam ją wydał, ach... – przerwał, próbując się podrapać, ale nadal pozbawione paznokci palce musiały go bardzo boleć, bo jęknął. Roza miała wrażenie, że ją też to boli.

– Ta kobieta jest nieobliczalna. Potem, jak już myśleliśmy, że to koniec zabawy, zapytała o mnie. Tak z imienia. To ja byłem tym idiotą, który ją uderzył, kiedy szła do Belzebuba. Skąd miałem wiedzieć, że to akurat kobieta Azazela? Nie jest piękna, wcale po niej nie było widać czyja jest. Jak już myślałem, że ze mną koniec, bo książę by mi tego nie darował, to ona powiedziała, że nic złego nie zrobiłem. I wymusiła obietnicę, że mnie nie ukarze.

Przerwał patrząc na zaskoczoną Rozę.

– Eskenezer jest dobrym szefem i nie chcę, żeby resztę wieczności spędził, chowając się przed rozjuszoną kobietą Azazela. Ona mu nie daruje, że cię gdzieś oddał. Powiedz mu, co wiesz, a Duszyzka pewnie i tak im zwieje.

Velar zaniósł się suchym kaszlem, próbując trzymać połamane zębra obolałą ręką. Roza patrzyła na niego, walcząc z własnym sumieniem, niepewna co do intencji wszystkich zainteresowanych.

Głośny szczeł otwieranych drzwi przywołał ją do rzeczywistości. W wejściu stał Eskenezer w towarzystwie Azazela, a za nimi tłoczyło się kilku innych komandosów i jakiś biurowy grypiórek z plikiem papierów w rękach.

Chwilę wcześniej Azazel wszedł do pokoju, w którym urzędował kulawy szef wywiadu na całą Ziemię, zwany przez wszystkich Achillem. Biuro było mroczne, pełne komputerów, drukarek, faksów, z ładnymi i co ważniejsze kompetentnymi asystentkami. Diabeł najwyraźniej nie tylko nie uważał kobiet za głupie ale wręcz preferował je w pracy biurowej. Za to w działaniach operacyjnych przeważali mężczyźni, bo jak uczyło doświadczenie, siła mięśni szalenie się niekiedy liczyła. Elegancki i prze-

stronny gabinet szefa wywiadu, z fotelami obitymi delikatną skórą i mahoniowymi meblami, zazwyczaj stał pusty.

Achilles odwrócił się w stronę Azazela przytrzymując ramieniem słuchawkę i grzebiąc w stercie raportów. Jeżeli nawet był zaskoczony nagłym pojawieniem się zastępcy głównego szefa po kilkudniowej nieobecności, zupełnie nie dał tego po sobie poznać. Nie przerywając rozmowy skinął głową na powitanie, wyłowił wreszcie szukaną kartkę, przeczytał z niej jakiś współrzędne i rozłączył się.

– Witaj, panie. Dobrze, że przynajmniej ty już jesteś.

– A kogo nie ma?

– Twoja kobieta, panie, nadal jest nieuchwytna.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Achilles przezornie uznał się za pokonanego i odwrócił wzrok. Zdawał sobie sprawę, że Azazel na punkcie tej akurat kobiety jest zupełnie szalony i uważał, że to głupie. Ktoś taki jak ona był kulą u nogi i żałośnie łatwym celem, jeśli się chciało uderzyć w Azazela i zmusić go do czegoś. Dziwne było tylko dlaczego nie udało się tej baby dopaść ani im, ani tym łachudrom, którzy przez nią wysadzili piękny apartament Lucyfera.

– Co wiemy?

– Nadal jest w mieście. Gdy Gereban się zorientował, że im się rano wymknęła, obstawili wszystkie dworce i lotnisko. Międzynarodowe też, bo poszukiwana ma paszport.

Azazel kiwnął głową.

– A drogi wylotowe? Nie jest taka głupia, żeby lecieć samolotem.

– Jesteśmy w trakcie blokad. Tamto mogliśmy zrobić własnymi siłami, ale w sprawie dróg musimy współpracować z miejscową policją. Chwilę trwało, zanim dali się namówić na paraliż tras wylotowych. To nie jest super szczelna blokada, ale miejscowi gliniarze są przyzwyczajeni do obław i nawet nienajgorzej im to wychodzi.

– Jakież wiadomości od informatorów?

– Żadnych. To właśnie jest dziwne. Normalnie namierzamy naszych dość łatwo, ale dziś to już drugi taki przypadek.

– A kto był pierwszym? – spytał Azazel z pozorną obojętnością. Przeglądał książkę raportów, przerzucając kartki wstecz, aż do dnia swojego zniknięcia.

– Larden, ten, który już kiedyś dla ciebie pracował, panie.

Azazel podniósł wzrok.

– Przefaksuj mi do koszar spis raportów wy-

wiadu. Potem ci powiem, które będę chciał zobaczyć w całości.

Odwrócił się i nie żegnając z nikim bezszelstnie zniknął za drzwiami. Achilles zaczął się zastanawiać dlaczego Larden był aż tak ważny, że księżę udawał obojętność.

Azazel stał w osławionych podziemiach swoich koszarów, zaskoczony ilością więźniów. Zazwyczaj było tu pustawo. Obok niego Eskenezer miarowo uderzał pejczem w cholewkę buta. Wyraźnie coś go trapiło.

– Mamy tu kogoś godnego uwagi? – rzucił Azazel.

– Po prawej są potępieńcy, którzy do nas trafili w związku ze sprawą i już zostali przesłuchani. Czekają na przydział. Raporty z przesłuchań są w biurze. W większości nic nie wnoszą, poza nazwiskami następnych podejrzanych.

– Przydzielić do kopalni w trybie pilnym. Musimy zrobić trochę miejsca. A po lewej?

– Nasi zdrajcy lub podejrzani. Większość już przesłuchano, ale stale dostajemy nowych. Analitycy już przygotowali streszczenia i możliwe scenariusze rozwoju sytuacji na ziemi. Ale...

– Tak?

– Jest ktoś, kogo powinien pan zobaczyć, szefie – mruknął Eskenezer, niechętnie wska-

zując pejczem w głąb podziemi.

Grupa diabłów ruszyła w stronę środkowych cel.

Roza wstała i oparła się plecami o ścianę. Nie chciała iść za radą Velara, ale bała się, że nie wytrzyma w burdelu karnej kolonii nawet godziny. Była pewna, że idą po nią, ale zatrzymali się przed celą Velara. Azazel spojrzał na więźnia i cmoknął z niezadowoleniem.

– Jak tu trafiłeś?

– Dawałem kobietom czas na ucieczkę.

– Gdyby nie twoja głupota, Duszczyka byłaby teraz z nami cała i zdrowa!

– Albo i nie – mruknęła Roza, ale najwyraźniej nikt jej nie usłyszał.

– Miałem cię nagrodzić i awansować za wyprowadzenie jej z hotelu Lucyfera i obronę przed napastnikami, ale za milczenie chyba każę cię powiesić pod wulkanem.

– A to niby czemu? – zdenerwowała się Roza.

Azazel powoli odwrócił się w jej stronę, najwyraźniej zdziwiony, że ktoś ośmielił się mu przerwać. W przeciągającej się ciszy powolne, miarowe stukanie pejcza Eskenezera niosło się pod sklepieniem lochu, jak wystrzały. Roza stała wyprostowana, udając, że nic a nic się nie boi.

– Nie zwracaj na nią uwagi, panie. Błagam – odezwał się Velar, ruszając w stronę przejścia,

ale krótki łańcuch z szarpnięciem zatrzymał go po pierwszym kroku. – Nie wie co mówi, jak to kobieta – przekonywał gorączkowo.

Azazel spojrzał na niego, potem na Rozę i wymienił spojrzenia z szefem swoich komandosów. Obaj z Eskenezerem uśmiechnęli się pod nosem. Znaleźli piękną dźwignię, która zmusi tę dwójkę do mówienia.

– Czego nie chciałaś powiedzieć, że aż musiałaś tu trafić? – spytał Azazel.

– Nic wam nie powiem – zdecydowała nagle Roza. – Ona się ciebie boi!

– Mnie? – zdumiał się Azazel.

– Eskenezera. Widziałam jej twarz, kiedy was zobaczyła na ulicy z tym drugim. Wtedy, koło parku.

– Z jakim drugim? – Azazel odwrócił się wolno i nagle zrobił się groźny.

Na Eskenezerze nie zrobiło to większego wrażenia. Za bardzo bał się o Duszyckę, żeby było w nim miejsce na strach o samego siebie.

– Szedłem z jednym z żołnierzy przeszukać park. Nie mogła się nas bać, bo ani ona jego nie zna, ani on jej.

– Skąd wiesz?

– Byłem zły, że dano mi do pomocy kogoś, kto nie zna poszukiwanej. Nawet nie wiedział, jak wygląda. – Komandos wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że niewysoka i nie gruba. To wszystko.

– To wszystko? – ryknął Azazel. – Taki rysopis do poszukiwań?

– Przecież to kobieta, panie. Kupi nową sukienkę, przefarbuje włosy, zmieni fryzurę i szukaj wiatru w polu. Podobno ma dużo pieniędzy.

– Zabierzcie Rożę na górę. – Azazel odwrócił się i razem ze swoim szefem komandosów wyszedł z podziemi. Jeden z diabłów otworzył celę i wyciągnął opierająca się kobietę na korytarz. Velar krzyczał w swojej celi, próbując wyrwać łańcuch ze ściany. Rożę wywleczono na zewnątrz, a krzyki Velara i gwizdy diabłów towarzyszyły jej, póki nie zatrzasnęły się ciężkie, stalowe drzwi.

Duszczyka siedziała w kradzionym dostawczym samochodzie, z bosymi stopami opartymi na przedniej szybie. Silnik auta rzeźił straszliwie, a karoseria dzwoniła i klekotała na nierównościach drogi, ale Lardenowi zdawało się to nic nie przeszkadzać. Wybrał samochód stary i mocno zużyty, podejrzewając, że policja będzie go szukać ze znacznie mniejszym zaangażowaniem, niż najnowszego modelu Porsche. Poza tym w sportowym wozie mogli nie zmieścić psa, przy zabraniu którego uparła się Duszczyka.

Właśnie zaczął się popołudniowy szczyt i bardzo powoli posuwali się w stronę przedmieść.

Gdyby nie troska o los Azazela, cała sytuacja nawet by Duszyckę bawiła.

– Macie na mnie zdecydowanie zły wpływ – oświadczyła pogodnie, najwyraźniej niezbyt tym faktem zmartwiona.

– My, czyli kto? – Larden hipnotyzował wolno posuwające się przed nim samochody, jakby chciał je przesunąć wzrokiem.

– Diabły. Dopóki was nie poznałam, byłam porządną, uczciwą księgową i nawet nie chachmęciłam w sprawozdaniach, a teraz jeżdżę kradzionymi samochodami, strzelam do żywych celów, jestem współwłaścicielką psa-mordercy i ulubienicą demonów pustyni. Że o innych osiągnięciach nie wspomnę.

– Rzeczywiście, upadek – mruknął Larden z kamiennym wyrazem twarzy. Duszycka przyjrzała mu się uważnie szukając drwiny, ale diabeł był zajęty wymuszaniem pierwszeństwa przy skrócie w lewo i zdawało się, że łamanie przepisów drogowych pochłania go całkowicie. Wąska ulica przed nimi była prawie pusta i jechali teraz szybciej, oddalając się od zgiełku wielkiego miasta.

– Dokąd się wybieramy?

– Do tajnej rezydencji El Grisa.

– Żartujesz, prawda? – Położyła dłoń na klamce, gotowa skakać z pędzącego samochodu. Próbowwała sobie przypomnieć co kiedyś mówił jej o tym Azazel. Że tyłem do kierunku jazdy? Nie, niemożliwe, żeby to było coś tak głupiego. W napięciu patrzyła na twarz diabła.

– El Gris ma taką małą, prywatną rezydencję schowaną w górach i myśli, że nikt o tym nie wie – zaśmiał się drwiąco. – Kupiłem kiedyś tę informację za sporą kasę. Lubię takie ciekawostki, bo nigdy nie wiadomo co się może przydać, no nie? – Spojrzał na jej pełną napięcia twarz i prawie się roześmiał.

– Boisz się mnie?

Duszczyka niechętnie, ale szczerze kiwnęła głową.

– Cykor. Myślałaś, że chcę cię wydać? Niby dobrze kombinujesz, bo nikomu nie można ufać, ale nie tym razem. Wejdziemy tam i trochę narozrabiamy. Źle mówię. Ja narozrabiam, a ty sobie poczekaś przy samochodzie.

Odetchnęła z ulgą.

– Dlaczego to robisz? Przecież Lucyfer cię w końcu złapie.

Diabeł wzruszył ramionami.

– W życiu potrzebna jest odrobina szaleństwa, a ten gnój El Gris kazał mnie zabić. Udana pomsta jest warta każdej kary, nie sądzisz?

Duszczyka nie była pewna co powiedzieć, więc tylko zrobiła jakiś nieokreślony gest ręką.

– Poza tym wszyscy wiedzą, że jestem trochę stuknięty, więc nikt się nie zdziwi. Ile masz cyngwajsów nad brwią? – spytał nagle bardzo rzeczowo, porzucając swój nieco rozwlekły sposób mówienia.

– Pięć.

– Ja przestałem liczyć, kiedy zabrakło mi miejsca na czole i muszę je tatuować we włosach. – Larden pogłaskał się po niesfornej grzywie, zachodzącej mu aż na oczy. – Za każde zabójstwo zostałem ukarany, ale to nic a nic nie zmniejszyło frajdy. Lubisz zabijać?

Nie odzywając się ani słowem, Duszczyka gwałtownie pokręciła głową. Wyprawa z Lardenem chyba nie była dobrym pomysłem. Diabeł patrzył na nią, zdziwiony.

– Czemu nie? Przecież to fajne.

– Patrz na drogę!

– Po co? Wiem, gdzie jadę i nie muszę się gapić non stop. Fajnie jest czasem kogoś zabić, bo to pozwala się rozładować. Ciekawe ile diabłów mi przypiszą za rezydencję tego krokodyla. El Grisa – dodał, widząc pytające spojrzenie Duszczyki. – Miał takie oczy jak krokodyl. Nieżywe.

Samochód zwolnił, wciskając się na siłę na

główną drogę, prowadzącą za miasto. Znowu posuwali się ślamazarnie, bo samochody z dwóch pasów zjeżdżały na jeden. Kilkaset metrów przed nimi widać było migające światła policyjnych radiowozów, stojących na poboczu. Duszczyka i Larden zgodnie zakleli.

– No to trzymaj się, kobieto Azazela, bo musimy się przebić.

– Nie przebijemy się. To niemożliwe! – powiedziała stanowczo, patrząc na zamykającą się blokadę.

– Jesteś kobietą małej wiary. Nie ma rzeczy niemożliwych – oświadczył Larden. – Są co najwyżej nieopłacalne.

– Nie sądziłam, że ty w ogóle masz jakąś wiarę – mruknęła z przekąsem.

Samochody posuwały się do przodu w złotym tempie, ale wydawało się, że jak na razie nikogo nie zatrzymano. Larden gwałtownym ruchem pociągnął ją za rękę.

– Schowaj się! Szukają głównie ciebie. Jak nas zatrzymają, to się nie znamy. Jedziesz autostopem i zabrałem cię kilka minut wcześniej. Diabły się nie nabiorą, ale policja... kto wie. Uciekaj przy pierwszej okazji. Jeśli każę ci skakać, skaczesz natychmiast.

Diabeł zacisnął dłonie na kierownicy, a Duszczyka zdjęła nogi z szyby i wsunęła w adidasy,

a torbę z pieniędzmi znów powiesiła na szyi.

– Nigdy tego nie robiłam – zaprotestowała.

– Będę trzymał kciuki.

Duszczyka zsunęła się z siedzenia i skuliła na podłodze. W napięciu wyglądała przez boczną szybę ponad krawędzią drzwi. Widziała posturunek, radiowozy blokujące jeden pas ruchu i policjanta z lizakiem, który odwrócony do nich tyłem wrzeszczał coś do kolegi, mocującego się z kolczatką kilka metrów dalej.

– Schowaj łeb! – warknął Larden zniecierpliwiony jej nieposłuszeństwem, nie odrywając oczu od blokady. Duszczyka poczuła gwałtowny skręt samochodu, gdy omijał policjanta z lizakiem. Auto przyspieszyło, rżąc silnikiem, kiedy otwarła się przed nimi wolna przestrzeń. Droga znów miała dwa czynne pasy i kierowcy z ulgą wdeptywali na gaz, chcąc nadrobić minuty stracone w korku.

Larden spojrział w lusterko i zaśmiał się krótko.

– Tego jęłopa za nami już zatrzymali. Mieśliśmy farta, nie? Za jakąś godzinę będziemy na miejscu. No, co tak siedzisz na podłodze? Przestraszyłaś się, czy co?

Azazel stał wraz z Eskenezerem przed drzwiami swojego gabinetu, do którego chwilę

wcześniej przyprowadzono pobladałą Rozę.

– Poważnie zagroziłeś, że ją tam sprzedasz?

– Azazel pokręcił głową z dezaprobatą.

– Czymś musiałem zagrozić. Nie chciała mi nic powiedzieć, a przecież nie będę jej torturował! Blef się nie udał.

– Teraz musimy wydobyć z niej choćby strzępek informacji, żeby wyjść z twarzą. Czy ty sobie wyobrażasz, co nam zrobi...? – nie dokończył.

Kierowany tą samą myślą Eskenezer pokiwiał głową z ponurą miną.

– To już chyba bym wołał zezłościć Belzebuba.

Azazel otworzył drzwi i wszedł do swojego gabinetu. Roza siedziała sztywno na krześle i skuliła ramiona, gdy zobaczyła wchodzących. Usiedli naprzeciwko niej i obaj starali się zachować przyjemny wyraz twarzy, choć wiele ich to kosztowało.

– Rozo, wiemy, że zostawiłaś Duszczykę z Lardenem – zaryzykował Azazel.

– Skoro już to wiecie, to chyba nie jestem wam potrzebna – odpowiedziała z nadzieją.

– Nie wiedzieliśmy, ale dziękujemy za potwierdzenie – mruknął Azazel z pozornym spokojem.

Roza zacisnęła usta. Oba diabły spojrzały na siebie i wydawało jej się, że powietrze nagle

zgęstniało.

– O co chodzi? – spytała podejrzliwie.

– Nie znasz Lardena, prawda?

– Poznałam go dopiero dziś. Nigdy wcześniej go nie spotkałam.

– Jest pewien problem. Musimy znaleźć Duszyczkę, zanim on coś zrobi?

– Niby co miałyby zrobić?

Azazel przechylił się przez biurko i wpatrywał w nią hipnotycznym wzrokiem. Nie mogła oderwać wzroku od czarnych oczu, które pozbawiały ją sił.

– To psychopatyczny morderca. Zabija dla przyjemności. Działa jak sinusoida i teraz ma fazę na zabijanie. Napadł na rezydencję szefa szefów tutejszej mafii i raketami zabił siedemnastu ludzi i dziewięć diabłów, a dalszych sześciu jest poważnie rannych. Konieczność regeneracji odrywa ich od codziennych obowiązków.

Roza pokręciła głową. Obraz Lardena, jaki malował Azazel nie pasował jej do diabła poznanego tego przedpołudnia. Znajomość niby bardzo krótka, a jednak czegoś brakowało w jego zachowaniu, co można by odczuć jako zagrożenie.

– Już dawno mieliśmy go wyeliminować, ale ciągle mieliśmy nadzieję, że się opamięta. Poza

tym niekiedy bywa bardzo przydatny.

– Nie wierzę ci ani trochę!

– Widziałaś jego czoło?

– Nie. Co to ma do rzeczy?

– Grzywką zasłania kropki. Nie mieszczą się nad brwią i musi je już teraz robić we włosach. A pamiętaj, że zabitych ludzi się nie odnotowuje.

Roza patrzyła na niego bez słowa, nadal nie przekonana. Azazel nacisnął guzik i powiedział w przestrzeń:

– Dajcie mi akta Lardena. Byle szybko.

Wszyscy troje siedzieli w milczeniu, póki sekretarz nie przyniósł kilku opasłych teczek. Azazel ruchem ręki kazał je położyć przed Rozą.

– Otwórz dowolną i poczytaj. Zdjęcia bywają drastyczne, ale skoro nie chcesz nam uwierzyć...

Roza powoli wyciągnęła jedną z teczek i rozwiązała tasiemkę. W środku było dużo kartek spiętych po kilka zszywaczami i dołączone do nich fotografie. Przeglądała je, czując, jak żołądek zwija się jej w kulkę. Większość przedstawiała martwe kobiety, ale niekiedy można się było tylko domyślać, że to istoty ludzkie.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukujecie?

– Zaryzykuj. Nie bardzo masz inne wyjście. Naprawdę uważasz, że Duszyczka się mnie boi?

– Azazel znów pochylił się w jej stronę.

Roza pokręciła głową.

– Bała się Eskenezera, albo kogoś, kto z nim szedł. O ciebie, księżę, cały czas się martwiła. – Zamilkła na chwilę, marszcząc czoło. – No dobrze, komuś w końcu muszę zaufać.

Oba diabły nagle stały się bardzo podobne do siebie, z tym ledwo dostrzegalnym uśmiechem zadowolenia.

– Jak jest ubrana?

– W jeansy i niebieską bluzkę. Ma torbę z pieniędzmi, taką płócienną, na ramię.

– Co zamierzali zrobić?

Roza wzruszyła tylko jednym ramieniem, starając się nie patrzeć na rozłożone fotografie.

– Nie mam pojęcia. Chyba oboje uznali, że czego nie wiem, tego wam nie powiem.

Azazel wpatrywał się w nią smolistymi oczami i czuła, jak grunt osuwa jej się spod nóg.

– Jeżeli się okaże, że Duszczyce coś złego się stanie, a ty ukryłaś przed nami jakąś informację, to będziesz jeszcze tęskniła za burdelem, do którego sprzedał cię Belzebub – w jego głosie brzmiała groźba.

– Oni mają psa – powiedziała nagle. – Larden go przyprowadził, ale zakochał się w Duszczyce.

– Larden? – ryk Azazela było słycać nawet

poza koszarami.

– Pies! Taki duży, czarny. Lizał ją po twarzy i słuchał tylko jej. Aż się dziwiłam.

Azazel wpatrywał się w nią w milczeniu, zaciskając szczęki. Eskenezer wyjął z szafki telefon komórkowy i położył przed Rożą na kolorowych zdjęciach jakiejś uduszonej dziewczyny.

– Miałś przy sobie ten telefon, z którego łączyłaś się tylko z dwoma numerami. Sprawdziliśmy. Jeden to nasza skrzynka kontaktowa. A drugi?

– Larden.

– To wszystko, jesteś wolna – powiedział Azazel po chwili. – Na razie zamieszkasz u Aurelii.

– A Velar? – spytała cicho.

– Idź, bo się rozmyślę!

W pokoju nagle zrobiło się bardzo mało miejsca. Kobieta wstała i wyslizgnęła się z gabinetu, jak cień.

El Gris chodził po piwnicy w willi swojej kochanki, jak tygrys w klatce. Nie rozumiał, czemu kobieta każe mu siedzieć w podziemiach i z trudem przyjmował do wiadomości jej tłumaczenia. Jego zdaniem była równie głupia, jak one wszystkie.

– Mówiłam, żebyś nie robił tych swoich sztu-

czek z Azazelem. To diabeł, nie możesz z niego zrobić narkomana. Teraz będziesz go miał na karku, a wystarczyło tylko złapać albo zabić tę jego chudą dziwkę.

– O mnie też mówią, że diabeł – prychnął pogardliwie, unosząc twarz w górę. Kobieta westchnęła z rezygnacją.

– I tym się właśnie różnicie. O tobie mówią, a on naprawdę jest.

– Bredzisz, idiotko! Żadnych diabłów nie ma, bo inaczej dawno by mnie porwali – zaśmiał się, ukazując białe zęby, ostre, jak u wilka, oczy jednak pozostały martwe, jak zawsze. – Chcę jechać do górskiej rezydencji, a ty jedziesz ze mną.

Kobieta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale El Gris szybkim ruchem chwycił ją za gardło i zacisnął palce. Nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby się bronić i to go w niej zawsze jednocześnie fascynowało i doprowadzało do wściekłości. Kiedyś uderzył ją kilka razy po grzebaczem złapanym z kominka w napadzie szału i zostawił trupa w salonie willi. Dwa dni później, jakby nigdy nic stanęła na progu jego rezydencji z niewielkim strupem we włosach. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale trochę się jej bał od tego czasu.

– Nie możesz wyjść na powierzchnię, bo dia-

bły Azazela cię szukają. Mną nikt się nie interesuje, ale ty jesteś skończony. Wszyscy mafiozi w kraju na ciebie polują po tym ataku na własną rezydencję, durniu – rzuciła wściekłym głosem. Byli tak blisko sukcesu, a przez jego głupotę, będzie musiała wszystko zaczynać od początku. Policzek od El Grisa zabrzmiał jak strzał, ale kobieta nawet się nie zachwiała.

– Wiesz, że to nie ja!

– Teraz nikt ci nie uwierzy. Ktoś to mądrze rozegrał. Zostań tu. Skontaktuję się z informatorem i sprawdzę tę twoją rezydencję, choć uważam, że to głupi pomysł. – Odwróciła się na pięcie i poszła schodami na górę. El Gris obserwował jej tyłek w wąskiej, czerwonej sukience i wbrew sobie poczuł pożądanie. Trzymał tę krnąbrną kochankę z dwóch powodów. Po pierwsze miała fenomenalne kontakty gdzieś bardzo wysoko i zawsze była wcześniej uprzedzona o działaniach wszystkich służb, co szalenie ułatwiało interesy. Po drugie, była jedyną kobietą, do której czuł pożądanie. Jego sprawność jako mężczyzny kończyła się, a przy niej nie musiał się niczym wspomagać. Gwałtownym gestem wlał w siebie zawartość kieliszka i sięgnął po stojącą w szafce butelkę.

– Co wiadomo w sprawie El Grisa? – spytał

Azazel, siedząc w głównej sali operacji naziemnych. Na pokrywających ściany ogromnych ekranach migają kolorowe światełka i przesuwały się strzałki. Wprawne oko mogło monitorować wszystkie większe akcje, prowadzone aktualnie przez pracowników piekła.

– Zniknął. Nawet jego najbardziej zaufani ludzie nie wiedzą gdzie jest – mruknął niechętnie Lucyfer.

– Albo nie chcą mówić.

– Uwierz mi – Lucyfer podniósł na niego swoje blade oczy – nie wiedzą. Sprawdziliśmy to po swoim.

– Czy wytypowano możliwe kryjówki?

– Jest jedno najbardziej prawdopodobne miejsce. Dawno temu kupił przez podstawionego człowieka niedużą posiadłość. Ładny domek w lesie, z pozoru nic specjalnego. Kiedyś się tam wybrałem.

Lucyfer zamilkł na chwilę, czytając raport podany mu przez sekretarza.

– No, chłopcy Gerebana właśnie piszą, że tego kłamliwego psa nadal tam nie ma, chociaż to niezłe miejsce, żeby zniknąć. Z zapasami jedzenia i wody na kilka miesięcy, własnym generatorem prądu i schronem przeciwatomowym.

– Ciekawe, czemu nie dotarł. Pewnie ma jeszcze kilka lepszych kryjówek.

– Wiemy tylko o tej, na razie.

– Masz jakieś plany co do tego miejsca?

– Kiedyś myślałem, żeby je przejąć, ale teraz to już nie jest dobry pomysł. Zaminujemy, założymy detonator połączony z czujnikiem ruchu i kamerę. Jak już się nasz mafioso pojawi, to zrobi piękne bum! I będzie nasz. – Lucyfer wydawał się uśmiechać do swoich planów, choć jego twarz jak zawsze pozostała bez wyrazu.

Azazel niechętnie kiwnął głową. Szansa, że Duszczyka trafi do kryjówki El Grisa, jakkolwiek znikoma, to jednak nie dawała się całkowicie wykluczyć. Doświadczenie uczyło, że jego kobieta bywa nieprzewidywalna, jak pogoda w górach i pojawić się mogła właściwie wszędzie, z Pałacem Prezydenckim włącznie. Nie mógł jednak paraliżować całej akcji swoimi irracjonalnymi obawami.

– Dobrze, niech zaminują wnętrze, ale nie ruszają bramy. Nie zależy nam, żeby jakimś szmatławy kierowca wylądował u nas w dziesięciu kawałkach grubo przed czasem – przytaknął w końcu. – Byle prędko i bez śladów.

– Przecież to zrozumiałe. Nie musisz moich pracowników uczyć oczywistych spraw.

Lucyfer napisał kilka słów na kartce, którą Gereban natychmiast przekazał do działu operacji pilnych. Czas mijał, a niemożność odna-

lezenia Duszczyki i obawa o nią doprowadzały Azazela do szału. W końcu wstał i przeniósł się do swoich koszar, gdzie czuł się nieco mniej przerażony swoją bezradnością.

– Opowiedz mi za co masz te pięć cyngwaj-sów – odezwał się Larden, uważnie patrząc na krętą drogę przed sobą.

– Nie ma się czym chwalić – burknęła Duszczyka niechętnie.

– Przeciwnie. Poza tym lubię sobie porozmawiać, kiedy prowadzę, a nieczęsto mam z kim.

Jechali powoli w zapadającym zmierzchu, bo nigdzie im się nie spieszyło. Diabeł wyjaśnił jej wcześniej, że nie zamierzają atakować swojego celu przed świtem. Duszczyka w ogóle nie zamierzała niczego atakować, ale liczba mnoga wypowiedziana przez Lardena tak stanowczym tonem wykluczała jakąkolwiek dyskusję. Terroryzm będzie nowością na jej liście przestępstw i rodziło się pytanie kiedy niebiescy w końcu się zniescierpliwia i zaczną wyciągać konsekwencje.

Chwilę wcześniej wyjechali ze stacji benzynowej, gdzie Larden zapłacił pieniędzmi, wymienionymi w banku jeszcze przez Rożę. Wybrał dużą, ruchliwą stację niewątpliwie wyposażoną w monitoring, ale pozwalającą się wtopić w tłum klientów i zniknąć bez zwraca-

nia niczyjej uwagi. Duszyczce kazał zwinąć się w kłębek na podłodze i wpuścił do kabiny psa, który dotychczas pilnował żeglarskiego worka, nonszalancko rzuconego na klapę bagażową.

Zatankowany do pełna samochód sunął teraz z mozołem górską drogą, z rzadka mijając inne, nadjeżdżające z przeciwka auta. Duszyczka objęła się ramionami, próbując zachować odrobinę ciepła, bo chłód nocy wciskał się do wnętrza przez nieszczelną karoserię i patrzyła na drogę niewidzącymi oczami.

– To było trzy lata temu, albo cztery. Już mi się płacze. Belzebub przez pomyłkę wyrzucił mnie z piekła razem z sześcioma demonami pustyni zaklętymi w złote kamienie. Groziłam, że je odczaruję i wypuszczę w Watykanie, jeżeli nie przywróci Azazela do życia. Eskenezer przybył wtedy, żeby mi pomóc, ale wysłannicy Władcy już deptali nam po piętach... Bardzo się bałam.

– Lubię to.

– Bać się? – spytała zaskoczona.

– Gdzie tam. Lubię, jak kobiety się boją. To przyjemne. I co zrobiliście? – Larden zmienił światła na krótkie, kiedy mijali auto, jadące z przeciwka. W dolinie zrobiło się już całkiem ciemno.

– Eskenezer nie mógł walczyć z personelem

Władcy, więc to ja wsypałam truciznę na szczyry do karafki z jakimś szemranym alkoholem i postawiłam u siebie w kuchni. Włamali się i któryś wychłał. To ta pierwsza kropka. Druga to piękna diablica Marimar, która rozbiła się kabrioletem, kiedy nas goniła. Wiesz, która to?

Larden powoli kiwnął głową. Wszyscy znali Marimar, choć od kilku lat jej nie widywano. Mówiono, że strasznie rozgniewała czymś Belzebuba i została skazana na wygnanie, czy może więzienie.

– Ta seks-bomba.

– Raczej seks-petarda – rzuciła kwaśno. – Eskenezer twierdził, że zginęła przeze mnie. Niech mu będzie.

Larden oblizął górną wargę. Zielonkawy po-blask od zegarów z tablicy nadawał mu upiorny wygląd.

– Nie przerywaj – sapnął. – Uwielbiam takie o kobietach.

– Wypadła z auta i to wszystko – ucięła Duszczycka krótko. Nie zamierzała zaspokajać jego niezdrowej ciekawości. – A dwie kolejne to skutki wybuchu granatu, kiedy mnie diabli Belzebuba po lesie gonili. Po prostu odbezpieczyłam, upuściłam i biegłam dalej. Gdybym miała rzucać, to bym na pewno nie trafiła.

– Nie oberwałaś odłamkiem?

– Nie, bo upadłam, ale Mefisto mi później powiedział, że w nich trafiło z całą siłą. Od razu ci mówię, że nie widziałam skutków, więc nie pytaj.

– A ostatnia? Mówiłaś o pięciu, nie?

– Mówiłam – potaknęła niechętnie. – Piąta to ten wredny zdrajca, który pilnował rezydencji Azazela tuż przed wybuchem.

– Mówisz o tym, który leżał przed wejściem?

– Larden nagle przeistoczył się z rozleniwionego, trochę obleśnego diabła z leciutką nadwagą w czujnego żołnierza. Zmiana była tak nagła i całkowita, że Duszyczka na chwilę straciła wątek. Larden zerknął na nią z ukosa.

– No! – ponaglił. – Opowiedz mi, co się działo, odkąd wyjechałem od was jako przynęta.

– Jak go ostatnim razem widziałam, to siedział.

– Kto znów?

– Ten zdrajca – powiedziała ze zniecierpliwieniem. – Siedział i opierał się plecami o ścianę.

– Po kolei – zażądał Larden stanowczo.

Duszyczka głęboko westchnęła, starając się uporządkować w myślach wszystkie zdarzenia, nim zaczęła mówić. Nie patrząc na swojego rozmówcę wspominała przyjazd limuzyny i polecenie Azazela, żeby ukryła się w głębi domu. Lar-

den kazał sobie powtarzać co ciekawsze szczegóły dotyczące kurdupla z automatem i jego niespodziewanego pojawienia się w garderobie, wędrówki Duszyczki po bezludnym domu w poszukiwaniu pistoletu, czy nocy spędzonej pod łóżkiem w oczekiwaniu na strzał. Jego oczy zdawały się jarzyć w ciemności jak u kota.

Gdy Duszyczka opowiedziała mu jak zmusiła ochroniarza do wezwania Lucyfera, roześmiał się.

– Jak to się stało, że nie miał żadnych ran postrzałowych, skoro do niego strzeliłaś? Przecież z tej odległości nawet taka osoba jak ty, nie powinna chybić.

– Lucyfer go obezwładnił na ułamek sekundy zanim strzeliłam. Kula musiała przelecieć tuż nad nim. Zaraz! Skąd wiesz, że go nie trafiłam?

– Byłem tam akurat w dobrym momencie, żeby być świadkiem pięknego bum. Ktoś się postarał.

– No to opowiadaj. Podobno miałeś jechać gdzieś daleko.

– Teoretycznie tak, ale praktycznie, to mnie zdmuchnęli rakieta do wąwozu po jakiejś pół godzinie. Albo i wcześniej.

Duszyczka poczuła, jak na rękach robi jej się gęsia skórka. Dziwiło ją to, bo przy tej ilości ataków powinna się już przyzwycząić i przestać

zwracać uwagę na stare zamachy sprzed tygodnia.

– Jak to się stało, że wyszedłeś bez szwanku?

– Nie wyszedłem. Miałem połamane zębra, nogi i, jak to lekarze ładnie nazywają, obrażenia wielonarządowe. Leżałem całą noc, próbując się nareperować, a rano powlokłem się z powrotem do rezydencji, dowiedzieć się co i jak. Trzepnęło niezłe – uśmiechnął się z uznaniem. – Znalazłem tylko tego zarozumiałego buca pod drzwiami, to go zabrałem do lasu. Pogadaliśmy sobie.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego? – Duszczyka całkowicie odsunęła rodzące się w niej podejrzenie, że zeznania pechowego ochroniarza nie były całkiem dobrowolne. To, jak diabły traktują się nawzajem, nie było jej sprawą i miała mocne postanowienie, żeby się nie wtrącać.

– Za wszystkim stoi El Gris, ale tyle to już sama wiesz – stwierdził. – Pozostaje pytanie gdzie się podział Azazel.

– I co oni mu zrobili?

Larden zjechał z szosy w wąską leśną drogę i zaparkował samochód. Odwrócił się przodem do Duszczyki i wziął ją za ramiona.

– Ciągłe myślisz kategoriami ziemskimi. Azazel jest diabłem i to jednym z najpotężniejszych. Nigdy o tym nie zapominaj! Ludzie nic

mu nie mogą zrobić, a nawet jeżeli, to na krótko. Nie można go uwięzić ani zabić. To ty jesteś celem ataku, bo z tobą można zrobić wszystko, a jego chwilowo odsunięto, żeby nie przeszkadzał.

Duszyzka kolejny raz poczuła chłodny dreszcz, ale tym razem nie mogła tego złożyć na karb wiatru, który nie wciskał się już do starego samochodu. Objęła się ramionami i butnie spojrzała na Lardena.

– Nic mi nie mogą zrobić.

– Mogą. Jeśli cię zabiją, trafisz do czyśćca, ale w końcowym efekcie niebiescy prędzej czy później zabiorą cię do siebie i rozdzielą z Azazelem.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

– Oni mnie zabiorą od razu! Kiedyś, dawno temu zrobiłam coś, co niebiescy bardzo sobie cenią i w efekcie mojej głupoty po śmierci natychmiast pójdę do nieba, a wtedy zostanie mi tylko smutek i napisy końcowe! Niedoczekanie! – warknęła. – Muszę zrobić coś strasznego, żeby nie mogli mnie przyjąć.

Larden przyglądał jej się przez chwilę bez słowa, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem wyciągnął w górę otwartą dłoń.

– Przybij piątkę. Przyjmuję cię na staż. Zanim skończymy, niebiescy roześlą za tobą listy

gończe.

– Umowa stoi. Chyba nie mam innego wyjścia – mocno klepnęła w otwartą dłoń diabła.

– Czemu tu stoimy?

– Chałupa El Grisa jest niedaleko. Pójdę się rozejrzeć.

– A co ja mam robić?

– Waruj tutaj. Pies będzie pilnował, a ty śpij.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale diabeł uciszył ją gwałtownym gestem.

– Masz wykonywać polecenia, rekrucie, bo inaczej nie przeżyjesz, a nie mogę sobie pozwolić, żeby cię stracić. Nie tylko ja jestem tobie potrzebny, ale i ty mnie. Jesteśmy na siebie skazani.

– Ja tobie jestem potrzebna? – zdumiała się.
– Do czego?

– Nie myśl, że jestem taki dobry po nic. To by było nienormalne. Twoje wstawiennictwo może mi uratować tyłek, więc zamierzam o ciebie dbać. Jak wrócę, zastukam trzy razy i powiem hasło, niech będzie „demon”. Zostawić ci broń?

Duszydzka pokręciła głową, więc Larden wpuścił psa do kabiny, a potem odwrócił się i bezgłośnie zniknął w gęstwinie. Została sama ze swoim strachem.

Kobieta stała w sypialni, z uznaniem patrząc na swoje odbicie w lustrze. Czarny kombinezon i kominiarka nadawały jej wygląd ninja, co bardzo jej się podobało. Dawno nie miała okazji uczestniczyć w takiej akcji i choć powiedziała El Grisowi, że wyjście na zewnątrz jest głupie, to jednak czuła przyjemne mrowienie na plecach, na myśl o ryzyku. Była tak pewna, że wyślizgnie się wszystkim, że aż się uśmiechnęła pod kominiarką. Wreszcie mogła robić coś, do czego była stworzona.

Mieszkanie z mafiosem było podniecające ze względu na władzę, jaką reprezentował, ale kobieta uważała że sama byłaby lepszym szefem. Umiała myśleć szybciej niż on, a co ważniejsze, była znacznie bardziej bezwzględna. Gdyby była mężczyzną, rządziłaby tu niepodzielnie. El Gris utrzymywał się przy życiu dzięki niej, ale także, paradoksalnie, dzięki opiece jej wroga Azazela. Ona zajmowała się niedoszłym zamachowcami, których spotykały nad wyraz niemiłe niespodzianki, zaś niewiedzący o niej Azazel ułatwiał mu działania zawodowe. El Gris nigdy nie byłby w stanie utrzymać się aż tak długo jako szef wszystkich szefów, gdyby nie zgodne wysiłki tej dwójki, choć każdym kierowały odmienne motywy.

Kobieta oderwała oczy od lustra i wróciła do

garderoby. Przeszła w koniec pomieszczenia, gdzie za szafką ukryty był jej prywatny sejf, do którego gangster nie miał dostępu. Raz próbował ją zmusić do podania szyfru. Kiedy mu odmówiła, w szale uderzył ją znienacka od tyłu pogrzebaczem, pozbawiając przytomności. Gniewnie zmarszczyła brwi. Powinna być szczerą przynajmniej przed samą sobą. Zabił ją tym pogrzebaczem, wybaczyła mu jednak, bo był jej potrzebny. Tylko on mógł podejść do Azazela tak blisko, by go wyeliminować. Opuszczenie przez diabła willi nad Morzem Śródziemnym było cudownym zrządzeniem losu. Przy tamtejszych zabezpieczeniach nie udałoby się go tak łatwo usunąć.

Westchnęła przeciągle i z zadowolonym uśmiechem otworzyła sejf. Był prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku sztuk różnej broni i pudełek z amunicją. Ostrożnie wyjęła pistolet automatyczny i zapasowy magazynek. Dzisiejsze wyjście nie zapowiadało się groźnie i broń nie była jej potrzebna, ale tak bardzo się stęskniła za chłodnym dotykiem metalu, że nie mogła sobie odmówić przyjemności. Ostatnio nie miała ich za wiele.

Przede wszystkim Azazel uciekł z pułapki i za to winiła tych idiotów od El Grisa. Mówiła, żeby nie spuszczać go z oka, ale kto by tam wie-

rzył jakiejś kobiecie. Wydawało im się, że zjedli wszystkie rozумы, a teraz wszyscy mają kłopot. Jedyna pociecha w tym, że Duszczyka błąka się gdzieś po mieście i traci jednego opiekuna za drugim. Nie może uciekać wiecznie.

Kobieta zdecydowanym gestem zamknęła sejf i wsunęła zapasowy magazynek do kieszeni. Pora się zbierać, trzeba tylko zejść na chwilę do piwnicy i sprawdzić co robi ten kretyn. Pewnych siebie głupców należy zawsze mieć na oku. Bezszelestnie zbiegła po schodach i uchyliła drzwi. W jasno oświetlonym pokoju gangster wlewał w siebie szklankę alkoholu, rozmawiając z kimś przez telefon. Kobieta poczuła wściekłość. Mówiła mu, żeby nigdzie nie dzwonił. W obecnych czasach namierzenie rozmowy nie stanowiło problemu nawet dla niezbyt rozgarniętego fachowca.

– Wiem, że jestem tam potrzebny, jutro przyjadę... nie, raczej nie... no a jak myślisz, gdzie jestem?

Kobieta podniosła broń i strzeliła. Mężczyzna bezwładnie upadł na dywan, wypuszczając telefon z ręki, a szklanka o ciężkim dnie bezgłośnie potoczyła się po dywanie aż pod ścianę. W telefonie nadal słyhać było głos rozmówcy, krzyczącego coś z niepokojem. Nie zwróciła na to większej uwagi. Podniosła aparat i nie zada-

jąc sobie nawet trudu, żeby się rozłączyć, wrzuciła go do ognia na kominku.

Z pogardą kopnęła ciało El Grisa. Było jej obojętne czy jeszcze żyje. Nie był jej już potrzebny, a nawet stanowił zagrożenie. Nie mogła teraz zostać we własnym domu, bo lada chwila zlecą się tu nie tylko ochroniarze i pracownicy tego dupka. Jeśli ktoś podsłuchał rozmowę, mogła się spodziewać nalotu wszystkich pałających żądzą zemsty gangsterów i handlarzy narkotyków w tym kraju. Najdalej za pół godziny rozpęta się tu piekło, a potem przyjedzie policja i wojsko.

Dla pewności strzeliła do El Grisa jeszcze raz i zarzuciła automat na plecy. Potem dźwignęła pół żywe ciało i klnąc wykorzystała swoją ostatnia atutową kartę – szyfr do kanału Azazela. Sekundę później leciała wąskim tunelem, w którym z trudem mieścili się wraz z mafiosem.

W samochodzie panowała cisza. Pies zwinął się w kłębek na podłodze, pozostawiając do dyspozycji swojej pani oba siedzenia, gdzie z popękanej, sztucznej skóry sterczały strzępy gąbki i kawałki sprężyn i sznurka. Duszczyka ułożyła się w miarę wygodnie, a przynajmniej próbowała sobie wmówić, że tak jest. Z papierowej torebki wyjadła resztkę frytek, które Lar-

den przyniósł jej na stacji benzynowej. Były zimne i zalatywały zjełczalym tłuszczem, ale dla straszliwie głodnej Duszycki były niczym najwytworniejsze danie z eleganckiej restauracji. Potrząsnęła torebką, żeby sprawdzić, czy nie zostały jakieś okruszki i zgmiotła ją w kulkę.

– Przepraszam. – Poglaskała psa po głowie.
– Wiem, że powinnam ci była coś zostawić. Zapomniałam, że ty nie jesteś ghulem i też musisz jeść.

Położyła przetłuszczony papier na półce przy kierownicy i próbowała zasnąć, ale otaczający ją czarny las zdawał się napierać na auto. Pies jednak leżał spokojnie, najwyraźniej nie wyczuwając żadnego niebezpieczeństwa. Duszycka przysięgłaby na głowy przodków do dziesiątego pokolenia wstecz, że nie zmrużyła oka, a jednak nagłe poruszenie psa wyrwało ją z płytkiego i niespokojnego snu. Nie wiedziała, jaki dźwięk go zaniepokoił, ale na wszelki wypadek usiadła, rozglądając się za czymkolwiek do obrony. Miała do dyspozycji zmiętą torbę po frytkach i brudną szmatę wetkniętą w kieszeń w drzwiach. W ostateczności mogłaby ją wepchać napastnikowi w gardło, żeby go udusić, ale wątpiła, czy ktokolwiek zgodzi się stać spokojnie, zanim ona skończy.

Pies przestał odsłaniać kły i nastawił uszy,

gdy coś załomotało w karoserię, wołając „diabeł, diabeł”. W gwałtownie otwartych drzwiach kierowcy ukazała się czyjaś twarz, oświetlona bladym blaskiem żaróweczki pod sufitem.

– Larden, ty głupku – jęknęła Duszczycka.

– Czemu tak na mnie patrzysz, jakbym ci zabił kota? – uśmiechnął się, jak rozbrykane dziecko. – Przestraszyłaś się? Przecież pukałem trzy razy. I podałem hasło.

– Rozumiem, że jako diabeł jesteś istotą bardzo niedoskonałą, ale żeby aż tak? Mogłam zejść na zawał. A na dokładkę pomyliłeś hasło!

– Poważnie wierzysz w takie bajki jak hasła?

– roześmiał się radośnie. – Jedziemy.

Sięgnął ręką do stacyjki i połączył przewody. Silnik jęknął w proteście, ale zapalił.

– Byłeś w rezydencji?

– Nie wchodziłem, sprawdziłem tylko ogrodzenie. Brama jest pod prądem, bo leżą obok jakieś zdechłe zwierzaki. Druty na murze też pewnie podłączyli. Straży brak.

– Skąd to możesz wiedzieć?

Larden poklepał się po wiszącej na piersiach lornetce z noktowizorem i nie odwracając się, cofał samochodem do miejsca, w którym mógł zawrócić. Po chwili jechali tą samą krętą, asfaltową drogą, którą przedtem porzucili. Duszczycka odbiło się starym tłuszczem i poczuła,

jak robi jej się lekko niedobrze, ale postanowiła siłą woli zwalczyć tę myśl.

Po kilkuset metrach Larden zjechał w inną leśną drogę, zadziwiającą dobrze utrzymaną, aż natknęli się na dużą tablicę z napisem najeżonym wykrzyknikami i podniesiony szlaban.

– Dziwne – stwierdziła Duszczyka. – Po co im szlaban, skoro go nie zamykają?

– Pewnie dlatego, że w rezydencji nikogo nie ma. Nie ma komu pilnować.

Nie przejmując się groźnie wyglądającą tablicą, Larden zgasił światła i nie zwalniając minął szlaban.

– Jak ci się udaje jechać w ciemności?

– Kwestia wprawy. Poza tym nie widzę w nocy aż tak świetnie jak kot, ale na pewno o wiele lepiej niż ty.

Auto przejechało jeszcze kawałek i stanęło. Przed nimi, pośród drzew majaczyła wielka polana. Diabeł zawrócił samochód i uważnie spojrział na Duszczykę.

– Co tak jakoś dziwnie wyglądasz?

– Chyba frytki mi nie posłużyły.

– A coś mi mówiło, żeby nie spełniać dobrych uczynków. Teraz wysiądę, a ty tu poczekasz. Kiedy zobaczysz, że biegnę, wskakujesz za kierownicę. To będzie znaczyło, że coś jest nie tak. Kiedy usłyszysz, że wskoczyłem na pakę,

ruszasz, jakby cię diabeł gonił.

– Chcę iść z tobą.

Larden pokręcił głową.

– Jeżeli coś ci się stanie, Azazel każe się mnie pozbyć raz na zawsze.

– Nie będę tu siedziała, jak worek siana! Jak mam zasłużyć na gniew niebieskich, jeśli stale będziecie mnie chronić?

Diabeł przyjrzał jej się w bladym świetle przedświtu. Niebo różowiało już z jednej strony i blask powoli docierał do polany. W końcu niechętnie skinął głową.

– Dobrze, możesz wysiąść i popatrzeć. W końcu od czegoś musisz zacząć naukę. Do domu nie wchodzisz!

Larden delikatnie przymknął drzwiczki i zgrabnie wskoczył na klapę samochodu. Duszyczka stała z boku drogi i patrzyła, jak prostuje się z wyrzutnią na ramieniu. Moment później rura plunęła ogniem i brama wyleciała w powietrze, ale Larden zaczął biec jeszcze zanim koziołkujące w powietrzu, pogięte pręty opadły na trawnik.

Niewiele myśląc ruszyła za nim.

Niebo na wschodzie poróżowiało i ciemność okrywająca rezydencję nie była już tak gęsta, jak jeszcze przed chwilą. W powietrzu pachnia-

ło wilgotną ziemią i więdnącymi liśćmi. Kobieta w czerni zrzuciła swój ciężar w odległym końcu ogrodu, obok szopy z narzędziami, czy co tam zamknął w niej poprzedni właściciel. Pogardliwie trąciła butem leżące na trawie ciało El Grisa, który jęknął cicho. Nadal był nieprzytomny.

– Ty głupie ścierwo! Myślałeś, że jesteś cwańszy ode mnie – szepnęła, choć sama nie wiedziała po co jej te środki ostrożności. W tej głuszy mogła krzyczeć do utraty tchu i nikt by nie usłyszał.

Zastanawiała się właśnie, czy warto zakopywać go w jego własnym ogrodzie, czy też lepiej zostawić go tu, gdzie ktoś mógłby go łatwiej znaleźć, gdy zdawało jej się, że słyszy samochód. Przybyła tu chwilę wcześniej i czujnie obserwowała dom, szukając śladów czyjejś obecności, ale wszędzie panowała martwa cisza. Dom najwyraźniej od dawna był nieużywany.

Stała teraz, czujna i nieruchoma, jak węszący pies. W jednej chwili straciła zainteresowanie umierającym gangsterem i nisko pochylona ruszyła biegiem ku domowi. Ostrożnie wyjrzała zza węgła, leżąc na wilgotnej trawie. Wybuch, który rozwalił bramę sprawił, że przywarła do ziemi całym ciałem.

Przez resztki bramy wszedł mężczyzna, odwrócił się i niewidocznemu współnikowi po-

kazał uniesiony kciuk. Kobieta patrzyła zaskoczona. Czuła, że przybysz jest diabłem, ale nie знаła go. Już chciała się chyłkiem wycofać, żeby jej nie wyczuł, gdy na teren rezydencji weszła ostrożnie... Kobieta o mało nie krzyknęła z radości. Po tylu latach starań i zabiegów, ryzyka i straconych szans, nagle ofiara sama do niej przyszła.

Bezszelestnie wycofała się głębiej do zapuszczonego ogrodu i siedząc za krzewami szybko wystukała numer, którego nie powinna używać. Musiała dać znać o swoim triumfie. Rozłączyła się po kilku sekundach prowadzonej szeptem rozmowy, w samą porę, żeby znów upaść plackiem w trawę, gdy budynek wyleciał w powietrze. Przeturlała się w bok, próbując uniknąć spadających z nieba kawałków gruzu, a kiedy kurz opadł na tyle, by odsłonić widok, wysunęła się zza ruin domu. Jej wyczekana ofiara zniknęła właśnie za bramą wraz z mocno utykającym diabłem. Poprawiła pistolet maszynowy i schylona, pobięła za nimi.

– Ale dałeś czadu. To się nazywa narozrabiać. – Duszycka siedząca na ziemi bez powodzenia próbowała strzepnąć śmieci z ubrania.

– Mówiłem, żebyś nie podchodziła. Nic ci nie jest? Wyglądasz jak wszyscy diabli – stwier-

dził Larden cierpko, podchodząc bliżej. Prawe ramię zwisało mu bezwładnie i wyraźnie kulał, a twarz miał zakrwawioną. Automat przewiesił przez ramię.

– Dziwisz się? – wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Chyba rozpętałeś trzecią światową.

– Przybij piątkę – diabeł wyciągnął zdrową dłoń i Duszytzka klepnęła w nią z rozmachem. Chwycił ją za rękę i pociągnął, podnosząc z ziemi. – Spadamy. Tu już bardziej narozrabiać się nie da.

– Jak to zrobiłeś?

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale samo wyszło. Ktoś dobrze poinformowany musiał tu być przed nami. Wszystko mu popsułem – stwierdził z satysfakcją.

Zbliżali się już do samochodu, gdy nagle Larden zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na Duszytzkę ze zdumieniem. Powoli, jak na zwolnionym filmie, opadł na kolana i niezdarnie próbując się podpierać, chciał iść na czworakach w stronę auta. Pistolet automatyczny leżał przy drodze, wypuszczony z bezwładnej dłoni.

Duszytzka z przerażeniem zobaczyła krew spływającą mu z rany postrzałowej na plecach. Błyskawicznym ruchem sięgnęła po automat, gdy nad głową przeleciała jej czarna błyskawica. Pies, szkolony do atakowania ludzi z bronią,

rzucił się w stronę zbliżającego się, zamaskowanego napastnika. Musiał go dostrzec wcześniej i teraz pędził wielkimi susami, póki kolejny strzał nie sprawił, że zwinął się w powietrzu jak sprężyna i ze skowytem upadł na ziemię.

– Kurdupel – szepnęła ze zgrozą. Zamarła na chwilę i ta zwłoka ją zgubiła. Chwyciła pistolet z ziemi i strzeliła w stronę napastnika trochę na oślep. Broń, nastawiona na strzały pojedyncze nie miała takiej siły rażenia, a człowiek w czerni był szybki jak śmierć. Sekundę później jej broń wyrwana z potężną siłą frunęła w bok. Czyjeś silne ręce objęły ją w pól i wciągnęły w pędzący tunel, gdzie wirujący piasek i resztki trawy zmusiły ją do zamknięcia oczu. Ten, kto ją napadł był diabłem i nie wiedziała czy to dobrze, czy też dopiero teraz ma powód do strachu.

– Poprosiłem cię, panie, żebyś przyszedł, bo wreszcie mamy przełom. – Gereban wskazał Lucyferowi fotel przed największym monitorem. – Już rok temu wydałem zakaz używania innych aparatów telefonicznych, niż te zarejestrowane i z naszą homologacją. Na ulicach diabły mogą robić, co chcą, ale w budynkach mają się stosować wszyscy.

Lucyfer zmarszczył brwi.

– Nie, panie – dodał szybko Gereban. – Ty

używasz, czego sobie tylko życzysz i wszystkie twoje telefony uważane są za legalne, ale już mnie nie wolno tego robić.

Nie dodał, że głównym celem tego zakazu, była chęć przyłapania kogoś z obozu odwiecznego wroga, czyli wywiadu, na prowadzeniu pogawędek z dziewczynami czy obstawianiu gier hazardowych. O wykryciu poważniejszych wykroczeń nawet nie marzył, ale w tej małej wojnie liczyło się każde, najdrobniejsze nawet, świństwo.

– Dziś dostałem informację, że zapisano zaledwie kilku-sekundową rozmowę z nielegalnego aparatu w biurach wywiadu.

Lucyfer patrzył na swojego szefa operacji naziemnych i zastanawiał się o jakich to jeszcze środkach ostrożności mu nie powiedziano. Jego oczy w kolorze rybich łusek zwężyły się o milimetr.

– Nie informowałeś mnie.

– To rutynowe środki ostrożności. Kiedy zorientowaliśmy się, że coś się dzieje, zabroniłem używania w pracy telefonów bez naszej homologacji, ale nikomu nie powiedziałem, że rozmowy z nierejestrowanych aparatów będą zapisywane. Nigdy nie wiadomo, co można złowić – uśmiechnął się, ale bez wesołości.

Oba diabły przez chwilę patrzyły sobie

w oczy, zanim Lucyfer zapytał:

– Gdzie ten przełom?

– Posłuchaj, panie, rozmowy sprzed pół godziny.

Gereban wcisnął przycisk i z głośnika popłynął wściekły szept:

„– Masz tu nie dzwonić!

– To pilne. Ptaszek się znalazł. – Głos drugiej osoby był ledwo słyszalny, jakby była duchem, a nie żywym człowiekiem.

– Zlikwiduj. Jest zbyt niebezpiecznie. Nie dzwoń tu nigdy.”

Przerwano połączenie. Oczy Lucyfera pojaśniały.

– Określono już lokalizację drugiego rozmówcy? To chyba kobieta?

– Analitycy sprawdzają czyje to głosy i odpowiedzi spodziewamy się... – przerwał spoglądając na zegar – najdalej za kwadrans, chociaż z odbiorcą będzie pewien problem, bo użył elektronicznego modulatora. Wiemy skąd dzwoniło, chłopcy już są na miejscu. Niestety nie mam dobrych wiadomości. Prywatną rezydencję El Grisa, zaminowaliśmy w absolutnej tajemnicy i zamontowaliśmy też kamerę do rejestracji ruchu. Dobrze schowaną. Właśnie dostałem nagranie... Nie chcę nic narzucać, ale chyba jego książęcość Azazel też powinien je zobaczyć.

- Połącz mnie z nim.
- Co chciałeś, Gerebanie? Znalazła się? – Z głośnika odezwał się głos Azazela.
- Przyjdź natychmiast do biura operacji – rzucił sucho Lucyfer.
- Za pięć minut ... – zaczął Azazel, ale Lucyfer nie pozwolił mu skończyć.
- Cokolwiek robisz, rzuć to w tej chwili!
- Kilka sekund później w otwartych drzwiach stanął Azazel. Zaciśnięte usta i głęboka zmarszczka między brwiami wskazywały w jak dużym żył napięciu. Gereban podsunął mu drugi fotel i puścił nagranie jeszcze raz. Azazel zerwał się z wściekłością.
- Skąd dzwonił? Czemu nas tam jeszcze nie ma?!
- Dzwoniono z terenu rezydencji El Grisa, tej, którą zaminowaliśmy. Chłopaki przeczesują teren centymetr przy centymetrze. Twojej kobiety tam nie ma, księżę – powiedział Gereban głośno. – Już nie ma – dorzucił pod nosem, ale Azazel go nie usłyszał.
- No to daj ten film z rezydencji – zażądał Lucyfer. Azazel znów usiadło obok niego.

Na wielkim monitorze ukazała się wylatująca w powietrze brama wjazdowa. Kamera włączyła się ułamek sekundy przed wybuchem, co znaczyło, że czujnik złapał ruch rakiety. Chwilę

później przez połamane i pogięte pręty na teren rezydencji wszedł mężczyzna, słabo widoczny w bladym świetle wstającego dnia. Miał czarne włosy zachodzące na oczy i szedł lekko kołyszącym krokiem. Odwrócił się i komuś niewidocznemu w kadrze pokazał wzniesiony ku górze kciuk.

– Larden – szepnął Azazel.

Diabeł przemknął przez dziedziniec i podszedł do drzwi budynku. Był teraz niewidoczny, ale można się było domyślać, że wszedł do środka. Sekundę później przez bramę weszła kobieta.

– Przecież to Duszczyka – zawołał ze zgrozą nagle poblady Azazel. Gwałtownie pochylił się do przodu wyciągając rękę, jakby chciał ją zatrzymać. – Ładunki...

Dziewczyna zrobiła kilka kroków w głąb posiadłości, kiedy potężny wybuch zakołysał obrazem z kamery. Duszczyka upadła na trawę zdawało się bardziej w prostym odruchu obronnym, niż na skutek fali powietrza. Na nią posypały się jakieś szczątki, kawałki desek, szkło, kurz i ziemia. Przez chwilę w kadrze widać było tylko opadający pył. Potem dziewczyna usiadła, otrzepując ubranie, a od strony domu, zataczając się, podszedł do niej mocno utykający Larden z bezwładnie zwisającą prawą ręką i coś

powiedział. Diabły patrzyły zdumione, jak obydwoje uśmiechają się szeroko, przybijają dłonie i Larden pomaga dziewczynie wstać. Ramię w ramię, pośpiesznie wyszli poza teren rezydencji, nawet nie oglądając się za siebie.

– Posłałeś tam kogoś?

– Tak, panie. Ale jej tam już nie ma. To nie koniec nagrania – oznajmił Gereban grobowym głosem.

Przez moment na dziedzińcu nic się nie działo, a potem gdzieś z boku wysunął się zamaskowany, niski osobnik z pistoletem automatycznym. Azazel głośno wciągnął powietrze. Napastnik biegnąc uniósł lufę i widać było lekkie szarpnięcie broni gdy padł strzał, a po sekundzie drugi. Potem przebiegł przez bramę i znikł poza zasięgiem kamery. Pięść Azazela rozbiła blat biurka, a Gereban zatrzymał film.

– Co my tu jeszcze robimy? – ryknął Azazel. Jego wściekłość zdawała się fizycznie wypełniać biuro, jak czarna chmura.

– Zaraz się tam przeniesiemy, panie, ale twoja kobieta zdażyła gdzieś zniknąć. Na pewno nie zginęła. Patrz dalej panie, w zwolnionym tempie dobrze widać. O tu – puknął paznokciem w dolny róg monitora. – A teraz tu.

Na zwirowanej alejce widać było maleńki obłoczek kurzu w miejscu, gdzie trafiły pociski.

– Do tego zabójcy ktoś strzelał! Nasi chłopcy znaleźli martwego Lardena i rannego psa. To efekt pierwszych dwóch strzałów. Widać twoja kobieta odpowiedziała ogniem. Próbkki krwi z trawy już poszły do laboratorium, ale wydaje się, że nikt poza Lardenem nie został draśnięty.

Chwilę później wszyscy trzej stali przed ruiną rezydencji El Grisa. Azazel kazał natychmiast odwieźć psa swojej kobiety do weterynarza, a ciało Lardena już zabrano na regenerację. W zdezelowanym dostawczym samochodzie zaparkowanym przodem w stronę drogi znaleziono torbę z pieniędzmi Duszczyki i żadnych wskazówek co do jej dalszego losu. W krzakach przy drodze leżał pistolet maszynowy. Azazel stał teraz i rozglądał się z bezradną wściekłością, pośród krzątającej się ekipy.

Gereban podszedł do Lucyfera.

– Wybacz panie – starał się mówić z szacunkiem i powagą, ale w głosie pobrzmiwało mu podniecenie. Miał w sobie w tej chwili coś z psa gończego, który zwietrzył trop i wie, że go już nie zgubi. Szef odwrócił się w jego stronę.

– Czy Azazel mógł być tu dziś wcześniej?

Lucyfer pokręcił głową.

– Nie sędzę. Czemu pytasz?

– Właśnie mi doniesiono, że w tym miejscu

korzystał dziś z kanału vipów. Na twoje zlecenie rejestrujemy wszystkie przypadki użycia od zniknięcia Azazela. Raporty z wykazem dostaję co godzinę, ale sprawdzamy zasadność dwa razy na dobę. Nie zwrócilibyśmy uwagi, bo Azazela nie pilnujemy tak ściśle, ale diabeł, który miał służbę zauważył, że księżę przenosił się w krótkim odstępie czasu z bardzo odległych miejsc. To fizycznie niemożliwe, więc przyjrzał się uważniej i właśnie dano mi znać. – Gereban wydawał się zatroskany, ale Lucyfer wiedział, że to pozory. Jego sekretarz, jak głodny rekin, zwiertzył krew i spieszyło mu się odnaleźć ofiarę.

– Z jakich miejsc?

– Współrzędne wskazują, że przeniesiono się tutaj z domu w mieście i znów z powrotem, ale nie mamy tej nieruchomości w naszych rejestrach. To prywatna willa z dużym ogrodem, zakupiona trzy lata temu na nazwisko Ersilia María de la Luz Varadero y Ordóñez... Imponujące – dorzucił, nie mogąc się powstrzymać.

– Nigdy o kimś takim nie słyszałem. – Lucyfer przywołał Azazela, który wyparł się jakiegokolwiek znajomości z właścicielką domu i nazwiska.

– Nie byłem dziś ani tu, ani w żadnym domu z ogrodem. Wywołaliście mnie z koszar moich

komandosów. Siedziałem tam z Eskenezere i masą innych diabłów. Ani chwili nie byłem sam. To ta kobieta, która strzelała do Duszczyki musiała użyć mojego kanału...

Przerwał i popatrzył na Gerebana, na którego twarzy malowało się powątpiewanie.

– Zawsze rozpoznam kobietę, nawet w przebraniu ninja. To była kobieta. Dowiedz się jak mogła się pode mnie podszyć i używać moich kanałów. I podaj mi współrzędne domu!

– Weź wsparcie, panie.

– Nie mam teraz czasu. Podeślij mi ludzi, jak tylko dasz radę.

– Ale...

– Współrzędne! – ryknął Azazel i Gereban posłusznie odczytał mu z kartki ciąg liczb. Sekundę później po Azazelu pozostał tylko niewielki wir piasku, powoli opadający na drogę.

Tunel zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem i czyjeś silne ręce pchnęły Duszczykę w głąb pomieszczenia. Potknęła się o miękki dywan i łapiąc równowagę zrobiła kilka szybkich kroków, ale udało jej się nie upaść. Pokój był duży, choć dość niski, urządzonej luksusowo, a na marmurowym kominku płonął ogień. Duszczyka miała wrażenie, że miejsce pachnie prochem, jakby niedawno ktoś tu strzelał. Od-

wróciła się w stronę napastnika, który mierzył ją teraz wściekłym wzrokiem, pragnąc wypalić w niej dziury spojrzeniem. Byli o kilka metrów od siebie i Duszczyka niemal fizycznie czuła nienawiść, która zdawała się wypełniać pomieszczenie. Niski, szczupły człowiek w czarnym stroju komandosa stał bez najmniejszego ruchu, z ramienia zwisał mu pistolet automatyczny, a lufa wskazywała Duszczykę. Poczwała, że robi jej się niedobrze.

– Kim jesteś? – spytała, starając się brzmieć pewnie.

Nie odrywając od niej oczu, z prawą dłonią na pistolecie, napastnik powoli uniósł lewą rękę i zdjął kominiarkę. Długie, ciemne włosy rozsypały mu się na plecy, a gdy ukazała się twarz z pięknymi, czarnymi oczami, nagle przynajmniej część kawałków łamigłówek zaczęła do siebie pasować.

– Marimar – niemal westchnęła Duszczyka.
– Czemu o tym wcześniej nie pomyślałam?

– Bo jesteś bezdennie głupia! – diabolicznie zdawała się wypluwać słowa z pogardą. Zmierzyła Duszczykę spojrzeniem z góry za dół.

– Nareszcie – powiedziała miękko, jakby chciała ukoić własne uczucia. – Czekałam na to trzy lata. Długie trzy lata. Teraz jesteś moja i nikt ci nie pomoże.

– Co ci da, że tu jestem? – Nagle Duszcycze wydało się szalenie ważne, żeby zyskać na czasie. Nie zamierzała się płaszczyć i błagać o życie, bo jej zdaniem było to całkowicie bezcelowe. Marimar miała jakiś plan i zamierzała go zrealizować, ale w interesie Duszcyczki leżało możliwie jak największe opóźnienie egzekucji.

Rozejrzała się po pokoju. Był piękny, ale pozabawiony okien, a więc musiały znajdować się w piwnicy. Poniżej poziomu gruntu! Tu nikt jej nie wysledzi, nawet Mefistofeles, który zawsze wiedział, gdzie kto się znajduje. Za wszelką cenę starała się nie upadać na duchu, ale było jej teraz znacznie trudniej zachować choćby strzępki optymizmu. Czuła coraz większe mdłości.

– Dasz mi coś do picia? – spytała pragnąc odwrócić uwagę diablicy od pistoletu, ale też starając się uspokoić w jakiś sposób wyraźnie zdegustowany czymś żołądek.

– Tobie? – pogarda w głosie Marimar była jak splunięcie. – Jeśli o mnie chodzi, możesz zdechnąć od razu.

– Dlaczego aż tak mnie nienawidzisz?

– Dlaczego? Ty jeszcze pytasz dlaczego? Bezczelna dziwka!

Marimar zrobiła szybko kilka kroków w stronę Duszcyczki unosząc dłoń, jakby chciała jej wymierzyć policzek. Zamach był potężny i ude-

rzenie miało szansę urwać dziewczynie głowę. W tej samej chwili Duszczyka poczuła nieopanowany skurcz żołądka i pochylając się w przód, bez większych ceregieli zwymiotowała diablicy pod nogi. Marimar odskoczyła z odrazą.

– Nie wiem co ten dureń Azazel w tobie zobaczył – stwierdziła ze wstrętem.

– Lepiej się nie zbliżaj, bo nie wiem kiedy znów zwymiotuję na twój widok.

Przez chwilę patrzyły na siebie przez szerokość pokoju.

– Miałaś mi powiedzieć dlaczego mnie nienawidzisz. – Duszczyka otarła usta wierzchem dłoni. Poczuła się nieco lepiej, ale śmierć patrząca na nią pięknymi oczami Marimar nadal była stanowczo zbyt blisko.

– Powiem ci, żebyś miała o czym myśleć przez resztę wieczności u niebieskich. Kiedy wróciłam do piekła bez pierścienia, który straciłam przez twoją głupotę, szef mnie zdegradował do najniższego stopnia! Mnie! Komandosa drugiego szeregu!

To niewątpliwie oznaczało hańbę. Degradacja o stopień zdarzała się od czasu do czasu, ale taki upadek był niesłychany. Duszczyka zbyt zajęta swoimi sprawami nigdy się nie zainteresowała losem diablicy, której kabriolet koziołkujący na zaoranym kartoflisku nadal miała

przed oczami.

– Nie moja wina, że miałaś wypadek. – Z udawaną obojętnością wzruszyła ramionami. – Byłaś zbyt zajęta strzelaniem do mnie, żeby dobrze prowadzić samochód. Zapisz się na kurs. Wyjaśnią ci, co to znaczy mieć podzielność uwagi. Może nawet nauczysz się jeździć – powiedziała z przekąsem. Jeśli ma umrzeć, zrobi to z podniesioną głową.

Marimar zacisnęła usta i uniosła pistolet.

– Jak to się stało, że trafiłaś tutaj? – zagadnęła Duszyczka. Ciekawość jak zwykle zwyciężyła strach.

– I tak tego nie zrozumiesz.

– Wyjaśnij mi. Skoro mam umrzeć i iść do nieba, należy mi się chyba jakieś wyjaśnienie?!

– Pójdiesz do nieba, wiem, a ja wreszcie zajmę twoje miejsce w domu Azazela. Miejsce, które mnie się należy!

– Nic ci się nie należy! – krzyknęła Duszyczka.

Bez żadnego ostrzeżenia Marimar strzeliła jej pod nogi. Duszyczka drgnęła nerwowo, a w powietrzu rozniósł się zapach spalonego prochu. Diablica, zadowolona z osiągniętego efektu, oparła się o filar.

– Nie odzywaj się nie pytana. Kiedy Belzebub skierował mnie do czyszczenia latryn w karnej

kompanii... – urwała, patrząc niewidzącym wzrokiem. Duszyczka próbowała sobie wyobrazić wszystkie okropności takiego miejsca, ale z pewnością nie wystarczało jej wyobraźni.

– Wykupiłam się u nadzorcy. Kosztowało mnie to cały majątek, ale Belzebub do dziś nie wie, że mnie tam już nie ma. Przeniosłam się na Ziemię i czekałam na ciebie. Tam, nad Morzem Śródziemnym nie mogłam cię dosięgnąć, ale zrobiłaś mi uprzejmość i przyjechałaś tutaj. Dalej sprawa była prosta. – Na jej pięknej twarzy pokazał się lisi uśmieszek.

– Kto ci pomagał?

– Tego się nigdy nie dowiesz. Będziesz siedziała w tym swoim głupim niebie, tęskniła do Azazela, którym ja się zajmę i będziesz całą wieczność myślała, kto mi pomógł cię wkopać!

Marimar zacisnęła dłonie mocniej na pistolecie i wycelowała go w piersi Duszyczki. W tym momencie drzwi za plecami diablicy otworzyły się gwałtownie, z łoskotem uderzając o ścianę.

Na tle ciemnych schodów stał Azazel z bronią gotową do strzału. Duszyczka gwałtownie wciągnęła powietrze, żeby krzyknąć, ale nie zdążyła. Marimar odwróciła głowę zaledwie tyle, by kątem oka zobaczyć przybysza. Było jej wszystko jedno kto wchodzi, ale raczej spodziewała się kumpli El Grisa, niż samego księcia piekieł. Stał

przez ułamek sekundy, próbując ogarnąć wzrokiem sytuację. Zawahał się, widząc Duszyczkę na linii strzału i ten moment zważył na wszystkim.

Nie patrząc nawet co robi, diablica nacisnęła spust. Duszyczka, która w tym samym momencie próbowała paść na podłogę w pierwotnym odruchu obronnym, została trafiona pociskiem tuż pod lewą piersią. Uderzenie było zdumiewająco bolesne. Zaskoczona i głęboko zawiedziona takim obrotem sprawy, upadła na podłogę i patrzyła, jak na niebieskiej bluzce powiększa się plama krwi. Uniosła głowę i spojrzała na twarz Azazela. Diabeł z strzelał do leżącej na dywanie Marimar, której martwe ciało drgało przy każdym trafieniu, póki szcęk iglicy nie uświadomił mu, że magazynek jest pusty.

Jednym skokiem był przy Duszyczce i chwycił ją na rękę. Dziewczyna zamknęła oczy, bo otwieranie ich wiązało się z nadludzkim wysiłkiem.

– Zostań ze mną! Słyszysz? Nie możesz mnie teraz opuścić! – krzyczał Azazel. Nie rozumiała, o co mu chodzi. Przecież ją trzymał, więc dokąd miałyby iść? Poza tym była zbyt słaba, żeby się ruszyć.

Czuła ruch powietrza w tunelu i słyszała coraz bardziej cichnący głos diabła w pędzącej do-

kąds ciemności.

Przerażony Azazel stanął pośrodku sali, która spełniała funkcję izby przyjęć w luksusowej, prywatnej klinice, utrzymywanej dla potrzeb piekielnego personelu wyższego stopnia. Delikatny zapach kwiatów, łagodne oświetlenie i uspokajające kolory kojarzyły się z eleganckim salonem, a nie szpitalem. Kiedy jednak pośrodku sterylnej czystej sali pojawił się Azazel z zakrwawioną kobietą na rękach, siedząca za stolikiem pielęgniarka uniosła głowę i błyskawicznie wcisnęła przycisk dla nagłych wypadków. Senna atmosfera prysła w ciągu sekundy.

W jaskrawych światłach, które rozbłysły na suficie, praktycznie znikąd pojawili się sanitariusze z wózkiem, lekarz i pielęgniarki. Duszczyka została delikatnie położona i wózek ruszył w głąb korytarza, oddzielonego drzwiami z matowego szkła. Azazel próbował biec za nimi, ale drogę zastąpił mu starszy, szpakowaty mężczyzna w garniturze.

– Por favor – zaczął mężczyzna, nie dając się odsunąć z drogi. Przez uchylone drzwi widać było, jak wózek znika w kolejnej sali. Zniecierpliwiony i szalejący z niepokoju Azazel próbował ominąć intruza z prawej albo z lewej, ale ten najwyraźniej był zdecydowany zabronić mu

wstępu.

– Proszę nam pomóc uratować señoritę – oznajmił wreszcie, widząc, że Azazel unosi rękę, by zmieść go z drogi. – Proszę powiedzieć co się stało, señor!

– Postrzał w klatkę piersiową, pojedynczy. Możliwe wcześniejsze obrażenia wewnętrzne na skutek bliskiej eksplozji – powiedział szybko Azazel.

Mężczyzna skinął głową i mówiąc coś do mikrofonu, przypiętego do klapy marynarki, odwrócił się i szybko odszedł. Bezradny Azazel stał bez ruchu, wpatrując się w szerokie drzwi w głębi korytarza, ze świecącym nad nimi napisem ” Quirófano”⁸, póki pielęgniarka o macierzyńskim wyglądzie nie zaprowadziła go do pokoju dla oczekujących. Miała doświadczenie w opiece nad bogatymi mężczyznami o cholerycznym usposobieniu, bo mówiąc coś łagodnie i kojąco przetarła mu zakrwawione dłonie wilgotną chusteczką. Kiedy jednak próbowała posadzić go na kanapie, spotkała się ze zdecydowanym oporem. Pozwoliła mu więc chodzić po izbie przyjęć między recepcją, a korytarzem prowadzącym do sal operacyjnych. Źle znosił bezradność, jak większość mężczyzn z którymi miała tutaj do czynienia.

Azazel wyjął telefon, połączył się z Eskeneze-

rem i kazał mu zabrać ciało Marimar do podziemi w koszarach.

– Zabierz ją do nas natychmiast. Postrzeliła Duszyckę i należy teraz do mnie... Gównu mnie obchodzi, czego chce Gereban... nie wiem jaki jest stan, właśnie operują... czekam... jasne, dam ci znać, jak tylko się dowiem... obojętne mi co z nią zrobisz. Jeśli o mnie chodzi, możesz ją nawet wypatroszyć, byle ci nie uciekła...

Schował telefon do kieszeni i podjął wędrówkę wzdłuż recepcji. Po chwilowym ożywieniu, klinika znów pograżyła się w kojącym nerwy le-targu. Azazel jednak nawet tego nie zauważył. Nie mógł uwierzyć, że sprawy zaszły tak daleko, że być może zostanie rozłączony z kobietą bez której nie wyobrażał sobie dalszego życia. Uderzył pięścią w ścianę. Lampa nad biurkiem recepcjonistki zakołysała się lekko i po chwili ta sama pielęgniarka, która przedtem się nim zajęła, teraz przyniosła na tacy dwie małe pa-stylki i szklanekę napoju. Diabeł spiorunował ją wzrokiem, więc ukloniła się tylko i zostawiła go w spokoju. Znów podjął swoją wędrówkę.

Już drugi raz jego kobieta znalazła się w szpi-talu przez jego nieprzemyślane działania i roz-pacz mieszała się z wściekłością na siebie. Nie miał się na kim wyładować, a to tylko pogar-szało sytuację. Zabrał Duszyckę na Ziemię, bo

chciał, żeby była szczęśliwsza, żeby miała błękitne niebo i słońce, a nie tylko półmrok czy kompletne ciemności piekieł. Była taka radosna, siedząc pod palmami, brodząc w piasku na plaży czy oglądając rozgwiazdy. Na ziemi wszystko ją cieszyło, nawet tandetne koraliki ze straganu dla niezamożnych turystów.

Podobno dobrymi uczynkami dno piekła jest wybrukowane. Azazelowe dno znajdowało się teraz w luksusowej i nad wyraz dyskretnej klinice, stanowiącej własność Lucyfera. Usiadł na kanapie i zasłonił twarz dłońmi.

Pielęgniarki zjawiły się co jakiś czas, pytając, czy nic mu nie potrzeba i informując, że operacja jest w toku, señor, i na razie nic powiedzieć nie można, ale ich wyraz twarzy zupełnie się diabłu nie podobał.

Wreszcie, kiedy zdawało mu się, że czeka tu od kilku dni, a nie zaledwie od kilku godzin, w korytarzu za szklanymi drzwiami pojawił się zmęczony chirurg, zdejmujący z twarzy maskę. Jednym skokiem Azazel był przy nim, a milczące pytanie zawisło w powietrzu.

– Nie ukrywam, że stan jest bardzo ciężki – powiedział lekarz powoli, jakby starając się odsunąć chwilę prawdy. – Señorita miała wiele szczęścia, że w ogóle żyje. Siostró – zwrócił się do pielęgniarki z recepcji – proszę przynieść

rzeczy pacjentki do mojego gabinetu. – Ruchem ręki wskazał Azazelowi kierunek. – Pan pozwoli, señor.

Diabeł szedł mechanicznie, obojętny na świat wokół niego i nieomal modlący się o życie dla leżącej o kilka pomieszczeń dalej kobiety. Nie potrafiłby później opisać gabinetu. Widział tylko zatroskają twarz lekarza siedzącego naprzeciwko, a strach odbierał mu chęć życia.

– Señorita teraz odpoczywa, za kilka minut będzie pan mógł się z nią zobaczyć, ale tylko na chwilę – dodał prędko, widząc, że Azazel wstaje. – Najpierw muszę panu wyjaśnić pewne rzeczy, señor.

– Słucham, ale niech pan mówi krótko!

Lekarz zawahał się przez chwilę. Wiedział, że zrobiono wszystko, żeby dziewczyna żyła, a jednak nie miał większej nadziei, że uda się ją uratować. Zdawał sobie sprawę, że za jej śmierć odpowiedzialby głową i on i cały zespół obecny dziś w klinice, bo mężczyźni tacy, jak siedzący przed nim zgnębiony Azazel, nie wybaczą. To była ciemna strona po królewsku wynagradzanej pracy.

– No wiec? – rzucił wyczekująco Azazel, ale przerwało im pukanie i w drzwiach stanęła pielęgniarka. Lekarz zaprosił ją gestem do środka i odebrał od niej małą tackę, którą postawił

obok siebie, na niskiej szafce.

– Oto rzeczy, jakie pacjentka miała przy sobie. Proszę, señor, paszport. Czy takie nazwisko mamy wpisać w dokumentacji medycznej?

Azazel machinalnym ruchem odebrał od niego małą wiśniową książeczkę i bezmyślnie otworzył. Ze zdjęcia patrzyła na niego gładko zaczesana poważna Duszydzka, a jednak lewy kącik ust miała leciutko uniesiony, jakby bawiły ją zabiegi fotografa, ale za wszelką cenę chciała to ukryć. Lekko pogłaskał palcem małe zdjęcie, na którym jego kobieta jeszcze żyła.

– Señor? Nazwisko?

Nie wolno mu tak myśleć! Nie wolno! Nie pamiętał jakie to nazwisko, ale było mu wszystko jedno. Gwałtownym gestem schował paszport do kieszeni. Na wystającą z niego, przetartą na brzegach kopertę w ogóle nie zwrócił uwagi.

– Nazwisko? Tak! Czy teraz mogę ją zobaczyć?

– Za kilka minut. Najpierw...

Drzwi za plecami Azazela otworzyły się bez pukania. Przez twarz lekarza przemknął wyraz dezaprobaty, gdy jednak rozpoznał przybysza, wstał na powitanie. Doskonale wiedział, komu zawdzięcza tę pracę.

Lucyfer szedł przez pokój z zatroskaną twarzą. Przywitał się z obu mężczyznami i usiadł na

podsuniętym sobie fotelu.

– Proszę kontynuować. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

Lekarz podniósł z tacki wypchany czymś twardym, zakrwawiony woreczek z szarego zamszu. Z jednej strony coś połyskiwało przez niewielkie rozdarcie.

– To uratowało życie señority.

– Co to niby ma być? – spytał Azazel, czując jak frustracja i wściekłość znów łapią go za gardło, gdy strach na chwilę odpłynął. Chwycił zawiniątko z rąk lekarza i szarpnął za obwiązujący je sznureczek. Na blat stolika zaczęła się wysypywać biżuteria. Diabeł podniósł na lekarza pytające spojrzenie.

– Señorita schowała to w lewej miseczce biustonosza. Kula trafiła w klejnoty, ześlizgnęła się po nich i dzięki temu lekko zmieniła tor. Gdyby nie to... – rozłożył ręce w geście bezradności. – Oto pocisk. Proszę, może zechcą panowie rzucić okiem.

Nieco nerwowo położył na stoliku niewielką plastikową torebeczkę. Azazel nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby ją wziąć, nadal trzymając w dłoniach biżuterię Duszczyki i błogosławiąc jej pomysł, żeby nosić klejnoty w miejscu tak niestandardowym. Lucyfer podniósł kulę i obejrzał, ustawiając się do światła, a potem

schował do kieszeni marynarki.

– Rozumiem, że nie ma potrzeby fatygowania policji? – bardziej stwierdził, niż zapytał lekarz.

– Cenimy sobie waszą dyskrecję. Oczywiście, że nie ma potrzeby. Sami się tym zajmujemy, profesorze. Czy można już stwierdzić jakie są rokowania?

– Myślę, że może pan teraz zobaczyć pacjentkę – lekarz wstał i wyciągając dłoń, ruszył ku drzwiom. Za progiem Azazela przejęła pielęgniarka, a lekarz wrócił do gabinetu, tym razem nie kryjąc swoich obaw.

– Pacjentka jest teraz w śpiączce farmakologicznej. Podtrzymujemy funkcje życiowe, ale jeżeli organizm nie podejmie ich w najbliższym czasie... – zawiesił głos, nie chcąc powiedzieć głośno tego, czego rozmówca z całą pewnością nie chciał usłyszeć.

– Jeżeli nie podejmie, nadal będziecie je podtrzymywać, dopóki ja i mój przyjaciel nie zgodzimy się, żebyście przestali. Koszty nie grają żadnej roli.

Lekarz czuł niemiłe dreszcze na plecach, patrząc w nieruchome, blade oczy Lucyfera, które nieodmiennie kojarzyły mu się ze zdechłą rybą.

– Ależ oczywiście, señor Fuentes. Nigdy nie ośmielilibyśmy się zrobić niczego innego.

– Proszę mnie informować, gdyby cokolwiek się zmieniło. Numer telefonu do mojego sekretarza zostawię w recepcji. On państwa poinformuje w sprawie faktur. Dziękuję za pańskie starania – powiedział z naciskiem i nie żegnając się, wyszedł z gabinetu.

– Widzę, że masz dla mnie jakieś wiadomości. – Lucyfer założył nogę na nogę, uważnie obserwując podnieconą twarz Gerebana. – Dobrze?

– Połowicznie. Otóż moja sprzątaczką, która pracuje w budynku wywiadu...

– Podrzuciłeś Achillesowi kukułcze jajo?

– Oczywiście i to niejedno! Gdybym tego nie robił, nie zasługiwałbym na swoje stanowisko – odpowiedział Gereban obrażonym tonem. – On ma z pewnością kogoś u nas i dlatego nasze sprzątaczkę przechodzą pełną weryfikację co sześć miesięcy.

– Nakryłeś którąś?

– Taaa – mruknął Gereban z ociąganiem. Nie zamierzał nawet szefowi zdradzać ile sprzątarek odwrócił w podwójnych agentów, ile podejrzewał o ponowne odwrócenie przez ludzi Achillesa, a ilu pozbył się definitywnie pod różnymi pretekstami. Ta zabawa trwała od wieków i grzechem byłoby z niej rezygnować, a sprzą-

taczki, mające dostęp do większości pokoi były cudownym materiałem na agenta.

– Otóż nasza kobieta została natychmiast za-
goniona do pracy i oto co znalazła w koszu na
śmieci w damskiej toalecie na pierwszym pię-
trze – Gereban triumfalnie wyciągnął z szuflady
plik fotografii i podał je Lucyferowi. – Nieste-
ty, brak karty, a odciski palców zostały wytar-
te. Aparat oczywiście zostawiliśmy na miejscu,
kamera obserwuje wejście. Niestety nie było jej
tam wcześniej i trzeba będzie ją zdemontować
przed porankiem, kiedy ludzie Achillesa sprawd-
zają budynek. Nie chcemy, żeby ktoś od nich
wiedział, że wiemy.

– Czyli nadal nie znamy współnika Marimar
– mruknął Lucyfer po części do siebie. – Pilnuj-
cie tego.

– Z całą pewnością – zapewnił gorliwie Gere-
ban, którego głęboka niechęć do Achillesa była
powszechnie znana, ale Lucyfera już w pokoju
nie było.

Eskenazer siedział w gabinecie Azazela
w piekielnych koszarach i czytał dokumenty,
choć określenie „czytał” było stanowczo na wy-
rost. Nie mógł się skupić, a litery skakały mu
przed oczami. Duchem tkwił w klinice przy łóż-
ku Duszczyki, która nadal była bardziej mar-

two, niż żywa i nie wiedział, jak da sobie radę, gdyby faktycznie niebiescy zabrali ją do siebie. Biurokracja, narzucona przez Belzebuba, doprowadzała go do furii. Sterta spraw do załatwienia rosła w zastraszającym tempie i zaczął się zastanawiać na kogo można by przelać choć część kompetencji. Bez tego wszystkie operacje zaczynają z czasem kuleć.

Z jałowych rozmyślań wyrwało go energiczne pukanie.

– Kogo tam znów anioły niosą? – mruknął pod nosem, dodając dla okrasy soczyste przekleństwo. – Wejść! – ryknął.

Do gabinetu wszedł szef straży: wysoki, postawny mężczyzna, łysy jak kolano. Eskenezer wrócił do czytania.

– Przyszła jakaś kobieta – zaczął diabeł od progu i urwał.

– Dlaczego do cholery przychodzisz z tym do mnie? Wygoń ją! Kurew nam tu teraz nie potrzeba. – Eskenezer był zdecydowany nie dać na siebie zwalić kolejnej sprawy.

– Mówi, że nazywa się Roza, ale...

– Ale co?

Szef straży przełknął ślinę i postanowił bohatercko kontynuować, mimo wyraźniej wściekłości szefa.

– Ale jest ubrana na czarno.

Eskenezer wreszcie podniósł głowę i popatrzył uważnie, na głaszczącego się po łysinie diabła. W piekle do czerwonych strojów miały prawo wyłącznie aktualne kochanki Belzebuba oraz dwie byłe, którym ten przywilej zostawiono: Aurelia i Roza. Dzień wcześniej Roza miała na sobie paskudną, workowatą sukienkę w czerwone kwiatki, którą jakoby dała jej Duszyzcza.

– Dlaczego na czarno?

Eskenezer wstał, odsunął z przejścia szefa straży i poszedł do zatrzaśniętej na głucho bramy. Właściwie powinien kazać ją zaspawać, ale wspinanie się na mury za każdym razem byłoby chyba zbyt dużym utrudnieniem. Gdy tylko sprowadzono do koszar martwą Marimar, prosił sekretariat Belzebuba o zablokowanie wszystkich kanałów transportowych, bez wyjątku. Teraz nawet Azazel nie mógłby wejść ani wyjść tą drogą. Przy bramie sprawdzano każdego, a zakaz przepuszczania kobiet był dodatkowo poparty karą strącenia nieposłusznego diabła do wulkanu.

Przy bramie strażnicy wy pytali go dokładnie o imię i numer służbowy, cel wyjścia, kazali pokazać nieśmiertelnik i gdy właśnie zamierzali podsunąć mu skaner odcisków palców, do rozmowy wtrącił się jednak szef straży.

– Chłopcy, to naprawdę jest Eskenezer – po-

wiedział, patrząc na nich znacząco i psując tak dobrze zapowiadającą się zabawę. Szef komandosów wprowadził sam nałożył te obostrzenia, ale widać było, że testowanie ich na własnej skórze znosi nad wyraz źle.

Za bramą faktycznie stała piękna Roza w czarnej sukni do ziemi. Ukłoniła się Eskenezzerowi w milczeniu.

– Z czym znów przychodzisz Rozo? Azazela nie ma.

– Chciałam się widzieć z Velarem. Proszę.

– Teraz to niemożliwe. Idź do siebie. Damy ci znać.

– Nie mogę tu poczekać?

– Nie. Nie wpuszczamy teraz kobiet do środka, a na zewnątrz, sama rozumiesz... – nie do końca.

– Powiedz mu, że byłam – odwróciła się i powoli odeszła w głąb piekła. Eskenezzer poczuł się jeszcze gorzej, a czekała go jeszcze wizyta w podziemiach, gdzie co godzinę sprawdzał jaki jest stan podziurawionej kulami Marimar powoli wracającej do życia.

Azazel patrzył na leżącą na szpitalnym łóżku Duszczykę, a właściwie wyłącznie na jej ciało, bowiem ona sama przebywała teraz zupełnie gdzieś indziej, całkiem poza jego zasięgiem.

Obie dłonie oparł o rozdzielającą ich szybę, jakby chciał przekazać dziewczynie swoją siłę i zdrowie. Wyjaśniono mu już jak bardzo poważny jest stan i jak nikłe są szanse na jej powrót do zdrowia. Mógł wejść do jej sali tylko na kilka minut i potrzymać ją za rękę, a teraz stał, zionąc wrogością do całego świata. Lekarze mówili coś o krytycznych dwudziestu czterech godzinach, z których kilka już minęło. Gdyby do jutrzejszego południa nie odzyskał Duszczyki, nie dostanie jej nigdy. Zamierzał wtedy podpalić świat z czterech stron, zaczynając od nieba i chciał, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Jego własny los przestanie go obchodzić.

– Muszę wyjść na kilka godzin w twojej sprawie. Bądź grzeczna i nigdzie się beze mnie nie ruszaj, kochanie – szepnął, gładząc szybę końcami palców.

Duszczyka odniosła się do jego prośby całkiem obojętnie i nadal leżała bez ruchu, a tylko obecna w salce pielęgniarka, gwałtownie zamrugwała, próbując osuszyć wilgotniejące oczy.

Duszczyka, zupełnie nieświadoma dramatycznych scen rozgrywających się za jej plecami, szła wąską, leśną ścieżką w gęstej, lepiałej się do ciała mgłę. Nie widziała nawet palców wyciągniętej ręki, a ostre kamyki uwierały ją

w boscie stopy. Prześcieradło, którym była okryta co raz zsuwało się z ramion, póki nie udało jej się ciasno nim owinąć i zamocować na pierśsiach. Nie chciała gorszyć zaświatów widokiem swojego gołego zadka, wyzierającego spomiędzy fałd.

Już raz musiała tędy przejść kilka lat wcześniej, gdy Azazel zobaczył ją na ulicy, zakochał się bez pamięci i kazał swoim diabłom natychmiast sprowadzić ją do siebie, nie zważając na gniew niebieskich. Właściwie nie zakochał się, ale po prostu, w zgodniej opinii całego otoczenia, kompletnie zwariował. Potrącona przez samochód Duszczyka szła wtedy tą samą krętą ścieżką we mgle i nie mogła zawrócić.

Wzburzona koniecznością kolejnej wizyty w niebiańskiej Recepcji, próbowała cofnąć się i wrócić na ziemię tą samą drogą, którą przyszła, ale pozornie bezcielesna mgła ponownie z bezwzględną stanowczością pchała ją do przodu. Pomimo wysiłków, Duszczyka nie była w stanie chociażby się zatrzymać.

Teraz, kiedy zobaczyła Azazela całego i zdrowego, nie musiała się o niego martwić i pozostało jej tylko nieco okrężną drogą wrócić do piekła, ewentualnie na ziemię, zależnie od kaprysu niebieskich. Możliwości pozostania w niebie nawet nie brała pod uwagę i była gotowa torpe-

dować taką decyzję wszelkimi siłami.

Gęste, mleczne opary skończyły się nagle i dziewczyna stanęła na nagrzanym słońcem trawie. Przed nią, aż po horyzont, rozciągał się w obie strony podniszczony, ceglany mur, miejscami opleciony dzikim winem. Na zwieńczeniu kłębiły się zwoje przerdzewiałego, kolczastego drutu, a na wprost niej widniała masywna brama z litego żelaza. Obok bramy stało to samo piękne biurko, z którym siedział staruszek podobny do Einsteina i młody anioł Zenobiusz w niebieskiej koszulce z haftem „Asystent”. Od jej ostatniego pobytu nic się tu nie zmieniło, może tylko wino rozrosło się nieco, a fryzura Zenobiusza była jeszcze bardziej ekstrawagancka. Jego włosy długości kilku centymetrów zostały ufarbowane w białą-czarną szachownicę, skręcone w szpikulce, stojące na wszystkie strony, jak u jeża. Było to niewątpliwe arcydzieło sztuki fryzjerskiej na skalę światową.

Duszczyka spojrzała na uśmiechnięte twarze obu pracowników recepcji i poczuła przyływ niepokoju. Unosiła się wokół nich taka sama aura profesjonalnego optymizmu, jaką roztańczają stewardesy na chwilę przed katastrofą samolotu.

– No to, kurwa, pięknie – mruknęła pod nosem, tym razem pilnując się, żeby tym razem

nikt jej nie usłyszał, wygładziła fałdy prześcieradła i zrobiła kilka kroków po miękkiej trawie.

– Dzień dobry, Duszyczko – powiedział starsuszek i zgasił tłącęgo się w popielniczce papierosa. Asystent wyjął z szuflady nową paczkę i podał mu z szacunkiem.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się Duszyczka, która nie spodziewała się, że została zapamiętana. Nie była do końca pewna, czy to dobry znak.

– Witamy ponownie – Zenobiusz wyrażał się z oczywistym przekąsem i od razu jasne było, że nie znajdzie w nim sojusznika. Podczas ostatniego pobytu narobiła mu kłopotów, bo błędnie wystawione dokumenty ściągnęły na niego reprimendę zwierzchników i karę w postaci cofnięcia comiesięcznej przepustki na ziemię. Umiejętność wybaczenia nie była niestety jego mocną stroną i choć starał się nad tym pracować, zdecydował, że jednak nie tym razem.

Duszyczka postanowiła udawać, że go nie słyszy. Miała mocne postanowienie załatwienia sprawy po dobroci i niereagowania na mniejsze czy nawet większe prowokacje.

– No, Zenobiuszu. Wejdź w akta Duszyczki i wystaw jej przepustkę PS1 i główny dokument rejestracyjny GD2. Zobaczmy co system powie w jej sprawie. Tylko tym razem nie zamykaj pliku, zanim wszystkiego dokładnie nie sprawdzi-

my – dodał z naciskiem.

Duszczyka patrzyła podejrzliwie, gdy z drukarki wylaniały się kolejne, gęsto zapisane kartki. Zenobiusz zamasyżył i z hałasem stempłował wszystkie strony, a staruszek stawał u dołu parafki. Wreszcie zebrał wszystkie dokumenty i zaczął czytać, a twarz rozjaśniała mu się oraz bardziej.

– Proszę, proszę, moja droga. Czegoś takiego już dawno nie mieliśmy.

– Z pewnością! – rzucił kwaśno Zenobiusz i dodał oskarżycielsko – Wbrew naszym zaleceniom uciekłaś z Poczekalni!

Bezradnie rozłożyła ręce starając się włożyć w ten gest wiele serca. W efekcie natychmiast musiała poprawiać grożące opadnięciem prześcieradło.

– Bardzo mi przykro – skłamała, mając nadzieję, że brzmi szczerze i wiarygodnie. – Diabły chciały mnie złapać i musiałam.

Staruszek nie zwrócił uwagi na tę wymianę zdań i poprawił na nosie okulary w metalowych oprawkach. Duszczyka obserwowała w nich swoje podwójne odbicie.

– Mam tu pismo stwierdzające, że chciałaś oddać życie, ratując kogoś innego przed unicestwieniem. I co ważniejsze, miałaś na myśli wieczność. Ho ho, gratuluję!

– Błąd młodości – starała się zbagatelizować sprawę, ale błysk uznania w oczach Kierownika Recepcji nie wróżył nic dobrego.

– Gdyby więcej osób... – zaczął Zenobiusz.

– Zabrakłoby obiektów do ratowania – ucięła rzeczowo i na chwilę zapadła niezręczna cisza.

– Z całą przyjemnością witamy cię w niebieskich progach – oświadczył w końcu staruszek, kładąc na biurku plik dokumentów.

– Tak, właśnie – zająknęła się. – Mnie też jest miło.

– Podpisz proszę tu, tu i tu – puknął paznokciem w kartki i podał jej długopis.

– Czy wtedy będę mogła wrócić do piekła?
– spytała, na wszelki wypadek chowając ręce z tyłu.

Obaj mężczyźni podnieśli na nią zaskoczony wzrok.

– Nic podobnego! To absolutnie niemożliwe! – wykrzyknął Zenobiusz. Sprawiał wrażenie urażonego takim pomysłem.

– Nie z takimi rewelacyjnymi papierami! – dodał staruszek, kręcąc głową. – Poza tym nie mamy żadnej możliwości zmienić decyzji systemu, nawet gdybyśmy chcieli.

– A raczej nie chcemy – dorzucił Zenobiusz z satysfakcją.

Duszyzka cofnęła się o krok z uporem malującym się na twarzy.

– Nie pójdę do nieba! – Tupnęła i pokręciła głową tak energicznie, że włosy rozsypały się jej po twarzy i zaczęły wchodzić do oczu. Odgarnęła je niecierpliwie.

– Będziesz musiała. Nie możesz przychodzić kiedy tylko najdzie cię taki kaprys i żądać odesłania tu czy tam – powiedział Zenobiusz stanowczo.

– Oczywiście, miewam głupie kaprysy, żeby do mnie strzelano! Jak mi przykro! – Patrzyła na anioła płonącymi oczami, zastanawiając się czy przypadkiem nie byłoby warto go uderzyć.

– Ależ nie to mamy na myśli – łagodził staruszek, z zadowoleniem patrząc na logo szpitala u dołu szaty Duszyzki. Poszła za jego wzrokiem. Wzdłuż prześcieradła biegł kolorowy nadruk „La Clínica de San Pedro Más Alto”. Nie bardzo rozumiała co ma być najwyższe, klinika, czy święty Piotr, i czy są jacyś niżsi, ale nie był to właściwy moment na takie rozmyślenia. W jej opinii szpital był niewiele wart, skoro musiała się teraz zastanawiać jak się wyplątać z niebiańskiego przydziału.

– Co mogę zrobić, żeby pójść do piekła? – podjęła jeszcze jedną próbę dogadania się z przeciwnikiem. Swoją drogą dziwiło ją jak

niebiescy mogli się stać jej wrogami, ale tak ich teraz widziała i chyba nie do końca chciała to zmienić.

– Absolutnie nie ma takiej możliwości – powiedział staruszek z naciskiem. – Zostałaś nagrodzona za dobre uczynki. Konkretnie za jeden.

– Zabiłam pięć diabłów!

– Tym bardziej, moja droga.

– Ale jestem mordercą! Seryjnym! – krzyczała.

Widząc brak jakiejkolwiek reakcji rozmówców, Duszczyka poczuła przedsmak klęski.

– Podobno niebo jest nagrodą. Dlaczego nie mogę wybrać takiej, jaka mi odpowiada? – spytała z goryczą, czując, że frustracja zaczyna zbierać jej się w gardle.

– Niebo jest najwyższą nagrodą – powiedział Zenobiusz z całą mocą swoich młodzieńczych przekonań.

– Chcę wrócić do piekła, do Azazela! – krzyknęła zaciśniętymi pięściami, niewiele już sobie robiąc z form grzeczności. – Mieszkałam z nim przez trzy lata i nie uważam, żeby to było takie straszne. Tam jest moje niebo!

Zenobiusz, podrażniony jej oporem, zerwał się i krzyknął z pełną potępienia wyższością:

– Tylko czarownice kochają się z diabłami!

Jednym skokiem Duszczyka znalazła się obok, z trudem powstrzymując się, żeby go nie spoliczkować. Pobyt w piekle miał widać zły wpływ na jej charakter. W pierwszej furii jednym gestem zmiotła z biurka wszystkie papiery, długopisy, podstawki i pieczątki. Przedmioty frunęły w bok, lądując w trawie. Próbując za wszelką cenę zająć czymś ręce, oparła je przed aniołem i przechyliła się ponad biurkiem.

– Gównu wiesz! Na drugi raz nie wypowiadaj się w sprawach, o których nie masz najmniejszego pojęcia – wysyczała z pasją, nie zwracając uwagi na machającego rękami staruszka, który jednak nie wstał, żeby ratować dokumenty. – Sądziłam, że rozum dostaliśmy po to, żeby go używać, ale ty powtarzasz cudze opinie, jak głupie dziecko. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z diabłem? Nie mówię o zapytaniu, która godzina, ale czy rozmawiałeś?

Zenobiusz nerwowo pokręcił głową, tak zaskoczony napaścią, że nie wiedział, co powiedzieć. Ziemszy imigranci zazwyczaj okazywali mu pokorę i szacunek.

– Tak myślałam! Mam dla ciebie propozycję, mały głuptasie – ciągnęła jadowicie. – Przejdź się do nich, poznaj, porozmawiaj, spraw, żeby przyjęli cię, jak swojego, a nawet, żeby chcieli cię bronić przed innymi. Może wtedy przesta-

niesz wygadywać bzdury? No, chyba że jesteś za głupi, żeby zrozumieć – wbiła ostatni sztylet.

Staruszek od dłuższej chwili próbował coś powiedzieć, wietrząc pułapkę, ale jego asystent nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Nigdy jeszcze nie poczuł się tak urażony.

– Gdyby mieli mnie uznać za swojego, musiałbym być równie zły, jak oni! – krzyknął z gniewem.

Duszyczka wyprostowała się, patrząc triumfalnie. Zenobiusz dał się złapać.

– Skoro oni mnie zaakceptowali i bronili, to znaczy, że jestem zła, tak? Brawo! Anioł w Recepcji przyznał głośno i przy świadku, że jego zdaniem jestem równie zła, jak diabeł. Ba, może nawet gorsza. – Zamilkła na chwilę, dając im czas na zrozumienie. – Z tego wynika, że albo zatrudniacie durnia w recepcji, albo wasz system oceniania jest głupi. Odeślijcie mnie do piekła! Oboje z Zenobiuszem będziemy zachwyceni.

Staruszek przez chwilę wodził oczyma pomiędzy nimi, zanim się wreszcie odezwał pojednawczo.

– Nie gniewaj się na Zenobiusza. Nie chciał cię urazić.

– Poślijcie go gdzieś na pogranicze, bo tu władza idzie mu do głowy!

Zenobiusz ponownie zerwał się z miejsca, ale usiadł, gdy poczuł rękę szefa na ramieniu. Duszczyka, widząc w nim słabe ogniwo, nie zamierzała rezygnować.

– Są na świecie czarne charaktery, są i białe, ale większość jest po prostu szara. Szary, to taki kolor. Słyszałeś o nim? – prowokowała w nadziei, że Zenobiusz zaatakuje, co pozwoli jej wdać się w bójkę. Czynne znieważenie anioła mogło dać jej szansę. Stała przed nimi w rozkroku z rękami założonymi z tyłu, jak widywała u komandosów. Wrażenie psuł wąski kokon z prześcieradła, w którym nogi miała prawie tak splecione, jak japońskie arystokratki.

– Nie ruszę się stąd – oznajmiła z całą mocą, ignorując niedostatki swojego stroju.

– Kolejka... – zaczął Zenobiusz obrażonym tonem, ale ucichł pod karcącym spojrzeniem Kierownika Recepcji.

Imponujące, żelazne skrzydło bramy uchyliło się ze skrzypnięciem i weszło przez nie dwóch osiłków w błękitnych aureolach sił porządkowych.

– Nie chcecie chyba... – zaczęła Duszczyka oburzona możliwością stosowania brutalnej przemocy. Patrzyła na policjantów, nie mogąc wykrztusić ani słowa więcej.

– Nie możemy dopuścić do powstania za-

torów. Przykro nam – powiedział Staruszek i miała wrażenie, że był to szczerzy żal. – Mam nadzieję, że szybko poznasz uroki mieszkania w niebie i zaakceptujesz nowe miejsce.

Widząc kierujących się w jej stronę policjantów, Duszczyka porwała z biurka drukarkę. Było to potężne, dość stare urządzenie, które ważyło chyba tonę, ale strach przed przymusowym zamknięciem w niebie dodał dziewczynie sił. Uniosła ją nad głową i z impetem rzuciła w stronę policjantów, którzy w uniku odskoczyli na boki. Dało jej to czas, aby chwycić monitor, ale zdążyła tylko unieść go nad głową, gdy dwóch aniołów dopadło do niej i próbowało go odebrać. W efekcie ich wysiłków z monitora zostały nędzne szczątki i wszyscy troje byli mniej lub bardziej pokaleczeni kawałkami szkła.

Duszczyka puściła w końcu kurczowo trzymaną podstawkę i chciała biec wzdłuż muru w nadziei znalezienia przejścia do czyścica, które gdzieś tu przecież musiało być. Policjanci potężnymi dłońmi chwycili uciekającą dziewczynę za łokcie. Walka z nimi była z góry skazana na przegraną, ale nie uznała tego za wystarczający powód do rezygnacji.

Krzyczała do ochrypnięcia, wyrywała się i wierzgała, policjanci zaś musieli walczyć nie tylko z nią, ale i ze zsuwającym się prześciera-

dłem. Za wszelką cenę starali się utrzymać je na miejscu, żeby uniknąć oskarżeń o molestowanie czy obrazę moralności.

Na tak dziki opór nie byli przygotowani, toteż scena wleczenia Duszczyki do nieba przeciągała się, a co gorsza rozgrywała na oczach ludzi czekających na przydział po wyjściu ze strefy mgły. Wszyscy byli przekonani, że dziewczyna jest odsyłana do piekła i wielu w swojej wyższości uważało, że ma, na co zasłużyła.

Gdy żelazna brama zatrzęsnęła się wreszcie za całą trójką, wiatr przyniósł pełne buntu wołanie:

– Jeszcze pozałujecie!

Mężczyzna, który wszedł za Eskenezerem do sali przesłuchań był niski i przysadzisty. Stał teraz w progu, kołysząc się lekko na pałakowatych nogach. W stosunku do nikłego wzrostu miał stanowczo zbyt dużą głowę i takie zachwianie proporcji nadawało mu wygląd złośliwego trolla. Jakby jeszcze natura nie obeszła się z nim wystarczająco po macoszemu, ospowata twarz i pokryta bliznami łysa czaszka sprawiały wyjątkowo odpychające wrażenie.

Na jego widok oczy Marimar rozszerzyły się na moment, ale nie widać w nich było strachu. Przeciwnie, wydawała się Eskenezerowi dziw-

nie obojętna na to, co miało ją spotkać, a nawet triumfująca. Nie powiedziano jej jaki jest stan postrzelonej przez nią kobiety Azazela, ale po sposobie traktowania domyślała się, że osiągnęła sukces i Duszczyka nie żyje.

Eskenezer najchętniej rozerwałby ją na strzępy własnymi rękami, ale ponieważ kazano mu zatrudnić do przesłuchania śledczych, wezwał najskuteczniejszego, ale jednocześnie powszechnie nielubianego, Krwawego Topora. Za plecami nagminnie nazywano go Zardzewiałą Siekierą, dokładając jednak wszelkich starań, by tego nie usłyszał. Krwawy Topór był inteligentny i przenikliwy, choć kompletnie pozbawiony poczucia humoru. Nigdy niczego nie zapominał, a co gorsza, nigdy nie wybaczał nawet najdrobniejszej urazy. Był psychopatycznym okrutnikiem i nawet Eskenezer, czy okresowo zdradzający podobne skłonności Larden, starali się obchodzić go z daleka.

– Żądam widzenia z Belzebubem! – oświadczyła stanowczo Marimar, widząc ich w drzwiach.

– Oczywiście, masz prawo żądać. A my mamy prawo ci odmówić.

– Zrobiłam to, o co Władcy chodziło od początku! Zabiłam ją! Należy mi się rehabilitacja!
– krzyczała diablica, a głos odbijał się od ce-

głanego sklepienia i zdawał brzęczeć w głowie Eskenezera.

Krwawy Topór stał teraz i patrzył na kobietę lekko zmrużonymi, małymi oczkami. Był es-tetą i niechętnie psuł ładne rzeczy, ale służba, to służba.

– Czego mam się dowiedzieć? – spytał bez-namiętnie, wyjmując zza paska niewielki to-porek z czerwoną rączką i kładąc go na stole. To od tej broni powstało jego przezwisko, choć nikt nigdy nie widział, by go używał i nie wiadomo było, czemu niby to narzędzie miałby służyć. Nie znalazł się jednak śmiałek, który by się poważyl zapytać.

– Chcemy poznać nazwisko jej współnika. Z tego, co wiemy musi być wysoko postawiony. Bardzo wysoko.

– Nic ci nie powiem! – krzyknęła Marimar bez cienia strachu. – Po moim trupie!

– Dojdziemy i do tego – powiedział spokojnie Krwawy Topór, z drażniącą powolnością zakładający czarne, skórzane rękawiczki. Eskenezzer przetań czoło. Niepokój o Duszyckę sprawiał, że robił się nerwowy. Ciekawe kiedy podwładni zauważą, że coś z nim jest nie w porządku. Śled-czy rzucił mu znaczące spojrzenie i szef koman-dosów ze starannie ukrywaną ulgą odwrócił się i poszedł do gabinetu Azazela. Od kilku godzin

próbował bezskutecznie się z nim porozumieć, ale zapewne w szpitalu kazano mu wyłączyć telefon. Eskenezer westchnął i niechętnie wybrał numer Lucyfera. Pewne sprawy wymagały natychmiastowych decyzji.

Lucyfer odebrał telefon dopiero po czwartym dzwonku. Ilość spraw, jaka spadała na niego w związku z nieobecnością Azazela zaczynała go drażnić, choć na zewnątrz nie było tego widać. Jego blade oczy patrzyły na świat ze zwykłą obojętnością.

– Witaj panie, tu Eskenezer. Czy mamy jakieś nowe wieści? – zaczął komandos dość nieprzepisowo, targany niepokojem.

Lucyfer pokręcił głową, choć rozmówca nie mógł go widzieć.

– Na razie nic.

– Dzwonię, bo nie mogę się skontaktować z Azazelem, a pewne sprawy robią się pilne i...

– Masz moje nieograniczone pełnomocnictwa – wszedł mu w słowo Lucyfer, zadowolony, że ma kogoś sensownego, na kogo może zrzucić choć część pracy. – Rób wszystko według własnego uznania.

– Czy Azazel jest teraz w szpitalu? – Eskenezer zaryzykował całkowicie nieregulaminowe pytanie, za które mógł zostać ukarany. Miejsce

pobytu szefa nie powinno go interesować, a jednak nie mógł się powstrzymać.

– Bywa, w przerwach między szaleństwami. Znasz go przecież. – W głosie Lucyfera zdawało się pobrzmiwać rozbawienie.

– Czy mógłbym się do niego przyłączyć? – spytał Eskenezer z nadzieją. Cokolwiek robił jego szef, z pewnością ułatwiało przetrwanie tego przerażającego poczucia klęski.

– W żadnym wypadku! Niebieskim dobrze zrobi, kiedy ktoś im nieco utrze nosa. – Lucyfer przerwał, ale widać było, że jeszcze nie skończył mówić. Fakt, że zniżył się do jakiegokolwiek wyjaśniania motywów swojego rozkazu, był zdumiewający i bez precedensu. Eskenezer zamarł, czekając na dalszy ciąg.

– Na razie nie zamierzamy interweniować. Cokolwiek teraz zrobi Azazel, zrzucimy na karb bólu i żałoby, a o tobie nie moglibyśmy tego powiedzieć. To by nas natychmiast stawiało w gorszej sytuacji, natomiast Azazel ewidentnie jest ofiarą. Wybaczą mu.

Eskenezer miał ochotę krzyknąć: A co ze mną? Ja też jestem pogrążony w bólu i żalobie, ale nie wolno mi tego pokazać! Ja też nie obrażam sobie życia bez tej kobiety, a przecież nie proszę o wiele. Chcę tylko móc ją widywać od czasu do czasu, mieć świadomość, że jest

gdzieś niedaleko, ukłonić się, gdy szczęśliwym zrzędzeniem losu będę mógł ją spotkać. Ona nigdy się nie dowie, bo nie będę burzyć jej spokoju, ale, na Belzebuba, zrobiłbym wszystko, żeby wróciła.

Zamiast tego rzucił suche i służbiste:

– Tak jest! – i rozłączył się. Nawet jeżeli Lucifer był niezadowolony z tak gwałtownie przerwanej rozmowy, w tym stanie ducha Eskenezera nic a nic to nie obeszło.

Stróże porządku z ogromną ulgą przekazali do Biura Imigracyjnego zasapaną i potarganą dziewczynę w wymiętym kokonie z prześcierała. Tam przydzielono jej białą, paradną szatę, aureolę i skrzydła, których przyjęcia odmówiła. Posunęła się nawet do tego, że patrząc na wszystkich prowokacyjnie, połamała je na kolanie i rzuciła na podłogę, twierdząc, że w żadnych uroczystościach udziału brać nie będzie i nikt jej nie zmusi. Niechętnie przyznano jej rację, choć pracujące w Biurze anielice starały się ją zachęcić. Nie spotkały się dotąd z przypadkiem człowieka rozjuszonego koniecznością spędzenia wieczności w niebie i nie rozumiały o co chodzi, a Duszycka zupełnie nie miała ochoty wyjaśniać im czyją jest kochanką. Nagle to słowo wydało jej się obraźliwe, więc milczała

wyniośle.

Anioły zrezygnowały w końcu z prób oswojania nowej lokatorki o tak bardzo negatywnym nastawieniu. Ci sami pechowi policjanci, trzymając ją mocno za łokcie, zaprowadzili Duszczykę do spokojnej dzielnicy miasta. Tu, w dwupiętrowej kamienicy z niewielkim ogródkiem w podwórku, miała przydział małego mieszkania na pierwszym piętrze, ale stanowczo odmówiła przejścia przez drzwi.

– Nie zamierzam tu mieszkać. Dajcie je komuś bardziej potrzebującemu – burknęła ochryple do przedstawicieli aparatu przymusu.

Policjanci wcale nie mieli ochoty siłą wpychać do środka tak bardzo odpornej jednostki. Oddalili się z wielką ulgą, zostawiwszy swoją kłopotliwą podopieczną na schodach. Poinstruowali ją jeszcze, że drzwi otwierają się tylko przed właścicielem, więc o klucz nie musi się martwić. Na tym ich obowiązki się kończyły.

– Jeszcze pożałujecie – powtórzyła Duszczyka, tym razem pod nosem, kiedy ich kroki na schodach umilkły.

Szerokimi schodami zeszła na podwórko, z trzech stron otoczone niskim murem. Były tu trawniki, ładnie przycięte ozdobne krzewy, a nawet śmietnik w rogu za drzewem kasztanowca i trzepak pod murem, na niewielkim pla-

cyku wyłożonym połamanymi i krzywymi kaflami. Był prawie identyczny, jak u niej w domu i Duszycka poczuła przyływ rozpaczliwej tęsknoty. Zamrugła szybko oczami, żeby się nie rozpląkać.

– Dzień dobry – usłyszała cienki głosik za plecami. Odwróciła się gwałtownie. W drzwiach prowadzących do drugiej klatki kamienicy stał jasnowłosy chłopczyk w szarych spodenkach do kolan i koszulce z zielonym smokiem. – Nazywam się Jurek.

– A ja jestem Duszycka. Witaj. – Podeszła do malca i wyciągnęła rękę. Ucisnął ją z powagą.

– Chodź. – Gestem ręki zaprosił ją w stronę trzepaka. – Jesteś tu nowa, co nie?

Pokiwała głową.

– No – mruknęła dla podtrzymania rozmowy.

Chłopiec usiadł na wystającym kaflu przy słupku trzepaka. Duszycka poszła jego śladem, zajmując drugi słupek. Było to coś w rodzaju podwórkowego braterstwa krwi, praktykowanego przez dzieci na całym świecie. Poczucie tęsknoty znów dało o sobie znać. Poczowała nagłą chęć, żeby usiąść na poprzeczce i zrobić kilka fikołków, jak miała zwyczaj w dzieciństwie, ale patrząc na chłopca poczuła się na to za stara.

– Chodzisz gdzieś na spacer, albo na jakiś plac zabaw?

– W niedzielę albo w sobotę.

– A w zwykłe dni?

– Zawsze siedzę tutaj, na podwórku.

– I co robisz? Bawisz się?

Chłopczyk pokręcił głową, patrząc w stronę bramy.

– Czekam na mamę.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem. Ona jeszcze żyje, tam, na Ziemi. Jak umrze, to na pewno od razu przyjdzie do nieba, bo jest taka dobra – mówił urywanym głosem. – Powiedzieli mi przy wejściu, że mogę teraz dorosnąć, ale nie chcę bez niej. Poczekam.

Chłopiec z uwagą obserwował przeciwną stronę ulicy. Duszyczka znów zamrugwała. Przez chwilę miała ochotę pogłaskać malca i dodać mu otuchy, ale wydawało jej się, że by sobie tego nie życzył, więc tylko wpatrywała się w nieco zardzewiały trzepak.

– Nie mieszkasz chyba sam?

– Nie. Dostałem rodzinę zastępczą. Są dla mnie dobrzy i bardzo się starają, ale tęsknię do mamy. – Wydawał się zawstydzony swoją słabością.

– To zrozumiałe – stwierdziła energicznie Duszyczka. – Ja też tęsknię do mamy. Może

gdybym ją miała, nie wpakowałabym się aż tak i nie musiałabym teraz tkwić w tym bagnie. Chociaż... – machnęła ręką, jakby mocno to wątpiła.

– W jakim bagnie? – zaciekawił się wreszcie, zwracając twarz w jej stronę.

– W niebie. – Duszyczka niecierpliwie odgarnęła wpadające jej do oczu włosy. – Rozdzielili mnie z kimś, kogo kocham.

– To tak, jak mnie. Poczekaj spokojnie – poradził z pogodnym uśmiechem. – Przyjdzie tu później.

– Nie przyjdzie tu nigdy – stwierdziła ponuro. – Nie wpuszczą go. Muszę stąd uciec, żeby go odnaleźć. Znasz może Dezyderiusza Szlajacza?

Chłopiec pokręcił głową.

– A Grafa von Holzengolzen, albo Czepulię Gzysmik? Mieszkają w tej samej kamienicy, tam w centrum – ciągnęła bez większej nadziei, wskazując palcem nieodpowiedni kierunek.

– Nie znam prawie nikogo, bo jestem tu od niedawna. Na naszym podwórku nie ma innych dzieci, a mama nie pozwala mi chodzić nigdzie dalej... Jesteś smutna – dorzucił po chwili milczenia z typową dla dzieci szczerością.

Duszyczka skinęła głową, ale nie chciała się wdawać w wyjaśnienia. Zwiesiła głowę i zamy-

śliła się ponuro. Odrzucała kolejne wizje akcji odwetowych, jako niemożliwe do wykonania bez wsparcia z zewnątrz. Nie będzie przecież w stanie wysadzić niczego w powietrze, ani ostrzelać, nie zamierzała też robić czegoś tak drastycznego jak samospalenie, dopóki nie wyczerpie innych środków, ale może chociaż da radę oflagować się w proteście, albo...

– Ależ tak! – zawołała, prostując się gwałtownie.

Podniosła głowę i napotkała uważny wzrok chłopca.

– Gdybyś mógł mi pomóc – zaczęła, patrząc na dziecko z pewnym powątpiewaniem. Nie chciała go wciągać w problemy dorosłych, ale może choć powie jej gdzie są sklepy, albo jego matka doradzi jej, gdzie można by zarobić jedną dniówkę, nawet na zamiętaniu ulic.

– No pewnie, że pomogę. Mamie też zawsze pomagam. Tu nic ciekawego się nie dzieje. Co będziemy robić?

– Akcję protestacyjną.

Chłopiec patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, najwyraźniej nie rozumiejąc.

– Będiesz moim doradcą logistycznym, to znaczy powiesz mi skąd można wziąć, powiedzmy... młotek i gwoździe, może też nożyczki.

Zanim zdołała go powstrzymać, chłopczyk

zerwał się i popędził do domu.

– Zaraz przyniosę! – krzyknął przez ramię.

– A może jeszcze znajdziesz jakiś patyk i kawałek dykty? – zawołała za nim i dodała pod nosem: – Prześcieradło już mam.

Zakładała właśnie przez głowę swoją nową, powłóczystą szatę, żeby zdjąć spowijające ją nadal, lekko naddarte prześcieradło, gdy spomiędzy fałd wypadła na ziemię srebrna aureolka i potoczyła się aż pod śmietniki. Duszczyka nie była pewna, czy takie akcesoria nie są w niebie niezbędne, więc niechętnie poszła w róg podwórka, żeby ją odzyskać. Aureolka leżała tuż przy pergoli, a wewnątrz stało pod ścianą pudło po ogromnym telewizorze plazmowym. Dziewczyna uśmiechnęła się po raz pierwszy tego poranka, bo jak się okazało, los mimo wszystko nie był jej tak bardzo przeciwny. Teraz miała swoją broń.

– Witaj Gabrielu. – Mefistofeles podniósł się z lekkiego, białego krzeselka w kawiarnianym ogródku. Wokół stały donice z kwiatami, po pasażu spacerowali turyści, a miła, uśmiechnięta kelnerka właśnie postawiła przed nim filiżankę kawy, czarnej jak piekło. Jej uprzejmość mogła jednak być podyktowana banknotem o absurdalnie wysokim nominale, jaki diabeł wsunął jej

w dłoń, gdy wiedziona instynktem, zaprowadziła go do najlepszego stolika. Gabriel skinął mu głową na powitanie. Bardzo niechętnie zgodził się na spotkanie i zrobił to wyłącznie na skutek natarczywych nalegań Mefista. Wielowiekowe doświadczenie uczyło, że z rozmów z diabłami nic dobrego nie wynika, bał się jednak, że tym razem z odmowy może wyniknąć coś jeszcze gorszego.

– Usiądź, proszę. Dziękuję, że poświęcasz mi czas. – Mefisto z szacunkiem stał, wskazując gościowi krzeselko po drugiej stronie kawiarnianego stolika. – Pozwoliłem sobie zamówić dla ciebie kawę. – Przesunął filizankę w stronę archanioła.

Gabriel ledwo umoczył usta. Wydawał się zniecierpliwiony i pełen podejrzliwości dla uprzedzającej grzeczności Mefistofelesa. Diabeł uśmiechnął się, wypijając swoją kawę jednym haustem. Gorący płyn spływał w dół, przyjemnie parząc gardło. Przyglądał się swojemu gościowi, a jednym palcem powoli obracał na spodku pustą filizankę.

– Wiesz, dlaczego poprosiłem cię o spotkanie?

– Mogę się domyślać, że ma to jakiś związek z Duszczyką – mruknął anioł kwaśno.

– Jak zawsze jesteś przenikliwy.

– Powiedz od razu o co ci chodzi. Jeżeli chcesz się z nią zobaczyć, to wypełnij wniosek o widzenie i czekaj na decyzję. – Celowo odzywał się suchym głosem, pragnąc rozdrażnić diabła i pokazać kto tu rządzi. Miał jednak niemiłe wrażenie, że jego intencje zostały przejrzone na wylot.

– Ach Gabrielu, nie myślałem, że będziesz małostkowy. – Ruchem ręki diabeł uciszył protest archanioła. – Coś musi cię bardzo boleć, skoro twoje powszechnie znane dobre serce nie może dojść do głosu.

Gabriel poczerwieniał aż po korzonki jasnych włosów, ale nie zamierzał wdawać się w szermierki słowne, które były z góry skazane na niepowodzenie. Zawsze przegrywał z Mefistem. Jak wszyscy.

– Mam nadzieję, że ktoś od was wpłynie wreszcie na Azazela – zmienił temat, a choć wiedział, że udało mu się to na krótko, dawało jednak złudne poczucie kontrolowania przebiegu rozmowy. – Wyrywa albo rozbija na kawałki kolejne bramy prowadzące na nasz teren i musimy wszędzie stawiać wartowników do pilnowania wejść.

– A co, boicie się ucieczek z waszej krainy powszechnej szczęśliwości?

Gabriel milczał, bohatersko ignorując za-

czepkę, choć uwaga diabła bardzo go ubodła.

– Dlaczego sam z nim nie porozmawiasz, żeby przestał? Przecież to twój najlepszy przyjaciel i to chyba jedyny, o ile dobrze wiem? Wyjaśnij mu.

– Próbowałem. – Archanioł ze smutkiem potarł czoło wierzchem dłoni. – Rozeźlił się bardzo i nawet nie chciał mnie słuchać. Jest rozgoryczony i wściekły. Poza tym naprawy kosztują majątek i chłopcy z Sekretariatu zamierzają posłać faktury do księgowego Belzebuba – ciągnął z urazą.

– Przyślij je do mnie. To nie są kwoty, które by miały znaczenie – rzucił lekko Mefisto, wyciągając z kieszeni wizytówkę i podając ją przez stół.

Gabriel poczuł, że znów coś przegrał i gdzieś w głębi zaczął mu się rodzić grzeszny gniew.

– Chciałem ci zaproponować pewną wymianę – zaczął zadowolony siebie Mefisto, widząc reakcję anioła. – Oddajcie nam tę kobietę.

Pozbawiony wszelkich wyższych uczuć diabeł zdawał się być teraz uosobieniem troski. Mówił dobrotliwym głosem, uśmiechając się nieznacznie i pochylając w stronę rozmówcy, ale Gabriel nie dał się na to nabrać. Wiedział, że pod tą aksamitną powierzchownością kryje się wnętrze z hartowanej stali.

– Nie wchodzimy w żadne frymarczenie – oburzył się.

– Oj, od razu takie duże słowo. Oddacie nam tę kobietę, a my ze swojej strony pozwolimy na kilka cudów. Jakiś rozbitek zostanie uratowany z tonącego statku, ktoś wbrew logice przetrwa katastrofę lotniczą, ktoś przeżyje kilka dni w ruinach po trzęsieniu ziemi. Jesteśmy skłonni dać wam aż dziesięć szczęśliwych osób, do których w normalnym toku mielibyśmy prawo. – Przerwał, nadal obracając filiżankę, wydającą niemiły, zgrzytliwy odgłos. Czekał na wybuch ze strony Gabriela i niewiele się pomylił.

– Nawet o tym nie myśl! Przyszła w terminie, jest nasza i żadne sztuczne podtrzymywanie jej przy życiu nic wam nie da! Może tam sobie leżeć pod respiratorem nawet sto lat!

Mefisto zacmokał z dezaprobatą i pokręcił głową, patrząc na rozmówcę z ukosa.

– Nie myślałem, że jest we mnie więcej miłosierdzia, niż w tobie – ciągnął z uśmiechem. – No, no, nie oburzaj się aż tak. Po pierwsze udało mi się ciebie rozgniewać, a gniew jest jednym z...

– Nie musisz mnie pouczać – sapnął Gabriel, za wszelką cenę próbując się opanować. Nie wiedzieć czemu, Mefistofeles, ze swoim drwiącym spojrzeniem i cynicznym stosunkiem

do świata, zawsze wyzwalał w nim najgorsze cechy. – Obawiam się jednak, że nic z tego. Ta kobieta jest zadowolona ze swojego losu... choć może jeszcze o tym nie wie – dorzucił, starając się zachować uczciwość.

– Z pewnością masz rację. Niewątpliwie początkowo nie wiedziała, skoro przez bramę musiało ją wciągać dwóch osiłków ze służby porządkowej i, jak nam doniesiono, mieli z nią pełne ręce roboty – zadrwił diabeł.

Gabriel patrzył z urazą na twarzy. Zdecydowanie wolałby, żeby wywiad piekielnych nie był taki sprawny.

– W niebie wszyscy są szczęśliwi. Z definicji.

– Chciałbym wam złożyć pewną propozycję, ale jest ostatnia, więc dobrze się zastanówcie, zanim ją odrzucicie. Przejdź się teraz do nieba i sprawdź jak dalece ta kobieta jest zadowolona. Jeśli jest szczęśliwa, odstępimy od naszych roszczeń, jeżeli nie, dodamy wam jeszcze dwóch cudem ocalonych. Razem będzie dwunastu. Masz sto dwadzieścia minut, potem nasza propozycja będzie skromniejsza o jednego ocalonego i tak co dwie godziny. Za dwadzieścia cztery godziny nic z niej nie zostanie. Za... – Mefisto spojrział na zegarek na przegubie dłoni – mniej więcej za dwadzieścia cztery godziny, jak twierdzą lekarze, sprawa będzie nieodwracalna, a wtedy

nawet my nie będziemy się starali powstrzymać Azazela. Ba, niektórzy z nas nawet pójdą go wspomóc działaniach, jakiegokolwiek by nie były. Lubimy tę dziewczynę.

Niewypowiedziana na głos groźba wojny zawisła w powietrzu.

– Dlaczego mi to proponujesz? – Nagle motywy diabła wydały się Gabrielowi kluczowe dla całej sprawy.

Mefisto wzruszył ramionami i ku uldze archanioła zostawił wreszcie w spokoju zgrzytającą po spodku filizankę, który to dźwięk rozpraszając go i doprowadzał do szału. Nie odzywając się, diabeł wyjął z kieszeni papierośnicę, powoli i z namysłem wybrał papierosa i zapalił. Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. Wyglądał w istocie diabolicznie i Gabriel zdawał sobie sprawę, że wszystko to ma na celu onieśmienie go.

– Bo jesteś przyjacielem Azazela – powiedział w końcu Mefistofeles. – No, przynajmniej tak ci się wydaje.

– Jestem! – oburzył się Gabriel.

Mefisto pokręcił głową i obojętnie zadał ostatni cios.

– Gdybyś naprawdę był, ona nigdy by do was nie trafiła. Nie dopuściłbyś do tego, żeby unieszczęśliwić najlepszego przyjaciela i kobietę, któ-

raż kocha. Uważam, że jesteś o niego zazdrosny!

Oburzony Gabriel zerwał się z miejsca i wypadł z kawiarenki. Uśmiechając się pod nosem Mefisto skinął na kelnerkę, prosząc o kolejną szatańską kawę. Teraz pozostawało im tylko czekać na ruch niebieskich. Zastanawiał się co robi Duszycka, o której nie miał chwilowo żadnych informacji.

W samo południe Gabriel stanął przed pałacem Najwyższej Hierarchii i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Szukał Duszycki w jej mieszkaniu, ale nikt mu nie otworzył, a bawiący się na podwórku chłopiec powiedział, że już jakiś czas temu gdzieś poszła i że słyszał jak pytała ludzi na ulicy któreś do pałacu. Przybiegł tu, wiedziony złym przeczuciem i nie pomylił się.

Na chodniku przed wysoką bramą z kutyh, żelaznych prętów o fantazyjnych kształtach zamykającą główny wjazd do pałacu, stała samotna mała figurka w białej, powłóczystej szacie anioła. Gabrielowi ścisnęło się serce na jej widok, ale trwało to tylko przez moment, póki nie zobaczył co dziewczyna trzyma w rękach. Na wysokim kijku prezentowała światu wielki transparent z czegoś co wyglądało jak obrus czy prześcieradło naciągnięte na dyktę, z krzywym, odręcznym napisem: „NIEBO JEST

PIEKŁEM”. Z boku połyskiwała przyczepiona drutem aureolka. Archanioł poczuł, że zdenerwowanie ściska go w żołądku. Podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. Dziewczyna stała bez ruchu, z martwą twarzą i zamkniętymi oczami, obojętna na mijających ją bez słowa przechodniów, którzy nie poświęcali jej uwagi, ledwo rzucając wzrokiem na trzymany przez nią napis. Pomimo pozornie biernej postawy była w niej jakaś determinacja, która nadawała jej siłę. Prędzej czy później, ktoś się tym protestem zainteresuje, a jeżeli sprawy wymkną się spod kontroli...

Gabriel zawrócił i bocznym wejściem wślizgnął się do pałacu. Decyzja, o jaką go proszono zdecydowanie wykraczała poza jego kompetencje. Mógł tylko iść do Sekretariatu i przedłożyć swoją prośbę, ewentualnie zwołać radę archaniołów, co byłoby ostatecznością.

Informowanie o targach z piekielnymi tylko pogorszyłoby sprawę, gdyby dyżurnym Sekretarzem był tego dnia ktoś rygorystycznie fundamentalny. Wiedział, że kobieta Azazela potrafi być zdolna do wszystkiego, jednak naiwnie myślał, że nie rozciąga się to także na niebo. Jej protesty bardzo go zaskoczyły. Nie przypominał sobie, by w historii świata choć jedna osoba pałała taką niechęcią do miejsca, jak sądził, wszelakiej szczęśliwości. Zostało mu już tylko

czterdzieści pięć minut z wyznaczonych przez Mefista pierwszych dwóch godzin i nie wątpił, że piekielni będą się ściśle trzymać wyznaczonego limitu czasu. Pierwszego człowieka już prawie stracił i czuł się z tym źle.

Głęboko westchnął, żeby uspokoić oddech, otarł dłonie o spodnie i z pozornym spokojem otworzył drzwi do Głównego Sekretariatu.

Jego sumienie wybrało sobie ten właśnie moment, żeby solidnie się zamachnąć i z impetem wbić mu nóż w plecy. Gabriel zatrzymał się i gwałtownie wciągnął powietrze. Niemal depczący mu po piętach archanioł Uriel nie zdążył się zatrzymać i wpadł na niego.

– Wybacz – uśmiechnął się przeprasząco.
– Co cię tak wryło?

– Nie, nie, ja tylko... – mamrotał Gabriel, czując, jak jego rozdrażnione sumienie sięga po drugi nóż. – Coś sobie przypomniałem. Przepraszam.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł korytarzem w stronę wyjścia.

Nie przejmując się obecnością aniołów ze służb porządkowych, pilnujących niewielkiej, zapomnianej furtki, Azazel podbiegł do muru, z rozmachem uderzył weń pięścią. Gołymi dłońmi wyrywał obluzowane tym cegły, rzucając je

za siebie. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, solidna wyrwa zmieściłaby już człowieka.

Z okrzykami protestu porządkowi biegli, żeby zagrozić mu drogę, ale diabła już przy murze nie było. Pozostał po nim wibrujący w powietrzu krzyk i niewielki wir kurzu w miejscu, w którym zniknął.

Belzebub siedział przed kominkiem w gabinecie swojego piekielnego pałacu i patrzył w ogień. Z jakiejś nie do końca uświadamianej przyczyny od tysięcy lat nigdy go to nie znudziło. Szron na ścianach połyskiwał blaskiem odbitym od ognia i czerwonym światłem iskier strzelających w ciemne niebo z widocznego za olbrzymim oknem wulkanu.

Drzwi otworzyły się bez pukania, co znaczyło, że gość może być tylko jeden: Lucyfer, który zawsze i wszędzie uważał, że jest u siebie. Belzebub westchnął, skrywając irytację i podniósł się, żeby go powitać.

– Miło cię widzieć, Lucyferze – skłamał i uścisnął podaną sobie dłoń. – Usiądź, zaraz dam ci coś do picia.

Lucyfer usiadł sztywno na fotelu przed kominkiem, nie odzywając się ani słowem. Zdaniem Belzebuba świadczyło to niezadowoleniu czy wręcz irytacji, choć twarz diabła pozosta-

wała jak zawsze bez wyrazu. Obojętnie przyjął kieliszek najlepszego koniaku Mefista z czarną nalepką podanego mu przez gospodarza i ledwo zanurzył w nim usta.

– Zaprosiłem cię, bo chciałem uzgodnić stanowiska w sprawie Azazela. Niebiescy monitują nas od kilku godzin i będę musiał się ustosunkować.

– Na razie go poprzemy – Lucyfer popatrzył znad krawędzi kieliszka i uśmiechnął się nieznacznie widząc zaskoczoną minę Władcy. – A jeżeli zabiorą mu tę kobietę na zawsze, kto wie, może niektórzy, nazwijmy to renegaci – tu mrugnął jednym okiem – przyłączą się do niego. Może będzie ich wielu?

– Czy uważasz, że to rozważne?

– Niebiescy muszą się nauczyć elastyczności. Czasy pryncypialnych fundamentalistów minęły.

– Otwarta wojna nie bardzo nam się uśmiecha. Chyba żeby... – Władca urwał na chwilę.

– Chyba żebyśmy zagrali *va banque* i udawali, że jesteśmy na to gotowi. Kto wie, co da się ugrać na amorach Duszyczki i Azazela. Tak czy inaczej... – zaczął Lucyfer, ale przerwał, jakby wiedziony nową myślą. Władca popatrzył na niego podejrzliwie. Jego gość dopił koniak jednym haustem, skinął głową w podziękowaniu

i wyszedł, jak to miał w zwyczaju, bez pożegnania.

Belzebub wrócił do patrzenia w ogień na kominku, ale teraz nie mógł się skupić na tej przyjemnej czynności.

Duszyczka pozostawała nieświadoma faktu, że może być przyczyną wojny, jak piękna Helena, o czym nigdy nawet nie pomyślała i z czego zapewne nie byłaby zadowolona. Stała obok pałacowej bramy wjazdowej z kutego żelaza, oświetlonej przedpołudniowym słońcem. Wymyślne kształty prętów rzucały zawile cienie na marmurowe płyty chodnika. Wodziła po nich wzrokiem, jakby chciała się każdej krzywizny nauczyć na pamięć. Stała tu już od kilku godzin i zamierzała zostać na wieki, jeśli zajdzie taka potrzeba, a nawet do końca świata. Starając się zabić czas i nie myśleć o swoim nieszczęściu, co jakiś czas zamykała powieki, próbując odtworzyć w myślach kręte kształty. Gdy kolejny raz otworzyła oczy, zobaczyła, że cienie przesuwają się po płytach. Bezszelestnie otwierano bramę.

Podniosła głowę, napotykając obojętny wzrok kierowcy wyjeżdżającej na ulicę limuzyny. Najwidoczniej nie wzbudziła jego zainteresowania, skoro patrzył teraz prosto przed siebie. Przez przyciemnione szyby nie mogła dostrzec

pasażera, a nawet nie wiedziała, czy ktokolwiek jest w aucie, ale na wszelki wypadek machnęła transparentem i krzyknęła:

– Wypuście mnie stąd!

Samochód minął ją i płynnie włączył się do ruchu.

– A żebyś tak złapał gumę – powiedziała mściwie, choć anioły w limuzynie nie mogły jej usłyszeć.

Długo patrzyła za samochodem, gdy od strony bramy usłyszała czyjeś chrząknięcie. Przez uchylone skrzydło przechodził właśnie Gabriel i kierował się w jej stronę. Duszyczka poczuła przypływ szaleńczej nadziei i jednym skokiem znalazła się obok archanioła, kiedy jednak spojrzała w jego twarz, zrozumiała, że jej radość była zdecydowanie przedwczesna. Zacisnęła usta.

– Dzień dobry, Duszyczko – zaczął Gabriel, trochę niepewnie.

– Nie jest dobry. Witaj. Widzę, że już wiesz, co się stało – patrzyła na niego wilkiem, jakby był jej wrogiem, a nie przyjacielem. W końcu stał teraz po przeciwnej stronie barykady. – Pomóż mi wrócić do Azazela.

– Przykro mi. Nie mam takich uprawnień. Zjawiłaś się o właściwej porze i osądzono cię uczciwie. Należy ci się pobyt w niebie bez wcześniejszego odpracowania czyśca.

– Nie chcę tu być! Jeżeli należy mi się nagroda za dobre sprawowanie, odeślijcie mnie tam, skąd przyszedłam. Albo do piekła – dorzuciła, widząc, że Gabriel podnosi dłoń w proteście. – To nie jest moje niebo.

– Nie możemy tego zrobić – powiedział cicho, nie patrząc jej w oczy. Czuł, że lada chwila sumienie przyniesie sobie piłę łańcuchową.

Stali przed pałacem Najwyższej Hierarchii w pełnym blasku słońca. Ludzie mijali ich, patrząc na złotowłosego archanioła ze lśniąca aureolą, bo nieczęsto mieli okazję go oglądać, ale nikt nie zwracał uwagi na dziewczynę z transparentem. W końcu każdy w niebie ma prawo spędzać wolny czas, jak ma ochotę i może sobie paradować z czym tam chce.

– Czy zdarzyło ci się kochać kobietę? – spytała nagle Duszczyka, podnosząc wzrok na piękną twarz archanioła.

– Oczywiście. Kocham wszystkich – zapewnił Gabriel żarliwie. Zbyt żarliwie.

Duszczyka zbyła to machnięciem ręki.

– Jeżeli kochasz wszystkich, to tak naprawdę nikogo. Mylisz kochanie z prostą życzliwością. Miłość jest wtedy, gdy rozum ciągnie cię za rękaw, żeby zwrócić twoją uwagę, potem próbuje coś powiedzieć, a wreszcie odchodzi, powłócząc nogami. Mój odszedł dawno temu, w wąwozie

przed jaskinią Dezyderiusza, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Azazela. A twój?

Gabriel milczał. Nadal miał rozum na swoim miejscu, ale teraz nie był już pewny, czy to dobrze. Spojrzał na twarz kobiety swojego przyjaciela i poczuł, jak sumienie powoli obraca nóż, który tkwił mu w plecach.

Bardzo chciał ją przekonać, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z beznadziejności tych wysiłków.

– Proszę cię, wróć do domu – powiedział bezradnie.

– Zdefiniuj dom.

– Tak bardzo go kochasz?

Duszczyka bez słowa patrzyła przed siebie. Po drugiej stronie szerokiej alei jakaś kobieta w średnim wieku w sukience w papuzich kolorach przyglądała się im z uwagą.

– Nie, nie mów tego mnie – powiedział Gabriel, widząc, że dziewczyna otwiera usta, żeby coś powiedzieć. – Odpowiedz sobie.

Duszczyka odetchnęła głęboko. Miłość miłością, ale musiała przyznać przed sobą, że tak naprawdę pchało ją teraz to samo szaleństwo, które kiedyś postawiło ją twarzą w twarz z Belzebubem w jego gabinecie. Odwróciła się w stronę archanioła i podniosła głowę.

– Pomóż mi. Jeżeli dalej wszyscy będą mnie

traktować jak element krajobrazu, to zaczę podpalać stacje benzynowe, a potem będzie już tylko gorzej. Nie zostanę tutaj!

Gabriel zdał sobie sprawę, że Duszczyka jest zrozpaczona, a w takim stanie kto wie co będzie mogła zrobić. Pod pewnymi względami robiła się podobna do jego najlepszego przyjaciela, Azazela. A może zawsze taka była, tylko on za słabo ją znał? Zrobił krok do przodu, objął dziewczynę ramionami i serdecznie przytulił. Czuł jej ciepły oddech, a kij, na którym zamocowała transparent, wrzynał mu się w ciało.

– Dobrze – powiedział w końcu, a sumienie wreszcie przestało obracać nożem. – Nie mam na tyle władzy, żeby samemu cię wypuścić, ale zwołam Radę. Nie mieliśmy dotychczas takiego przypadku, więc nie wiem, co zdecydują. Wstawię się za tobą.

– A On? Ruchem brody wskazała pałac.

– Myślisz o Najwyższej Hierarchii? On może decydować o wszystkim, ale jest zbyt zajęty na takie jednostkowe sprawy – powiedział surowo, wypuszczając dziewczynę z objęć. Sumienie zaczęło tuż za nim swój upiorny taniec z szablami.

– Przecież cię lubię – rzucił jakoś bez związku.

– Nie będę cię dłużej zatrzymywać, Gabrielu, bo wiem, że twój czas jest cenny. Poczekam tutaj – powiedziała spokojnie Duszczyka. Nie

chciała patrzeć Gabrielowi w oczy, więc zajęła się obserwacją kobiety w średnim wieku, która nic sobie nie robiąc z pędzącymi samochodami, przechodziła przez jezdnię w ich kierunku.

Archanioł z przykrością poczuł, że został odprawiony. Skinął głową na pożegnanie i ruszył w stronę uchylonej bramy.

– Przecież nie jestem zazdrosny. Wcale – powiedział do siebie.

Duszczyka obserwowała kobietę, która teraz stała na zadrzewionym pasie zieleni rozdzielającym szerokie jezdnie. Nieznajoma odwzajemniła spojrzenie i niewiele myśląc weszła pomiędzy samochody. Rozległ się pisk hamulców, ale do uszu Duszczyki nie dobiegły żadne typowe dla ziemskich miast trąbienie i przekleństwa. Kierowcy spokojnie hamowali i omijali niesforną pieszą. Duszczyka patrzyła na niebiańska wersję przechodzenia przez ruchliwą ulicę w miejscu niedozwolonym i nie wiedziała, czy cieszyć się, że kobieta przeżyła ten survival bez szwanku, czy raczej popukać się w głowę.

Kobieta majestatycznie wkroczyła na chodnik i nie zaszczyciwszy samochodów ani jednym spojrzeniem, zmierzała w stronę Duszczyki.

– Dzień dobry – zaczęła. W jej głosie słychać było nie tylko zainteresowanie. Gdzieś

pod spodem pobrzmiwało zwykle wścibstwo. W normalnych warunkach Duszczyka unikała takich ludzi jak ognia, ale dziś była szczęśliwa, że wreszcie ktoś zwrócił uwagę na jej protest. Fakt, że nie był to żaden funkcyjny anioł wyższego szczebla był bez znaczenia. Od czegoś przecież trzeba zacząć.

– „Niebo jest piekłem” – przeczytała kobieta na głos i jej nieme pytanie zawisło pomiędzy nimi.

– To długa historia – stwierdziła Duszczyka, nie będąc pewna czy ktokolwiek ma chęć tego słuchać, ale na wszelki wypadek przedstawiła się grzecznie.

Kobieta pokiwała głową. Świetnie rozumiała, że historia warta protestów przed pałacem Najwyższej Hierarchii nie może być krótka i prosta.

Godzinę później знаła już ogólny zarys smutnej opowieści, od chwili, gdy kilka lat wcześniej Duszczyka szła ulicą w żółtej sukience, a z przeciwka zbliżał się Azazel, po czynny opór dziewczyny przy wejściu do nieba. Westchnęła głęboko. Jej nikt aż tak nie kochał. Miała przygnębiające wrażenie, że w ogóle nikt jej nie kochał i przez chwilę poczuła nawet ukłucie zazdrości. Przyjrzała się Duszczyce i pokręciła głową, aż nieco histeryczne loczki po trwałej zakołysały się jej na głowie.

– Nie! Tak tego nie zostawimy. Lubię szczęśliwe zakończenia – powiedziała z całą mocą i wyciągnęła rękę, którą Duszczyka skwapliwie uścisnęła. – Nazywam się Jadwiga. Na Ziemi pracowałam w opiece społecznej, ale tu, no cóż, nie mam się kim opiekować i chyba nigdy nie będę miała. Mam nadzieję, że mój, pozał się boże, mąż tu nie trafi, a dzieci nie mieliśmy.

Urwała gwałtownie, odwróciła się na pięcie i rozejrzała po przechodniach. Podeszła do idącego obok mężczyzny w dobrze skrojonym garniturze i bezceremonialnie złapała go za rękaw. Nie chcąc ryzykować uszczerbku w garderobie, mężczyzna niechętnie się zatrzymał.

– Czytał pan? – spytała, wskazując palcem na transparent Duszczyki.

Mężczyzna o wyglądzie biznesmena ponownie rzucił okiem, jakby chciał się upewnić, że widział i kiwnął głową.

– Ta dziewczyna została rozdzielona z ukochanym i chce, żeby odesłano ją tam, gdzie i jego. Miłość musi zwyciężyć! Przyłączy się pan do naszego protestu?

Biznesmen stanowczym ruchem uwolnił się z uchwytu i ominął stojącą przed nim kobietę.

– Przepraszam, nie interesuje mnie to – rzucił przez ramię.

Nie zrażona odmową Jadwiga podbiegła do

przechodzącej tęgiej blondyny, która wykonała zręczny unik i pospiesznie odeszła. Przez kilka minut nikt nie chciał się zatrzymać i wszyscy zachowywali się, jakby zaczepiająca ich tęgawa jejmość była przezroczysta. Jednak zaprawiona w bojach ziemskiego życia Jadwiga nie należała do osób, które łatwo jest zbyć, gdy do czegoś dążą. Zapowiadał jej się pracowity dzień.

Młoda brunetka z końskim ogonem przewiązanym różową wstążką zatrzymała się sama. Przechyliła z uwagą głowę, obejrzała transparent i zagadującą ludzi Jadwigę, próbując domyślić się o co chodzi. Była z natury szalenie romantyczna, kiedy więc wysłuchiwała historii piekielnej miłości, z rumieńcami na twarzy ruszyła zaczepiać przechodniów. Musiała przecież coś zrobić w takiej sprawie. Wobec zmasowanego ataku dwóch przejętych rolą kobiet nikt nie mógł się prześlizgnąć niezauważony.

Uwagę Duszczycki zwróciła zasuszonej starszeczki z metalową laską, która drobnymi kroczkami podeszła do protestujących. Kazała sobie trzy razy powtarzać o co chodzi, ale miało się wrażenie, że świetnie słyszała za pierwszym razem, tylko rozmowa z ludźmi sprawiała jej frajdę. Podeszła do bramy, zdecydowanym ruchem uniosła laskę i załomotała o prety. Z budki po drugiej stronie wyskoczyło dwóch strażni-

ków w niebieskich aureolach sił porządkowych. Babcia opuściła laskę i uśmiechała się cały czas, przykładając dłoń do ucha i przechylając głowę. Strażnicy kilka razy tłumaczyli jej, że tak nie można robić, a za ostatnim razem słyszały to chyba dwie sąsiednie ulice.

Gdy tylko zniknęli we wnętrzu budki, babcia podeszła do boku bramy, oparła laskę o pręty i dziarskim krokiem przemaszerowała w poprzek wjazdu. Metaliczny dźwięk obijanych prętów poderwałby umarłego, ale kiedy strażnicy znów wyskoczyli z budki, babcia błyskawicznym ruchem odwróciła się od nich, wsparła na lasce i z miną niewiniątka puściła oko do protestujących. Duszyczka parsknęła śmiechem i wreszcie jej świat zaczął nabierać nieco kolorów.

Po czwartej próbie strażnicy przestali wychodzić z budki i na skutek braku zainteresowania babcia z widocznym żalem zostawiła bramę w spokoju.

Kiedy nad aleją zapadał zmrok i zapaliły się latarnie, zalewające ulicę złocistym blaskiem, na skuterze podjechał mężczyzna w skórzanym stroju. Zdjął kask, upodabniający go do gigantycznego owada, albo „obcego” z filmu science fiction. Długie włosy miał związane w kucyk, a na szyi aparat fotograficzny. Podszedł do protestujących, którzy zajmowali już całą sze-

rokość chodnika i zaczął pytać, a oczy zapalały mu się coraz bardziej. Zapisał coś w notesie, zrobił kilka zdjęć i pośpiesznie odjechał. W niebiańskim świecie, w którym skandale nie miały racji bytu, nareszcie natrafił na coś smakowitego i spieszył się do redakcji, żeby wyprzedzić konkurencję. Godzinę później, jeszcze w środku nocy, zdjęcia z manifestacji pojawiły się na pierwszych egzemplarzach schodzącego z maszyn drukarskich plotkarskiego tabloidu, pogardzanego przez władze, a uwielbianego przez zwykłe anieliczki. Na pierwszej stronie widniała smutna dziewczyna z transparentem. Rankiem brukowiec miał trafić do kiosków.

Ziemskie marzenie Duszycki, by znaleźć się na okładkach pism, ziściło się wreszcie, choć niezupełnie tak, jakby sobie życzyła.

Gabriel stał pośrodku Zewnętrznego Sekretariatu próbując ukryć niezadowolenie. Pomieszczenie było wysokie i ogromne, z balkonowymi oknami, wychodzącymi na północ. Nie było stąd widać głównej bramy wjazdowej i nikt jeszcze nie przewidywał, co tam może wyczyniać Duszycka. Prawdę mówiąc Gabriel też nie przewidywał i ta niepewność bardzo go martwiła. W sekretariacie wokół stłoczonych szaf i biurerek uwijało się wiele zaaferowanych aniołów.

Słysząc było popiskiwanie faksów, klekot klawiszy, szum drukarek i stukanie pieczętek, nad które wybijały się dzwonki telefonów. Gońcy przynosili pliki papierów, krążąc po sali. Pachniało biurem, który to zapach zawsze drażnił Gabriela. Co jakiś czas otwierały się drzwi, prowadzące do Wewnętrznego Sekretariatu i pozabawione od tej strony klamki. Stawał w nich ktoś naprawdę ważny i podawał lub odbierał dokumenty.

Na podwyższeniu, starając się ogarnąć pozorny chaos tej gorączkowej działalności siedział dyżurny Sekretarz, Faris. Rozmawiał przez dwa telefony, pisząc maila i odbierając faks. To właśnie jego osoba wywołała największe niezadowolenie Gabriela. Był jęczycyduszą, święcie przekonaną, że tylko on jeden uczciwie pracuje, a reszta niebiańskich obiboków przerzuca na niego swoje obowiązki. Konieczność zrobienia czegokolwiek ponad wymagane minimum uważał za zamach na swoją osobę. U Gabriela wywoływał zazwyczaj reakcję alergiczną.

Archanioł starał się przybrać uprzejmy wyraz twarzy, co przyszło mu z pewnym trudem i podszedł do Farisa.

– Witaj – uśmiechnął się z przymusem, ale Sekretarz ledwo rzucił na niego okiem i kiwnął głową. Normalnie stał w hierarchii o wiele niżej

od Gabriela, ale jako dzisiejszy dyżurny dysponował dużą władzą. Ponadto był faktycznie zapracowany, bo dzień mu się trafił ciężki i niechętnie myślał jakie też nowe zajęcie znajdzie mu ten archanioł.

– Chcę prosić o zwołanie rady archaniołów – oznajmił Gabriel bez wstępów, gdy tylko Faris odłożył obie słuchawki. Telefon natychmiast zaczął wygrywać jakąś natrętną melodyjkę.

– Nie ma mowy. – Podniósł słuchawkę. – Dobrze, że dzwonisz, bo jest sprawa – powiedział do rozmówcy i dorzucił bezgłośnym szeptem w stronę Gabriela – Musisz poczekać. Wszyscy zajęci.

Archanioł poczekał, przestępując z nogi na nogę i gdy Faris wreszcie odłożył słuchawkę, kategorię gestem położył na niej dłoń, zanim sekretarz zdążył odebrać kolejną rozmowę. Melodyjka była teraz nieco przytłumiona, co samo w sobie było kojące.

– To niezbędne – oświadczył władczo, próbując wyrzucić presję na sekretarzu. – Możemy mieć kryzys.

Faris oderwał się wreszcie od kołowrotu codziennych zajęć i przyjrzał Gabrielowi. Napięcie w jego oczach było aż nadto widoczne.

– Mogę zwołać wszystkich dopiero na jutro rano, a i to bez Rafała, bo jest z misją w terenie.

O ile pozwolisz mi zadzwonić.

– Sam z nimi porozmawiam. – Gabriel nie dał się zbyć.

Następny kwadrans spędził na wyjaśnianiu innym archaniołom przyczyn pilnego wezwania i modlenia się w duchu o cierpliwość. Nie chciał wspominać przez telefon o delikatnej i poufnej propozycji Mefistofelesa. Koledzy nie rozumieli jak bardzo sytuacja może stać się nagląca, co wywoływało zniecierpliwienie Gabriela. Odnosił wrażenie, że nie tylko on ma wpływ na Azazela, ale nawzajem, zapalczywość i skłonność do gwałtownych reakcji, jaką zawsze starał się łagodzić u swojego przyjaciela, przeszły częściowo na niego. Wpływ był obopólny i to go martwiło.

Kiedy skoczył, otarł pot z czoła i skinął sekretarzowi głową na pożegnanie. Miał sporo innych spraw do załatwienia, zanim następnego ranka poprosi kolegów o zgodę na wykasowanie Duszczyki z rejestrów. Coś mu mówiło, że nie będzie to łatwa batalia.

Mefistofeles stał w wąwozie przed ledwo widocznymi w mroku drzwiami do jaskini handlarza Dezyderiusza i zastanawiał się co właściwie sprawiło, że tu przybył. Odpowiedź nie wydawała mu się satysfakcjonująca, więc po-

rzucił prowadzące do niewłaściwych wniosków rozważania i głośno zapukał gałką trzymanej w dłoniach laski. Zabrał ją do opędzania się od grasujących w okolicach ghuli, żarłocznych demonów pustyni, których serca Duszyca podbiła w niezrozumiały dla wszystkich sposób. Nie licząc Azazela, była jedyną we wszechświecie istotą, która bez lęku wchodziła do ich klatki i której słuchały bez zastrzeżeń. Ba, wydawało się nawet, że ją lubią, o ile te paskudne, śmierdzące kundły mogły mieć jakiegokolwiek uczucia.

Po długiej chwili oczekiwania drzwi otworzyły się i stanął w nich pomocnik Dezyderiusza, aniołek Zenek, jak zawsze roztaczając wokół siebie powalający smród przetrawionego czosnku. Widząc przybysza otworzył usta ze zdumienia, co znacząco pogorszyło sytuację.

– Witaj – zaczął Mefisto, próbując mówić na wdechu. – Czy zastałem Dezyderiusza?

Ku uldze diabła Zenek zamknął usta i kiwnął głową, otwierając drzwi zapraszającym gestem. Mefisto wciągnął do płuc w miarę jeszcze świeże powietrze i przekroczył próg.

Jaskinia była długa i wąska, tuż za drzwiami przedzielona stalową kratą, zatrzaśniętą na głucho. W głębi wyłaniały się półki pełne różnorodnych towarów, a pod ścianami piętrzyły się paczki, skrzynie i tobołki wypełnione wsze-

lakimi dobrami. Wnętrze nieodparcie kojarzyło się diabłu z magazynem w dużym porcie przeładunkowym. Między regałami zainstalowano liczne świetlówki, dające mocne choć nieco trujące światło.

Pośrodku, przy dużym, prostokątnym stole, który okres świetności miał dawno za sobą, siedział Dezyderiusz pochylony nad księgami rachunkowymi i mamrotał coś pod nosem.

Zenek chrząknął.

– Zenuś, nie zawracaj głowy, bo liczę. Odbierz towar i powiedz, że płatność za tydzień. Jak im nie pasuje, to nie. Kupię u kogoś innego.

Anioł chrząknął znacząco jeszcze raz i wreszcie handlarz podniósł wzrok. Na widok gościa oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia. Zerwał się od stołu i żwawo podbiegł do dźwigni otwierającej kratownicę. Szczęknięty odskakujące pręty i Mefistofeles wkroczył do środka.

– Zapraszam, zapraszam. Taki gość, taki gość – mamrotał, nie wiedząc co powiedzieć.

Chwilę później Mefisto został usadzony za stołem, z którego jak za dotknięciem różdżki zniknęły księgi, a pojawiły się kieliszki i najlepszy koniak jego produkcji. Diabeł pozwolił sobie nalać obfitą porcję i obserwując handlarza, założył nogę na nogę. Dezyderiusz stał po drugiej stronie stołu.

– Dezyderiuszu, usiądź wreszcie – powiedział diabeł, widząc, że handlarz zamierza pozostać w pełnym szacunku półukłonie.

– Nie śmiałym – wymamrotał Dezyderiusz, ale spojrzenie Mefista sprawiło, że przycupnął ostrożnie jednym pośladkiem na krawędzi krzesła, gotów zerwać się w każdej chwili, przy najłżejszych oznakach niezadowolenia księcia piekieł. Pozycja „na narciarza” może i była na dłuższą metę trochę niewygodna, ale nie zamierzał rozsiadać się, jak pierwszy lepszy prostak.

– Zapewne zastanawiasz się, co mnie sprowadza.

Handlarz z ulgą doszedł do wniosku, że diabeł zdecydował się skrócić jego męki niepewności i od razu przechodzi do rzeczy, ale się mylił. Mefisto wyjął z kieszeni marynarki nieduże pudełko i podsunął mu pod nos.

– Cygaro?

Machinalnie wziął jedno, a diabeł wyjął mu je z rąk, przyciął i oddał, a co gorsza własnoręcznie podpalił złotą zapalniczką. Handlarz czuł, że jego godzina wybiła. Czegokolwiek piekło od niego chciało, była to większa sprawa.

– Ładnie się tu urządziłeś – powiedział Mefisto i popatrzył wokół z uprzejmym uznaniem na twarzy, chociaż w jego domu nawet służba mieszkała lepiej.

Dezyderiusz wymamrotał coś nieokreślonego, lekko krztusząc się dymem. Na takie luksusy jak cygara nadal nie było go stać, choć od wyjazdu Duszczyki interesy szły rewelacyjnie dobrze, głównie dzięki zastrzykowi złota, jaki mu zostawiła.

– No właśnie, Duszczyka – powiedział końcu czytający mu w myślach Mefistofeles. – Ja w tej sprawie.

Dezyderiusz zbladł. Jeżeli Mefisto w jej imieniu zażąda zwrotu całego złota, będzie problem. Nie mógł wycofać takich zasobów w jednej chwili. Diabeł kręcił młynka palcami i patrzył na niego spod oka, najwyraźniej bawiąc się jego niepokojem.

– Nie jesteś ciekaw co się z nią dzieło?

Handlarz pokiwał głową, licząc, że zyska na czasie i zdoła wymyślić, skąd wziąć pieniądze na spłatę. Z czasem jednak zaczął uważnie słuchać, a nawet ucieszył się, że jej życie dobrze się ułożyło. Kiedy jednak Mefisto zaczął opowiadać o przygodach w Ameryce Południowej, oślepiająco złoty uśmiech Dezyderiusza zaczął blednąć, a gdy usłyszał o postrzeleniu jej przez diabolicę, usta zacisnęły mu się w wąską kreskę.

– Duszczyka energicznie protestuje w niebie i chciałem was obu prosić o wszelkie możliwe wsparcie, jakiego możecie jej udzielić.

– Ale co ja... – zająknął się Dezyderiusz, którego możliwości przeprowadzenia akcji w niebie były faktycznie mocno ograniczone. Wprawdzie jego handlowy interes miał się świetnie, dzięki działaniom na styku stref, ale nie miał swobody ruchów na terenie nieba.

– Nie bądź taki skromny, Dezyderiuszu – Mefisto uśmiechnął się z podziwem i uznaniem. – Z pewnością będziesz w stanie jej pomóc, a wtedy ja wspomogę ciebie. Gdybyś się przyczynił do jej powrotu, uzyskasz ode mnie prawo do cen hurtowych na koniak z czarną nalepką, powiedzmy na... – diabeł z wahaniem zawiesił głos – powiedzmy na rok.

Dezyderiusz wpatrywał się w niego bez słowa, a oczy rozbłysły mu jak złote krugerrandy. Usiadł nawet nieco pewniej na krześle.

– Zenuś! – powiedział rozkazująco, wypuszczając w powietrze kłębuszek dymu. Palenie cygar wyraźnie mu się spodobało.

Zza regały wysunął się Zenek, który cały czas podsłuchiwał. Odór czosnku był teraz przytłumiony aromatem cygara, ale i tak trudny do zniesienia.

– Nasz wywiad donosi, że Duszczyka protestuje przed pałacem Najwyższej Hierarchii. Czas nagli. Jeżeli do południa nie zgodzą się odesłać jej do nas, zostanie tam na zawsze. Jako

anioł – dorzucił diabeł grobowym głosem i teatralnym gestem opuścił głowę na piersi.

Dezyderiusz chciał coś powiedzieć, ale Zenek, mający lepszy zmysł do handlu niż szef, a ponadto lubiący Duszyczkę i gotowy dla niej na wiele poświęceń, był już w połowie drogi do tylnego wyjścia.

– Pojadę sam! Wezmę dreżynę, szefie, będzie szybciej – krzyknął i zanim Dezyderiusz zdążył przytaknąć, rozległ się łomot trzaskających za nim drzwi do tylnego wejścia.

Mefisto wyciągnął rękę.

– Na mnie pora, Dezyderiuszu. Dziękuję za pomoc, będziemy ci to pamiętać.

Właśnie tego pamiętania Dezyderiusz najbardziej się obawiał. Uścisnął podaną sobie dłoń, świetnie rozumiejąc czym może się okazać nawet tak z pozoru niewinny pakt z diabłem. Mefisto uśmiechnął się lekko, jakby zdawał sobie sprawę z niepokoju handlarza i zniknął.

O jego obecności świadczyło tylko nieduże pudełko szaleńczo drogich cygar, pozostawione na stole.

Łysi dresiarze w bluzach z kapturem pojawili się nad ranem, kiedy latarnie jeszcze świeciły, ale gdzieś na horyzoncie niebo nie było już całkiem czarne i gwiazdy stawały się bledsze. Przy-

szli każdy osobno i sprawiali wrażenie, jakby wcześniej się nie znali. Obrzucili się uważnymi spojrzeniami, jak drapieżniki nagle natykające się na konkurentów na neutralnym terenie. Po chwili zgodnie usiedli na murku i widać było, że naprawdę się cieszą ze spotkania. Takich jak oni nie mieszkało tu wielu.

Spokojny charakter protestu chyba był im nie w smak, bo szybko ustawili się przed bramą i zaczęli wykrzykiwać hasła, wprowadzając kompletnie nie związane z duszyczkowym, ale za to donośne i zwracające uwagę. Skakali w rytm okrzyków i zarażali swoją aktywnością najbliższe stojące osoby.

Pojawienie się limuzyny nadjeżdżającej od strony pałacu przyjęli głośnymi gwizdami. Do tychczas protestujący przepuszczali wszystkie auta przez bramę, ale dresiarze założyli kaptury i stanęli w poprzek wjazdu trzymając się pod ręce. Nie było jak ich ominąć. Samochód podjechał tak blisko, że prawie dotykał ich kolan i zatrzymał się. Obie strony najwyraźniej postanowiły okopać się na dotychczasowych pozycjach, bo dresiarze ani drgnęli, kompletnie bez sensu wrzeszcząc coś o stadionach. Scena przeciągała się i mogłoby się wydawać, że auto zyskuje nawet pewną przewagę, gdyby nie babcia z laską, która przydreptała z tylnych szere-

gów. Wcisnęła się przed dresiarzy i, próbując grzmotnąć w karoserię, wzięła zamach laską, przy okazji zahaczając o kaptur jednego z nich. Nie spodziewający się napaści chłopak został szarpnięty do przodu i pochylił się gwałtownie, dając dubla z tyłu również nie spodziewającej się ataku babci. Staruszka z okrzykiem wypuściła z rąk laskę, która z klekotem odbiła się od marmurowych płyt i wpadła pod auto.

– Cofnij się! – zażądała babcia władczo, kierując kościsty palec w stronę kierowcy, który patrzył na nią obojętnym wzrokiem. Nie doceniał przeciwnika.

– Laskę kalece zabierze! Co za ludzie! Patrzcie, jak kalekę traktują i to kto?! Anioł! Przejdzie mnie! Ludzieeee! – rozjazgotała się na cały dziedziniec.

Przenikliwy głos niósł się nad ulicą i tłum zaczął się robić wrogi. Ludzie ruszyli w stronę krzyczącej staruszki, która żelazną garścią trzymała za kaptur dresiarza, nie pozwalając mu wejść pod samochód po laskę, czym popsułby piękny efekt. Kierowca wycofał limuzynę i ruszył w stronę bocznego wjazdu, a brama zamknęła się bezszelestnie. Dresiarze ze śmiechem i okrzykami podrzucili na rękach wywijającą laską babcię i wróciła atmosfera pikniku, ale teraz czuło się pewną zmianę. Duszyczka

odnosiła wrażenie, że wraz z atakiem staruszki na wypieszczoną limuzynę coś w nastawieniu tłumu się zmieniło.

Pierwsze egzemplarze gazet z przerysowanym opisem sytuacji i zdjęciami smutnej dziewczyny pojawiły się kilkanaście minut później. Ludzie kupili je w kioskach i przyszli zobaczyć na własne oczy jak wygląda protest. Tego jeszcze w niebie nikt nie robił i zapowiadała się fajna atrakcja. Schodziły się całe rodziny, niektórzy z transparentami „Niebo jest piekłem”, jak wyczytali w artykule. Obstąpili Duszczykę, prosząc o autografy na fotografii z pierwszej strony brukowca. Ktoś przywiózł kilka skrzynek z jabłkami i je rozczęstował, a ogryzki poniewierały się teraz po chodniku.

Gęstniejący z każdą chwilą tłum zajmował sporą część jezdni i Duszczyka była coraz bardziej spychana na obrzeża. Wyglądało na to, że za kilka godzin będzie obserwowała własny protest z sąsiedniej ulicy. Zarzuciła transparent na ramię i energicznie przepchała się w stronę bramy. Wozy transmisyjne dwóch konkurencyjnych stacji telewizyjnych właśnie parkowały na pasie zieleni, za nic sobie mając wypielegnowane trawniki i świeżo rozkwitłe róże.

– I tak to z elementu krajobrazu zmieniałam

się w atrakcję turystyczną – powiedziała do siebie Duszczyka, zaskoczona rozwojem sytuacji.

Blade światło odbijało się w prętach cel po obu stronach przejścia w podziemiach koszarów Azazela. Panowała cisza, przerywana tylko cichym brzęczeniem psującej się świetlówki nad drzwiami i postękiwaniami dochodzących do siebie diabłów. W przeciwległym końcu jacyś dwaj więźniowie klócili się ściszonymi głosami, ale nie sposób było zrozumieć co jest przedmiotem sporu.

Eskenezer stał i patrzył w głąb sali. Nie wiedział, czy to, co ma zamiar zrobić nie ściągnie na jego głowę paskudnych kłopotów, ale w obecnym stanie ducha nie robiło mu to większej różnicy. Miarowym krokiem szedł wzdłuż cel, od niechcienia zaglądając do środka. Nie robił tego z przerośniętego poczucia obowiązku, ale próbował odwlec w czasie decyzję, którą miał podjąć.

Stanął przed celą Velara w rozkroku, z rękami założonymi do tyłu i myślał. Obiekt jego obserwacji poderwał się na nogi i odwzajemnił spojrzenie. Czuł, że nic dobrego nie może dla niego wyniknąć z zainteresowania szefa komandosów, ale trzeba to będzie znieść po męsku. Podniósł wyżej głowę. Eskenezer zdawał

się nie dostrzegać hardego spojrzenia, za które w normalnych warunkach wybatożyłby śmiałka.

– Czy ona...? – zaczął Velar, niejasno rozumiejąc, że coś jest nie w porządku.

– Jest w szpitalu. Marimar ją postrzeliła.

– Rozę?

– Jaką, kurwa, Rozę?! – ryknął nagle rozjuszony Eskenezer, którego nerwy nie wytrzymały presji.

W sąsiedniej celi Larden podniósł się na chwiejnych nogach. Czuł się winnym tego, co się stało, a o losie Duszczyki dotychczas nic mu nie powiedziano. Teraz wszystko mu się poukładało w głowie.

– Ale wyjdzie z tego, czy przyjdzie do nas jako potępieniec? – spytał.

Eskenezer przyskoczył bliżej i przycisnął twarz do chłodnych prętów, jakby chciał go zagryźć.

– Nigdy tu nie przyjdzie. Jeżeli umrze, niebiescy zabierają ją do siebie na zawsze. Rozumiesz?! Wtedy ja dobioreę ci się do dupy zanim Azazel to zrobi!

– A ja im pomogę. Ona fajna była, a ty jak dureń... – Velar splunął w stronę sąsiada.

– Sam bym wam pomógł. – Larden zaczął miarowo uderzać czołem o mur swojej celi.

Eskenezer odwrócił się do Velara i zmierzył go wzrokiem. Diabeł wyglądał jak siedem nie-szczęść razem wziętych.

– Roza tu była – powiedział w końcu szef komandosów ściszym głosem.

– W koszarach?

– Przy bramie. Nie wpuściłem jej do środka.

Tylko Duszczyka miała prawo tu wchodzić i Eskenezer ze zgrozą uświadomił sobie, że myśli o niej w czasie przeszłym. Wzruszył jednym ramieniem, jakby chciał odpędzić strach, który przysiadł mu na pozbawionym dystynkcji pagonie jak czarna wrona.

– Chciała się z tobą widzieć. Co jest między wami?

– Nic. – Velar uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie lżyj, bo nie lubię.

– Nic nie było, nigdy – zapewnił go Velar z podejrzaną żarliwością. – Gdzie ja do byłej kobiety Władcy?

– Niby racja. Takie kobiety jak Roza nawet nie patrzą na takie diabły jak ja, a co dopiero na takich szmaciarzy jak ty. Ale przyszła.

– Po co? – ośmielił się zapytać Velar.

– Sam nie wiem. Ona chyba też nie. Miała czarną sukienkę. Rozumiesz coś z tego? Jakby była po kimś w żałobie.

Odgłos stukania głową o mur z celi Larde-

na zabrzmiał głośniej. Eskenezer nagle podjął decyzję. Zdecydowanym krokiem wszedł do celi Velara, sięgnął ręką do kieszeni i kluczem otworzył przykuwające go do muru kajdany.

– Na górę! – rzucił krótko i nie zaszczycając Lardena nawet jednym spojrzeniem ruszył do wyjścia. Nic nie rozumiejący Velar niemal deptał mu po piętach, rozcierając obolałe nadgarstki.

Na dziedzińcu Eskenezer odwrócił się i spojrział diabłu w oczy.

– Jest u Aurelii. Idź do niej. Na służbę zgłosisz się jutro, a co ci robi Azazel jak wróci, to osobna sprawa. Ja z tobą skończyłem.

Prawie biegiem dopadł do drzwi gabinetu i zamknął je za sobą, zanim ktokolwiek zauważy, że trzęsą mu się usta. Miał nadzieję, że dobry uczynek poruszy kogoś u niebieskich i jego niewypowiedziane na głos prośby zostaną spełnione.

Na dziedzińcu został zakrwawiony i obdarty Velar, nie rozumiejący nic a nic z całej sytuacji.

Przybycie ekip telewizyjnych zdecydowanie pogłębiło chaos przed pałacem. Zaaferowane reporterki na niebotycznych szpilkach biegały od jednej osoby do drugiej w rozpaczliwym wyścigu do Duszczyki. Przy dziesiątkach wznie-

sionych w górę transparentów oznajmiających światu, że „Niebo jest piekłem” odnalezienie tego właściwego nie było łatwym zadaniem.

Duszydzka stała przy samej bramie przybijając piątkę z dresiarzami. Krótka streściła im o co chodzi i o dziwne obrona uciśnionej miłości nie wzbudziła ich zdecydowanego sprzeciwu. Może wpływ na to miała informacja o pięciu zabitych przez nią diabłach. Patrzyli z uznaniem na drobną dziewczynę, która zamierzała od następnego dnia zabrać się za podpalanie stacji benzynowych. Najwyższy i najbardziej napakowany dres w końcu wyciągnął do niej zwiniętą pięść.

– Żółwik, szefowa.

Duszydzka puknęła w nią pięścią, potwierdzając zaczątek dobrych stosunków.

– Pomogę ci z tymi stacjami, bo z całym szacunkiem, chyba gównem się znasz na tym. To w sumie nie jest takie trudne, kiedy się wie jak, co nie chłopaki?

Dresy ze znanstwem pokiwały głowami. Dobrze zapowiadającą się współpracę przerwała blond reporterka z włosami tak wylakierowanymi, że tworzyły sztywny, nieruchomy hełm na głowie.

– Duszydzka, prawda? – zaćwierkała.

– Prawda – dziewczyna potwierdziła skinie-

niem głowy.

Reporterka dała znać stojącej za nią ekipie i nie trując się przedstawianiem ich Duszyccy, zaczęła zadawać pytania. Dresy rozsądnie odsunęły się poza zasięg kamery, Duszycka szeroko rozwodziła się nad swoim złamanym sercem, pilnując się, aby żadne nieroztropne słowo o stacjach benzynowych nie wymknęło się jej z ust. Być może w niebie nie znali aresztów prewencyjnych, ale lepiej nie ryzykować.

Kiedy wreszcie ekipa uznała, że wywiad jest gotowy, zastąpiła ją kolejna, tym razem z rudą reporterką z końskim ogonem i grzywką. Pytania były te same i żadna telewizja tak naprawdę nie interesowała się Duszycką jako osobą, a wyłącznie sensacją, jaką był protest przed pałacem. Antagonizowanie dziennikarzy nie było jednak dobrym pomysłem, więc reporterka dostała takie odpowiedzi, jakich się spodziewała i wreszcie sobie poszła. Zadała jeszcze kilka pytań stojącym na chodniku gapiom i ruszyła do samochodu wysłać materiał do stacji.

– Kto nie skacze, ten jest anioł, heej, heej! – skandowali dresiarze, podskakując rytmicznie i zachęcając do tego ludzi. Po chwili tłum skakał i krzyczał. W ogólnym harmiderze nikt początkowo nie zwrócił uwagi, na próbującą podjechać pod bramę zdezelowaną, żółtą ciężarówkę

służb oświelenia miasta. Obdrapany wysięgnik chwiał się niebezpiecznie nad głowami gapiów. Kierowca trąbił wściekle, a że robił to w rytm okrzyków, uznano to za przyłączenie się do protestów. W końcu tłum zmęczył się i zamilkł, a wtedy z auta wysiadł młody chłopak i wdrapał się na dach kabiny.

– Duszyczka! Duszyczka, gdzie jesteś? – wrzasnął tak głośno, że niewątpliwie musiało go słyszeć pół miasta.

Dziewczyna obejrzała się przez ramię. Zobaczyła chudego wyrostka, który kogoś jej przypominał, ale w pierwszej chwili zupełnie nie mogła go z nikim skojarzyć. Wreszcie w mózgu wypłynął obraz jego o kilka lat młodszej wersji, która machała jej na pożegnanie w wąwozie, kiedy szła do rafinerii, walczyć o powrót Azazela.

– Zenuś? – szepnęła.

– Znasz go? Bo jak nie, to mogę mu jebnąć – zaoferował się dresiarz.

– Znam, pewnie, tylko dawno go nie widziałam. Wtedy wyglądał młodziej, ale widocznie coś się zmieniło. Tu jestem – wrzasnęła w stronę ciężarówki i zaczęła podskakiwać, machając transparentem. Chłopak zobaczył ją, zgrabnie zeskoczył na chodnik i energicznie używając łokci precyzyjnie się przez tłum. Był teraz o kilka

lat starszy, wyraźnie wyższy i nawet serdecznie uściskał Duszczykę, nie broniąc się przed całusami w oba policzki od uradowanej spotkaniem dziewczyny.

– Nie pytam co i jak u ciebie, bo był u nas pan M, wiesz o kim mówię? Powiedział nam, co się stało.

– To dobrze, bo jak będę musiała jeszcze raz wyjaśniać czemu tu jestem, to chyba zacznę strzelać.

– Przyszedłem ci pomóc – Zenek wskazał ręką ciężarówkę, choć jako żywo Duszczyka nie wiedziała do czego chce jej użyć. Rozklekotany trup nie nadawałby się chyba do staranowania bramy, ale już do rozbicia dystrybutora na stacji, jak najbardziej.

– Najpierw powiedz co u was – zażądała.

– Świetnie, że trudno lepiej, odpukać. Dezyderiusz znakomicie rozkręcił interes za tą kasę co nam pożyczyłaś. Masz niezły procent od zysków – uśmiechnął się, marszcząc nos.

Duszczyka też miała ochotę zmarszczyć nos, bo ciężki woal starego czosnku owiewał ją z całą mocą, ale udało jej się powstrzymać. Lubiła Zenka.

– Dlaczego jesteś starszy? Anioły się nie starzeją!

– Ale mogą modyfikować wygląd. Szeff po-

trzebuje pomocy w interesach, a kiedy wyglądałem jak dziecko, nikt ze mną nie chciał rozmawiać o forsie. Teraz mam na oko siedemnaście lat i od razu jest lepiej. Ale ja nie o tym. Chodź, pokażę ci co zrobimy. Sprzęt jest ciut starawy, ale tylko to udało mi się zorganizować tak na szybko.

Odebrał od Duszczyki nieco już rozchwiany transparent, wziął ją za łokieć i energicznie pociągnął w stronę ciężarówki, rozpychając tłum. Dresiarze, jak gwardia przyboczna, podążali za nimi.

Azazel stał w luksusowej łazience maleńkiej kliniki San Pedro Más Alto i otrzepywał ceglany pył z koszuli. Jego odbicie w lustrze miało sine kręgi pod oczami i czarny, dwudniowy zarost. Wyglądał jak zdeklarowany przestępca i tak też się czuł. Nienawidził świata i był gotowy spać go do fundamentów. Umył ręce, jak mu każała pielęgniarka, nie zgadzając się, by wszedł w takim stanie do pokoju Duszczyki. Niechętnie przyznał jej rację. Kiedy wyszedł na korytarz, czekała na niego z zielonym, ochronnym fartuchem w rękach i pomogła mu się ubrać. Obok niej stał, jak zawsze spokojny Lucyfer, a jedynym zgrzytem w jego nieskazitelnym stroju była stercząca z kieszeni gazeta.

– Czułem, że cię tu znajdę, bo chwilowo u Gerebana ucichły wściekłe telefony od niebieskich – uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

– Niedługo południe – powiedział Azazel ponurym głosem. – Lekarze mówią...

– Do południa jeszcze ponad dwie godziny. Nie przyspieszaj spraw. Chciałem ci coś pokazać – sięgnął po gazetę.

– Daj spokój, świat nic mnie chwilowo nie obchodzi.

– To będzie.

Lucyfer podstawił mu pod nos gazetę, gdzie na pierwszej stronie widniała rozdzierająco smutna Duszczyka z plakatem „Niebo jest piekłem”. Przeleciał wzrokiem artykuł i pomimo powagi sytuacji, uśmiechnął się smutno do zdjęcia swojej kobiety.

– Biedna mała. Walczy jak umie.

– No właśnie. Jak umie?

Azazel przeniósł na Lucyfera pytające spojrzenie.

– Nie myślisz chyba, że na nic więcej nie stać twojej kobiety, która pokonała pięć diabłów i wygrała z Belzebubem. Nie sądzę, żeby miała przez resztę wieczności urządzać w niebie łzawe protesty uciśnionej dziewicy... No może to nie-najlepsze określenie, ale na pewno tak łagodnie to niebieskim nie przejdzie.

– Z pewnością nie! Jeżeli ona nie będzie mogła przyjść do mnie, to ja pójdę do niej.

– Wy oboje jesteście jak Bonnie i Clyde. Biedni niebiescy.

– Nawet nie wiesz jak bardzo biedni. Podpalę ich świat z czterech stron, bez względu na wasze protesty – spojrzał prowokacyjnie na Lucyfera, stojącego z obojętną miną. – Czy oni wiedzą, co zamierzam?

– Co zamierzamy, bo niektórzy z nas są skłonni przyłączyć się do ciebie, w pewnych granicach, oczywiście. Tak, wiedzą. Mefistofeles rozmawiał z Gabrielem i nawet oprócz dużego kija powiesił mu przed nosem małą marchewkę. Poza tym Gereban nieoficjalnie rozmawiał z tym, kto tam u nich akurat pełni obowiązki dyżurnego sekretarza, ale chyba nie potraktowali go poważnie. Czeka ich przykre przebudzenie.

Azazel patrzył przez szklaną ścianę na drobny kształt leżący nieruchomo na łóżku, oplątany kablami i przewodami i czuł jak przerażenie mdli go w żołądku.

– Chciałbym się z nią ożenić.

Gdyby ktoś Lucyferowi powiedział, że Belzebub i Najwyższa Hierarchia zamienili się pałacami nie mógłby być bardziej zdumiony. Przez chwilę nie reagował, jakby nie usłyszał co do

niego powiedziano, potem popatrzył z politowaniem. Była to jego forma pukania się w czoło.

– Jak sobie ten ślub wyobrażasz?

– Nie wiem, ale muszę coś zrobić, żeby cały świat wiedział. Żeby nie mówili o niej „kochanka diabła”.

Lucyfer uznał, że nie jest to właściwa chwila na informowanie go jak naprawdę mówiono o Duszy z Duszycze przy diabelskich ogniskach.

– Żona diabła będzie brzmieć lepiej? – spytał.

– Nie wiem, ale na pewno bardziej moralnie.

Lucyfer gwałtownie zamrugał.

– Chyba zabronimy ci widywać się z Gabrielem. Ta indoktrynacja poszła już za daleko. Idę teraz do siebie. Dam ci znać jeżeli w telewizji niebieskich pokażą coś w najnowszych wiadomościach.

Odwrócił się i bez pożegnania odszedł korytarzem.

Nadal z gazetą w rękach, Azazel wszedł do sali i stanął nad łóżkiem kobiety, bez której nie wyobrażał sobie dalszego życia.

– Ładnie wyszłaś na tym zdjęciu – zaczął pogodnym tonem, przekonany, że dziewczyna go słyszy. Nie chciał, żeby jej się udzieliło jego przerażenie. Przysunął sobie krzesło. – Dużo

lepiej, niż na tych paszportowych, na których oboje wyglądamy, jak poszukiwani listem gończym.

Wyjął z kieszeni spodni nieco sfatygowany od złego traktowania paszport Duszczyki i otworzył na fotografii. Cienka, biała koperta wysunęła się spomiędzy kartek i wpadła pod łóżko. Międląc w ustach wulgarne przekleństwa Azazel schylił się po nią i przez chwilę obracał w palcach, zanim zwrócił się do dziewczyny.

– Czemu nic na niej nie napisałaś? Nie wiem, czy mam teraz otworzyć, czy dopiero po... – wzdragał się przed powiedzeniem tego głośno. – Może spalić?

W końcu rozerwał papier. W środku była pojedyncza kartka. Azazel czytał i czuł, jak krew uderza mu do głowy. Zerwał się, przewracając krzesło i jak wichur wypadł z sali. W korytarzu zderzył się z nadchodzącym Eskenezerem, którego jednym gestem zmiotł pod ścianę.

– Chciałem prosić o pozwolenie... – zaczął szef komandosów.

– Rób co chcesz! – ryknął Azazel i już go nie było.

Eskenezer stał w drzwiach do sali Duszczyki i bał się wejść do środka.

Kiedy Gabriel przybył do małej sali konfe-

rencyjnej na zapleczu pałacu, nie zastał w niej żywego ducha. Piękny, długi stół był wypolerowany i przygotowany na zwołaną przez niego naradę. Stały na nim butelki wody mineralnej, szklaneczki, a nawet nieśmiertelne słone paluszki i tylko archaniołów brakowało. Spojrzał na zegarek – dochodziła dziesiąta i zdawał sobie sprawę, że za kilka minut straci kolejnego człowieka, obiecanego mu przez Mefistofelesa.

Pobiegł do Sekretariatu aż furkotała za nim ceremonialna szata, którą nałożył, żeby majestatyczną postawą zrobić wrażenie na kolegach. Był gotów na każdą sztuczkę, byle ich przekonać.

W sekretariacie zobaczył Michała, Metatrona i Baradiela pogrążonych w przyjacielskiej rozmowie. Śmiali się i żartowali, jakby nie zdawali sobie sprawy, że siedzą na wulkanie.

– Gdzie reszta? – spytał z ledwie skrywaną wrogością.

– Uriel już idzie, ugrzązł w korku, a przynajmniej taką sobie znalazł wymówkę – powiedział dyżurny Sekretarz, którym znów był Faris. – Rafał siedzi w tajnej kancelarii i nie ma szansy, żeby się wyrwał przed wieczorem. Chcesz kogoś w zamian?

– No pewnie, muszę mieć kworum. – Gabriel z trudem panował nad sobą. – Daj mi jeszcze

protokolanta. To oficjalne zebranie.

– Pahadron, ej Pahadron! Chodź, będziesz protokolantem.

– Trwoga, trwoga! – jęknął w proteście Pahadron, anioł terroru, który nie był zbyt bystry i zazwyczaj nie miał nic więcej do powiedzenia. Stale wrabiano go w protokołowanie zebrań i był tym zniecierpliwiony, ale nie wiedział, jak można by to wyrazić jeszcze dobitniej.

Zamiast Rafała z tajnej kancelarii przyszedł Sulfatus, który cały czas otrzępywał szatę z kurzu. Gabrielowi przemknęło przez głowę gdzie on się tak zdołał ubrudzić i czy nie powinien się przebrać, ale widząc nadchodzącego Uriela, czym prędzej porzucił te rozważania i zagonił niechętnie stadko do sali konferencyjnej. Miał swoje kworum.

– Co to za woda? – spytał zrzędliwie Baradiel. – Nie będę pił gazowanej, bo to niezdrowe.

– Ta jest lekko niegazowana. Przestań marudzić – uspokoił go Uriel, nawet nie patrząc na butelkę.

– Panowie, przejdźmy do rzeczy, bo czas bardzo nagli – zaczął Gabriel, stając u szczytu stołu i czekając, żeby wszyscy się rozsiedli.

Opowiedział im o problemie z Duszczyką, która zasłużyła na nagrodę w życiu wiecznym, ale za żadne skarby nie chciała jej przyjąć, upie-

rając się przy mieszkaniu w piekle. Archaniołowie z niedowierzaniem kręcili głowami.

– To jakaś bzdura. Nikt dobrowolnie nie zrezygnuje z nieba. Co ją tam ciągnie?

– Azazel. To jego kobieta od kilku lat. Stały związek.

– Konkubinat – powiedział Michał potępiająco.

– Zostaw w spokoju nazewnictwo – ofuknął go Gabriel, nerwowo zerkając na zegarek. Minęła dziesiąta, czyli stracił kolejnego człowieka. Był coraz bardziej zniecierpliwiony. – Chciałem, żebyście wyrazili zgodę na odesłanie jej do piekła, jako duszy potępionej, albo z powrotem na ziemię, gdzie w szpitalu utrzymują ją sztucznie przy życiu. To chyba będzie najbardziej humanitarne.

Na twarzach kolegów odbiło się powątpiewanie, a Michał energicznie pokręcił głową. Sprawa wydawała się przegrana, gdy mały goniec z Sekretariatu wetknął głowę w drzwi i zawołał cienkim dyszkantem:

– Faris mówi, żebyście włączyli telewizję, wiadomości.

I już go nie było.

Uriel był najszybszy w sięganiu po pilota. Popatrzył na kolegów z triumfalnym uśmiechem, nacisnął guzik i z sufitu spłynął ogromny

ekran telewizora. Po chwili rozjarzył się i zdumionym archaniołom ukazały się sceny rozgrywane przed pałacem.

– To dlatego kierowca wiozł mnie okrężną drogą – zawołał Uriel.

– Ja nic nie wiem, siedzę tu od wczoraj z Baradiem – mruknął nie wiedząc czemu niezadowolony Metatron. Michał tylko zacisnął usta. W końcu wycedził przez zęby:

– O co w tym chodzi? Dlaczego niebo ma być piekłem?

– Dla niej jest. Nie chce, żeby ją rozdzielano na wieki z mężczyzną którego kocha.

W tym momencie wysięgnik ciężarówki zaczął unosić się ponad tłumem. Gabriel jęknął, a potem pobiegł w stronę drzwi na korytarz.

Zaniepokojeni, pobiegli za nim do frontowej części pałacu i wyjrżeli przez okno. Za bramą stał gęsty, nieprzyjazny tłum z transparentami i wznosił okrzyki. Jezdnia była teraz całkowicie zablokowana w obu kierunkach, a zdezelowana ciężarówka z uniesionym wysięgnikiem zagrażała głównej bramie. Na zazwyczaj nieskazitelnie czystym, wyłożonym marmurem podjeździe leżały ogryzki jabłek i ciągle przybywały nowe. Chłopaki w bluzach z kapturem właśnie rywalizowali czyj dalej poleci. Na razie urządzali sobie

zawody, ale Gabriel zastanawiał się przez chwilę kiedy wpadną na to, żeby przestać się bawić i zacząć rzucać czymś bardziej konkretnym. Poczłł chłodne igiełki niepokoju. Odległość od bramy była zbyt duża, by coś doleciało do budynku, ale sam fakt ulicznego protestu na taką skalę był niepokojący i bez precedensu. A jeżeli sforsują ogrodzenie?

– Trwoga, trwoga! – jęknął Pahadron, przynajmniej raz z sensem.

– Czy mamy jednostki do tłumienia zamieszek? – spytał ktoś z tyłu.

– W niebie!?! – krzyknął oburzony Gabriel, odwracając się do pozostałych aniołów i opierając ręce na biodrach. – Może jeszcze armatki wodne, gumowe kule i pociski hukowe?! Mówiłem wam, że nie znam drugiej kobiety, którą byłoby stać na coś podobnego. Nie wierzyliście mi – dodał z goryczą – i teraz mamy pasztet.

Poranne słońce oświetlało stojącą na wysięgniku ciężarówkę jasno ubraną postać z hardo uniesioną głową. Pokraczny transparent, wyglądający jakby zrobiło go dziecko, oskarżał ich wszystkich. Aniołowie zgodnie popatrzyli po sobie, ale uczucia, jakie malowały się na ich twarzach były bardzo różne.

Michał wydawał się oburzony takim bezczeszczeniem miejsca, choć nawet przy najwięk-

szej skrajności poglądów, trudno by było uznać bramę wjazdową za świętość, którą by można pokalać. Uriel był ubawiony sytuacją i miało się wrażenie, że chętnie by się przyłączył do jakiejś psoty, więc czemu by nie do tej. Na patriarchalnym obliczu Metatrona widoczna była irytacja z powodu dodatkowej pracy, jaką zapewne uda się administratorom na niego nałożyć w związku z bałaganem. Baradiel spoglądał z obojętną miną, a w głowie z matematyczną precyzją układał listę procedur do natychmiastowego wdrożenia, bo zawsze lubił układać świat we właściwym porządku. Stojący nieco z boku i odepchnięty przez wszystkich Pahadron jak zawsze patrzył na świat oczami pełnymi zgrozy. Zastępujący Rafała Suflatus stał pod ścianą, próbując strzepnąć z szaty niewidoczne pyłki.

– Chodźmy do sali konferencyjnej – Gabriel rozłożył ręce, jak gęsiarka zaganiająca swoje stadko na łąkę. – Musimy coś postanowić i to szybko.

– Może powinniśmy jej założyć platynową kartę stałego klienta? – ironizował Uriel, gdy już zasiedli wokół stołu. – W końcu bywa u nas regularnie.

– Trwoga, trwoga! – zaprotestował Pahadron, jak zawsze biorący wszystko dosłownie, ale szybko umilkł pod karcącymi spojrze-

niami pozostałych.

– Jestem przeciwny wypuszczeniu jej stąd! Była diabelską kochanką i teraz chce do tego procederu wrócić. Powinniśmy jej bronić przed nią samą! – zawołał Michał z ogniem w oczach.

– A nas kto obroni przed nią? – rzucił z przekąsem Uriel. – Niech sobie idzie, skoro tak bardzo tego chce, a my jakoś wyprostujemy błąd w stanie osobowym.

– Trwoga, trwoga! – jęknął Pahadron, tym razem nie wiadomo z jaką intencją. Pozostali nawet na niego nie spojrzeli, co wydawało się go zabołec, bo umilkł i skulił się na krześle.

– Słyszałem taką plotkę, że ona jest seryjnym mordercą, ale to chyba niemożliwe. – Uriel mówił z wahaniem i jakby do siebie.

– Seryjnym mordercą?! W niebie?! – wykrzyknął Baradiel, gdy jego uporządkowana wizja świata nagle runęła na posadzkę z wielkim hukiem.

– Trwoga, trwoga! – jęknął Pahadron, potwierdzając odczucia większości. Już drugi raz tego dnia trafił na właściwe słowa i jego samoocena odbiła się od dna.

Gabriel złapał się za głowę. Bardzo chciał uratować sytuację i choć jednego z obiecanych przez piekło dwunastu ludzi. Wciągnął głęboko powietrze, zamknął oczy i skoczył na głęboką

wodę. Powiedział kolegom o propozycji Mefi-
sta i o tym, że do uratowania został już tylko
jeden człowiek, od którego paskudnej śmierci
piekło odstąpi, w zamian za Duszczykę. Wspom-
niał też o ledwie zawołowanej groźbie odwe-
tu ze strony Azazela, a być może i innych, gdyby
dziewczyna miała pozostać w niebie na zawsze.

Aniołowie patrzyli szeroko otwartymi oczami,
jakby jakiegokolwiek układy z piekielnymi
mogły ich pokalać na wieki. Tylko Uriel w za-
myśleniu kiwał głową.

– O matko moja – jęknął zde gustowany sy-
tuacją Michał.

– Nie masz matki – dobiegł z boku sceniczny
szept, ale nie sposób było poznać, który z kole-
gów sobie zakpił. Gabriel obstawiał, że to Uriel.

– Trwoga, trwoga! – jęknął Pahadron.

– Przestań wreszcie! – nie wytrzymał Meta-
tron, marszcząc krzaczaste brwi. Ciągłe zawo-
dzenie nie dawało mu się skupić.

Sprawiający wrażenie nieobecnego duchem,
Suflatus nadal strzepywał coś ze swojej szaty,
rozprasząc wszystkich i sprawiając, że odsu-
wali się i tłoczyli u szczytu stołu z obawy przed
zakurzeniem.

– Który z nas właściwie odpowiada za ład
i porządek? – zaciekawił się Metatron, modląc
się w duszy, by nie okazało się, że to on sam.

Spojrzenia pozostałych skierowały się na Michała, który obejrzał się za siebie, w nadziei, że ktoś za nim stoi. Faktycznie kiedyś nałożono na niego taki obowiązek, ale traktował go jako czysto hipotetyczny. Do tej pory w niebie wszystko toczyło się gładko.

– Może ona się z czasem uspokoi? – powiedział z nadzieją.

– Nie licz na to. Zapowiedziała, że będzie podpalać stacje benzynowe. Na początek.

– Trwoga... – zaczął z rozpędu Pahadron, ale umilkł pod karcącym spojrzeniem Metatrona.

– Jest tak samo nieobliczalna jak Azazel. Pozwólmy jej odejść, zanim sprawa wyląduje w Wewnętrznym Sekretariacie. Wtedy wszyscy trafimy na dywanik. – Uriel z uwagą oglądał swoje paznokcie, jakby mogły pomóc w szybszym wyplątaniu się z nad wyraz upierdliwej sytuacji. Znał ciekawsze zajęcia, niż zebrania w sali konferencyjnej. – Proponuję głosowanie. Ja jestem za.

Gabriel natychmiast podniósł rękę, a wraz z nim Metatron. Michał zacisnął dłonie na kolanach, gotów przyjąć najsurowszą reprimendę, niż złamać zasady i ustąpić diabłom. Baradiel wahał się, a Suflatus strzepywał z ramienia kolejny pyłek. Skulony nad protokołem Pahadron, nie mający prawa głosu, szeptał pod nosem coś

o trwodze. Tym samym pierwsze głosowanie nie przyniosło rozstrzygnięcia i Gabriel poczuł mdlące uderzenie frustracji, a kiedy do końca uświadomił sobie co to oznacza, czerwona mgła gniewu przesłoniła mu oczy.

Gwałtownym gestem wyszarpnął przytroczony do pasa ognisty miecz, wzniosł go oburącz nad głowę i z całą mocą uderzył w blat przed sobą. Długi, konferencyjny stół pękł od końca do końca i zapadł się pośrodku, grzebiąc butelki z wodą, szklanki i paluszki. Sześciu siedzących przy nim mężczyzn zamarło ze zgrozy, a Uriel pozostał z uniesioną dłonią, zapomniawszy ją opuścić. Gabriel wodził mieczem od jednego do drugiego, a każdy z archaniołów kulił się mimowolnie, bo nie wiadomo było w jakim momencie może wystrzelić ryczący, błękitny płomień spopielający wszystkich, nawet archanioły.

– Kiedy skończymy zebranie zamierzam iść do Najwyższej Hierarchii i na klęczkach, z czołem przy ziemi będę prosił o karę – zaczął Gabriel, a w głosie pobrzmiwała mu groźba. – Przez moją i waszą opieszałość zginęło jedenaście osób i nie pozwolę wam zabić dwunastej! Dlaczego nie chcecie wypuścić dziewczyny, póki piekło grzecznie prosi i nawet daje wiele w zamian? Dlaczego czekacie, aż za dwie godziny runie na nas cała potęga piekielna i wszędzie

zapanuje chaos? Skąd wiem? Popatrzcie na Duszczykę! Dziś protestuje na ulicy, jutro ruszy na stacje benzynowe, pojutrze przyjdzie pewnie kolej na nasz pałac.

Wszyscy słuchali Gabriela jak zahipnotyzowani przez kobrę, nie odrywając wzroku od czubka miecza, który mógł im przynieść zagładę. Z podobną agresją nigdy się nie spotkali i w żaden sposób nie umieli zareagować.

– Oni oboje są jak dwie połówki jabłka. Nie zrezygnują z siebie nawzajem tylko dlatego, że trzymamy się sztywno idiotycznych przepisów, jakie sami wymyśliliśmy. Albo oddamy im Duszczykę, albo z powrotem przyjmiemy tu Azazela i nie ma innej możliwości! Tego chcecie? – Powiódł po wszystkich gorejącymi oczami. – Głosujemy! A potem pójdziecie w pokorze wynagrodzić jedenastu rodzinom ich stratę i nic mnie nie obchodzi jak to zrobicie.

Gabriel uniósł w górę rękę z mieczem i wyzywająco patrzył na pozostałych.

Drzwi do biura Gerebana otworzyły się gwałtownie. Diabeł odwrócił się z irytacją, chcąc zbesztać któregoś ze swoich urzędników, ale przed nim stał Azazel. Miał szarą twarz i głębokie bruzdy na twarzy. Widać było, że niepewność i możliwa utrata Duszczyki robiły swoje.

Gereban świetnie wiedział co Azazel robi, starając się okazać niebieskim swoje niezadowolenie, ale jeszcze bardziej martwiło go co zrobi, kiedy tę kobietę nieodwołalnie utraci. Gdyby miał obstawiać, zaryzykowałby twierdzenie, że ją straci. Jeszcze nigdy niebiescy nie wypuścili z rąk kogoś, kto raz do nich trafił i żadne uliczne protesty nie miały szansy tego zmienić. Patrząc na Azazela starając się, by na jego twarzy nie odbijał się nawet najlżejszy cień współczucia. Za kilka godzin rozpęta się wojna na całego, i będzie musiał pracować jeszcze więcej. Kto wie, jak sprawy się potoczą.

– Witaj, książę – zaczął ugodowo, ale nie doczekał się równie uprzejmej odpowiedzi.

– Muszę widzieć Lucyfera. Natychmiast – warknął Azazel.

– Ale... – zaczął sekretarz, kiedy poczuł, jak Azazel porwał go za kołnierz koszuli i uniósł w powietrze. Najwyraźniej popełnił błąd w ocenie sytuacji i usprawiedliwiało go tylko napięcie i zmęczenie ostatnich dni.

– Natychmiast! – szeptał Azazela, którego twarz niemal stykała się z jego, był bardziej wymowny od wrzasku.

– Już, w tej chwili – wyciągnął rękę próbując dosięgnąć telefonu do specjalnych połączeń, który leżał na zawalonym papierami biurku.

Chwycił go końcami palców i nacisnął tylko jeden, alarmowy przycisk. Trwali nieruchomo przez kilka sekund, jak żywy obraz, gdy do biura wszedł Lucyfer, oczywiście nie pukając. Gereban z tęsknotą pomyślał o zamkach szyfrowych, które pozwoliłyby mu spokojnie pracować i może wtedy dałby radę nadrobić zaległości.

– Co jest? – rzucił Lucyfer, udając, że nie widzi nic niezwykłego w scenie, rozgrywającej się na jego oczach.

– Księżę jest – sapnął Gereban, którego Azazel właśnie bezceremonialnie puścił na ziemię. Sekretarz nie bez pewnej trudności złapał równowagę i zajął się pracą, na wszelki wypadek nie siadając, by nie zarzucono mu braku szacunku.

– Chodź do gabinetu, mam mało czasu – stwierdził rzeczowo Azazel, jakby to on był tu szefem.

Lucyfer szerokim gestem ręki zaprosił go dalej, do pokoju, który służył do tajnych rozmów, o ile cokolwiek odbywające się pod bokiem Gerebana mogło być tajne.

– Słyszałem, że poszukujesz pewnego dokumentu i nawet moje sejfy z rezydencji zostały otwarte.

Lucyfer odnotował znów ten suchy ton, który wyraźnie mówił, że Azazel ma teraz ważniejsze

problemy, niż pieklenie się o naruszenie jego własności. Powoli skinął głową.

– Czy wiedziałeś, czego szukasz?

– Prawdę mówiąc, nie. Jeden z agentów wywęszył, że podpisano tajne porozumienie przeciwko tobie. Były dwa egzemplarze umowy, po jednym dla każdego spiskowca, żeby nawzajem trzymali się w szachu.

– Skąd to wiedział?

Coś w postawie Azazela kazało Lucyferowi odpowiadać spokojnie, rzeczowo i wyczerpująco.

– Zakochana kobieta. Wiesz, jak to jest. Niektóre sprzedadzą ojca i matkę za odrobinę uczucia, nawet fałszywego. Ta kobieta ukradła jedną kopię w zaklejonej kopercie. Nikt nie wiedział do końca, co w niej jest. Równie dobrze mogła to być lista zakupów do supermarketu. Czemu mnie wypytujesz i to właśnie tutaj?

Azazel zignorował pytanie szefa.

– Dalej nie wiem, czemu szukałeś tego u mnie?

– Dla niepoznaki, kopertę przerzucono do działu paszportowego, żeby łatwiej było ją wynieść i tam ślad po niej zaginął. Nie wiemy czy ktoś ją zabrał celowo, zagubił, czy niechcący zniszczył.

– Zagubił. Musiała się zaplątać między na-

szymi paszportami.

Azazel wyjął z kieszeni paszport i pokazał go Lucyferowi z daleka. Ten nie wykonał najbliższego gestu, by go wziąć. I tak się dowie w swoim czasie. Spojrzał na zegarek – dochodziła jedenasta, a w południe upływał termin, jaki lekarze dali Duszczyce na powrót z lepszego świata.

– Nie powinienes być z nią teraz w szpitalu?

Azazel zdawał się nie słyszeć pytania. Otworzył paszport i wyjął z niego wymiętą, poszarzałą kopertę. Lucyferowi błysnęły oczy.

– Czyli jednak była u ciebie – stwierdził triumfalnie.

– Była. Nie wiem, czy celowo, czy po prostu zaczepiła się i trafiła do mnie razem z paszportami, a Duszczyka, pewnie przez pomyłkę, zabrała ją ze sobą.

– Gdyby nie twoja kobieta, pewnie nie udałoby nam się tego znaleźć. Czytałeś?

Diabeł kiwnął głową.

– Kiedy dopadniesz tego skurwiego syna, będzie mój – zażądał cichym głosem, w którym gotowało się całe piekło krwiożerczego okrucieństwa.

Lucyfer z wahaniem skinął głową. Jeżeli to uspokoi Azazela i choć trochę złagodzi jego prywatną krucjatę przeciwko niebieskim, warto w ciemno oddać mu zdrajcę, kimkolwiek był.

– Dasz mi kopertę?

– Pamiętaj, co mi obiecałeś. Wracam teraz do szpitala, a za minutę niech Gereban zablokuje wszystkie kanały.

Po Azazelu został tylko niewielki wir powietrza, które zakreśliło drobinkami kurzu.

– Nie musisz mnie uczyć – powiedział Lucyfer obojętnie i jakby odruchowo, ze zdumieniem wpatrując się w niewielką kartkę, na której widniała umowa zdrajców, poparta krwawymi odciskami palców. Z lewej strony podpisała się Marimar i to już wiedział, ale z prawej...

– Gereban! – krzyknął, wpadając do biura, aż zdumiony taką reakcją sekretarz wypuścił długopis z palców. – Blokuj wszystkie kanały! Wszystkie! Mój też, na wszelki wypadek. I sprowadź najlepsze specjalne komando.

Krwawy Topór stał pośrodku pokoju przesłuchań z bezradnie opuszczonymi ramionami. Pomimo wszelkich starań nie udało mu się uzyskać odpowiedzi na stawiane Marimar pytania i było to wydarzenie bez precedensu w jego bogatej karierze śledczego. Czuł się bezwartościowy. Powoli zdjął zakrwawione, skórzane rękawiczki i wyrzucił je do kosza. Dziś nie będą mu już potrzebne. Niewielki toporek z czerwoną rączką wsunął za pasek na znak że skończył pra-

cę. Nie oglądając się na leżące pod ścianą ciało, ciężkim krokiem skierował się w stronę schodów wiodących z lochów na parter, gdzie w gabinecie Azazela urzędował, nie wiadomo czemu coraz bardziej rozjuszony, Eskenezer. Prawda, jaką za chwilę usłyszy, nie poprawi mu humoru ani na jotę i śledczego wcale to nie cieszyło.

– Wejść – ryknął szef komandosów w odpowiedzi na pukanie Krwawego Topora. – Z czym do mnie przychodzisz?

Śledczy popatrzył na niego ciężkim wzrokiem.

– Umarła – powiedział bez wstępów.

– To mnie nie dziwi. Pytam czego się dowiedziałeś.

Krwawy Topór z trudem powstrzymał chęć wzruszenia ramionami. Nie chciał, żeby wyglądało to na lekceważenie, więc tylko skrzywił się, pokazując drobne, ostre zęby.

– Niczego, panie. Zdegraduj mnie, jeżeli taka jest twoja wola.

Eskenezer jednym susem wyskoczył zza biurka, chwycił go za koszulę i uniósł tak, że ich nosy prawie się stykały. Krwawy Topór nie zrobił nic, by się bronić. Już dawno zauważył, że na wściekłość przełożonych najlepiej stosować strategię padliny, taką samą jak wobec niedźwiedzi. Wisiał teraz w powietrzu, czekając co

zrobi Eskenezer.

– Co tu jeszcze robisz?! Wracaj na dół i pytaj dalej! Wiesz, że mamy mało czasu.

– Nie żyje – powtórzył beznamiętnie. – Całkiem. Przestała się regenerować.

Eskenezer poczuł, jak czerwona mgła przesłania mu oczy. Uniósł śledczego jeszcze wyżej i z furią cisnął nim przez pokój. Uderzenie o przeciwległą ścianę wybiło Krwawemu Toporowi powietrze z płuc. Komandos doskoczył do niego i śledczy, nadal bez tchu, niezdarnie poderwał się na nogi. Rozmowę na siedząco z szefem komandosów uważał za niebezpieczną głupotę.

Eskenezer oparł dłonie o ścianę po obu stronach swojego śledczego, jakby zamykał go w klatce i pochylił się.

– Co jej zrobiłeś?

Krwawy Topór otworzył usta, żeby wyjaśnić, podniósł wzroki i zamarł. Pracował przy przesłuchaniach od setek lat, przez ręce przeszły mu tysiące ludzi i diabłów i nauczył się rozpoznawać na twarzach najdrobniejsze zmiany uczuć. W oczach Eskenezera widział gniew i strach, ale gdzieś w kącikach oczu czaiła się rozpacz.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że wszystkie te uczucia już były na twarzy komandosa w chwili, gdy wszedł do pokoju, więc to

nie wiadomość o śmierci Marimar tak go poruszyła. Gdzieś w głębi umysłu ruszyła do pracy wytrenowana od wieków maszyna zdobywania i interpretowania informacji i Krwawy Topór zaczął się domyślać.

– Zadałem ci pytanie – wycedził komandos i śledczy w jednej chwili powrócił do rzeczywistości. Gwałtownie zamknął usta, potem oblizał je, próbując oderwać myśli od odkrycia, w które nie mógł uwierzyć.

– Zrobiłem wszystko jak zawsze. Ona nam uciekła.

Oczy Eskenezera zdawały się płonąć. Był teraz tak podobny do nieobliczalnego Azazela, że śledczy poczuł dreszcz.

– Kazaleś mi się spieszyć, panie. Tempo przesłuchania zależy od dwóch rzeczy: odporności na ból i zdolności do regeneracji. To cechy bardzo indywidualne, na przykład ludzie mają słabą regenerację. U nich niektóre czynności są nieodwracalne – dodał z żalem.

– Do rzeczy!

– Zawsze na początku nacinam lekko skórę diabła, żeby zobaczyć, jak prędko się zagoi. Teraz też naciąłem ją między piersiami, bo kobiety tego nie lubią. Nie regenerowała się wcale. Krwawiła coraz bardziej, jakby celowo. W końcu odeszła, cały czas patrząc mi w oczy. Jakby

to sobie zaplanowała.

Oba diabły zastygły w bezruchu, aż nagle Eskenezer wyprostował się gwałtownie i potarł czoło.

– Kiedyś już tak było. Nie mogę sobie przypomnieć, ale ktoś zrobił coś podobnego i zamienił się...

– To było chyba z tysiąc lat temu i tylko jednemu się to udało – przerwał mu Krwawy Topór, kiwając głową. To była zła wiadomość.

– Biegiem! Dowiedz się dokładnie kto i w jaki sposób. Jeżeli faktycznie jej się to udało, to trzeba się szybko i na zawsze pozbyć ciała i krwi z podłogi. Na razie jest bardzo słaba, ale będzie się żywiła tym, co po niej zostało. Wdepnęliśmy, jak śliwka w gówno!

Krwawy Topór szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Pierwszy raz w życiu poczuł niepokój.

Zdezelowany wysięgnik, na którym stała Duszczyka nagle zachwiał się niebezpiecznie i przechylił na bok. Ratując się przed upadkiem, dziewczyna wyciągnęła rękę, by chwycić uciekającą barierkę, ale palce złapały pustkę. Gdy ramię wysięgnika załamało się, runęła w dół, na marmurowe płyty chodnika. Na szczęście zanim się o nie roztrzaskała, straciła przytomność.

Eskenezer kazał spakować ciało Marimar do hermetycznie zamykanego worka, a potem zarządził sprzątanie pokoi przesłuchań. Wiedział, że nie może pozostać najmniejszy nawet ślad jej obecności. Zagonione do roboty diabły w kombinazonach służb ochrony chemicznej weszły do wszystkich pomieszczeń równocześnie, oblewając ściany i podłogi chemikaliami i szorując do utraty tchu.

Chemikalia zmieszane z krwią ofiar, które przesłuchiowano tu od wieków, zbierano do pojemników, odstawianych potem na ciężarówce pod bramę. Po kilku godzinach skonane i ciągle ponaglone diabły mogły wreszcie zameldować, że pomieszczenia są sterylne. Wszystko, czego używano, zamknięto w szczelnych workach i wywieziono pod wulkan.

Eskenezer osobiście nadzorował wrzucenie do lawy ciała diablicy i wszystkiego, co mogło zawierać jej krew. Uczciwie wypełnił swoje obowiązki i zrobił w tej sprawie, co mógł. Teraz pozostawało tylko czekać i mieć na dzieję.

Zrozumiał, że sprawa jest przegrana, kiedy telefony w jego biurze nagle przestały dzwonić. Zupełnie jakby inne diabły telepatycznie czuły, że coś się święci, a z trędowatym lepiej się nie

zadawać. W sekretariacie nadal słychać było zwykłą krzątanicę, ale u niego panowała zło-wróźbna, śmiertelna cisza.

W pierwszym odruchu gorączkowo starał się uciec choćby kanałem Lucyfera czy Belzebu-ba, do których też miał dostęp, ale wszystko się zatrzymało. Znał system. Sam je kiedyś unie-ruchomił udając awarię, żeby złapać Azazela i jego kobietę.

Opuścił ręce i stał przez chwilę bez ruchu pośrodku pokoju. Faksy nadal przysyłały doku-menty, ale w pewnej chwili i one umilkły. Po-woli wyłączył komputery, odruchowo blokując je hasłem. Wzruszył ramionami. Zdolny haker i tak je przełamie.

Rozejrzał się wokół po pokoju, który ostat-nie kilkaset lat stanowił całe jego życie. Sam na siebie sprowadził nieszczęście, dając się Mari-mar namówić na udział w tej bzdurze. Ona była gotowa na wszystko, żeby tylko usunąć tę, jak mówiła, dziwkę, kobietę Azazela, ale on? Stracił wszystko, a kiedy po niego przyjdą, dowie się czym tak naprawdę potrafi być piekło. Powoli usiadł za biurkiem. Nie miał już nic do zrobie-nia.

Głupia Marimar, opętana nienawiścią do Duszczyki i tak pewna siebie, że aż arogancka, popełniła błąd korzystając z kanału Azazela.

Dopóki przemieszczała się zwykłymi, nikt nie zwracał na nią uwagi. Teraz za późno było żałować. Mimo wszystko trzymał kciuki, żeby jej się udało. Żeby to, co teraz nastąpi nie było na darmo.

Drzwi otworzyły się gwałtownie od solidnego kopnięcia, które wyrwało jedno skrzydło z zawiasów. Dwaj mężczyźni, którzy wpadli do wnętrza nie tracili czasu. Kule dosięgły Achillesa, szefa wywiadu Lucyfera, kiedy wstawał zza biurka, choć sam nie wiedział po co. Umiał przecież rozpoznać klęskę, kiedy stawała w drzwiach.

Duszczyka ze zdziwieniem stwierdziła, że upadek z wysięgnika nie boli aż tak bardzo, jak można by się spodziewać, a marmurowe kafle, na których leżała, są zdumiewająco miękkie. Na ulicy było dziwnie cicho, tylko gdzieś niedaleko słychać było szum urządzeń i rytmiczne popiskiwanie. Zastanawiała się, gdzie zniknął tłum otaczających ją dotychczas ludzi, bo najwyraźniej była teraz sama. Miała wrażenie, że już raz to kiedyś przeżyła, w odległej o lata świetle przeszłości, ale była zbyt zmęczona, żeby sobie przypomnieć. Nawet powieki nie dawały się podnieść, więc tylko leżała bez ruchu.

W pewnej chwili poczuła, że ktoś trzyma ją

za rękę. Była to dłoń duża i ciepła, niewątpliwie męska, której dotyk dodawał sił. Ręka, jaką zawsze chciałoby się mieć obok siebie. Czowała, że ktoś ją głaszcze i szepcze jakieś niezrozumiałe słowa. Mgła w głowie powoli zaczynała się rozwiewać i Duszczyka w nagłym przeblysku zrozumiała, że kimkolwiek był siedzący przy niej mężczyzna, z pewnością to nie Azazel. Jego zawsze umiała wyczuć, nawet na odległość. Zapewne to Gabriel, zmartwiony jej upadkiem z wysięgnika. Faktycznie, jak mogła być taką gapą. Teraz rozumiała co jest takie miękkie. To szpitalne łóżko w niebie.

Poczuła gwałtowny przypływ sił. Musi teraz wstać i działać. Może zacząć demolować szpital? Bo na podpalanie stacji benzynowych chyba jednak jeszcze jest za słaba. Nie zostanie tu, to pewne.

Nie chcąc się ujawniać przed personelem, bo w końcu im mniej wróg wie, tym lepiej, ostrożnie uchyliła jedną powiekę. Nie chciała, by drgnięcie rzęs przedwcześnie ją zdradziło, ale jakoś musiała się zorientować w sytuacji.

Mężczyzna, który siedział obok, trzymając jej rękę w ciepłych, mocnych dłoniach, w tym właśnie momencie pochylił się i pocałował jej palce. Przez rzęsy Duszczyka zobaczyła łysą czaszkę z bliznami od oparzeń, których niegdyś

była świadkiem i czym prędzej zamknęła oko. Eskenezer! Co on robił przy jej łóżku? Dlaczego ją pocałował? Wyglądało na to, że jest w niebie z Eskenezerem, ale dlaczego niebiescy wpuścili jego, a nie Azazela? Pytania mnożyły się jej w głowie, powodując dodatkowy zamęt i goni twę nieskładnych myśli.

– Żegnaj – szepnął Eskenezer i Duszczyka przestraszyła się, że znów zostanie sama.

Odłożył jej bezwładną rękę na pościel i pogłaskał. Usłyszała szelest ubrania, kiedy wstawał i gwałtownie otworzyła oczy. Eskenezer szedł w stronę wyjścia. Chciała się poderwać i biec za nim, ale rurki i przewody, do których była podłączona trzymały ją na miejscu. Co gorsza potworny ból w klatce piersiowej sprawił że gwałtownie wciągnęła powietrze. Eskenezer zatrzymał się przy drzwiach, unosząc rękę do twarzy. Duszczyka z wysiłkiem otworzyła usta.

– Dlaczego odchodzisz? – zapytała, a właściwie niezrozumiale wycharczała jakimś obcym głosem, bo przecież nie swoim. Rura wetknięta w usta okropnie jej przeszkadzała. Dlaczego upadek z wysięgnika sprawił, że nie może normalnie mówić?

Eskenezer gwałtownie się odwrócił, spojrział jej w oczy z mieszaniną szczęścia i przerażenia i krzycząc coś niezrozumiale wypadł na

zewnątrz. Szklane drzwi jej pokoju zdrząły od uderzenia o ścianę, ale nie potłukły się.

Pielęgniarki i lekarz wpadli do sali sekundę po tym, jak Eskenezer gwałtownie ją opuścił. Wydawali się nie wiadomo czemu niezwykle uradowani. Krzatali się przy niej wykonując jakieś tajemnicze czynności i prezentując szerokie, pełne szczęścia uśmiechy, kiedy do sali wbiegł Azazel i depczący mu po piętach Eskenezer. Diabeł roztrącił wszystkich chwytając ją za rękę i obsypał pocałunkami.

A więc jednak wygrała! To nie szpital w niebie, jak sądziła, ale ziemski czy może piekielny, wszystko jedno, najważniejsze, że znów byli razem. Przeniosła wzrok z całującego ją po ręce Azazela, na stojącego pod ścianą Eskenezera. W jego oczach widziała ulgę, szczęście, ale i udrękę. Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Teraz wiesz. Przepraszam – szepnął bezgłośnie.

Minimalnie skinęła mu głową w potwierdzeniu. Zamknęła oczy. Co miała teraz z robić z tą tajemnicą? Zakochany bez wzajemności i bez nadziei. Rozumiała udrękę Eskenezera i dziwiła się, że wcześniej nie domyśliła się co się dzieje. Obwiniła siebie o nieczułość i głupotę.

– Ona straciła przytomność – krzyknął Azazel w panice, widząc jej zamknięte oczy, więc

znów je otworzyła i spróbowała się do niego uśmiechnąć. Eskenezera już w pokoju nie było.

Mefistofeles jechał swoim ulubionym, czarnym mercedesem i ze zniecierpliwieniem bębnił palcami po kierownicy. Jechał nie było właściwym określeniem. On się włókł za autobusem, z którego sinawe spaliny dostawały się do wnętrza auta i dławiły go w gardle.

Kiedy kierowca nieco zwolnił na łagodnym łuku drogi, Mefisto pstryknął palcami. Autobus zatańczył po szosie, jakby nie wiedział, co dalej ze sobą zrobić i w desperacji ruszył w dół z nasypu. Kilkanaście metrów sunął na dwóch kołach, balansując jak tancerka, zanim wreszcie zwałił się ciężko na bok i przekoziółkował po łące, wznosząc fontanny ziemi zmieszanej z trawą. Wewnątrz obijał się zażywny kierowca z brzuszkiem oraz jego jedenastu ufnych pasażerów.

Mefistofeles zatrzymał się i z szyderczym uśmiechkiem przyjrzał znieruchomiełej i cichej bryle żelastwa. Obok niego na szosie zatrzymały się dwa samochody i ludzie biegli do wraku, z którego przez rozbitą szybę gramolił się młody chłopak w zakrwawionej, jasnej koszuli. Kiedy wyszedł na zewnątrz, upadł na zrytą ziemię i znieruchomiał.

Diabeł czekał, myśląc o dziwnej rozmowie, którą odbył blisko godzinę wcześniej:

Azurowy płatek otaczający parking przy małym hotelu był porośnięty pnącymi różami. We wczesno-popołudniowym słońcu, czerwone kwiaty wisiały jak plamy krwi pośród zieleni, ale zamyślony Mefistofeles ledwie odnotował ich obecność. Siedział przy oknie w hotelowej restauracji i sączył już drugą wściekle mocną kawę. Z korytarza wiodącego do pokoi gościnnych dobiegał stłumiony szum odkurzacza.

Mefisto miał problem, w który wpędził się sam. Jego uderzenie w niebieskich, na skutek ich dziwnej opieszałości, zrykoszetowało i niespodziewanie trafiło w niego samego. Sądził, że odeślą Duszyckę znacznie wcześniej, nawet w ciągu dwóch godzin. Teraz miał im oddać tylko jednego cudownie ocalonego z obiecanych dwunastu i powstał kłopot.

Znał Duszyckę na tyle dobrze, żeby wiedzieć jak dziwną logikę zastosuje, kiedy się o wszystkim dowie, a nic nie wskazywało, że sprawę uda się utrzymać w tajemnicy. Oczywiście nie doceni, że dzięki jego umowie z Gabrielem uratowano jednego człowieka. Będzie wściekła, że zginęło jedenastu, choć oni i tak mieli umrzeć śmiercią głupią i niepotrzebną. Miał teraz do

wyboru albo odstąpić od swojego zamiaru, utracić honor i pokazać wszystkim że rzuca słowa na wiatr, albo zrezygnować z kobiety, której pragnął.

Starał się być jej przyjacielem i dotychczas świetnie mu szło. Kiedy spotkała go pierwszy raz, nie chciała nawet podać mu ręki, a niedawno pocałowała go w policzek na powitanie, ku ogromnemu niezadowoleniu Azazela. Ta jedna akcja zaprzepaści wszystko. Duszyčka nie będzie chciała z nim rozmawiać.

Mefisto westchnął. Decyzja została podjęta. Siedział przez chwilę patrząc na róże niewidzącym wzrokiem i żegnał się ze swoim pięknym marzeniem o kobiecie. Kiedy sięgał po portfel, poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i niechętnie odebrał rozmowę.

– Słucham cię, Gerebanie – w jego głosie po-brzmiewała leciutka nuta zniecierpliwienia.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, panie, ale wyniknęła nagląca sprawa. Skontaktował się z naszym sekretariatem archanioł Michał i prosi o pilne spotkanie z tobą. Twierdzi, że rzecz jest niecierpiąca zwłoki.

Mefisto milczał przez chwilę, a Gereban go nie ponaglał. Michał bez żadnych problemów umiałby go zlokalizować bez niczyjej pomocy. Fakt, że odwoływał się do pośrednictwa sekre-

tariatu świadczył o wadze sprawy. Archaniołowi musiało bardzo zależeć na uzyskaniu wstępnej zgody diabła i już samo to było zdumiewające.

– Wiesz gdzie jestem, prawda?

– Z grubsza. Mam cię na lokalizatorze.

– Przekaż, że czekam na niego na parkingu przed hotelem “Zum weißen Roß” i mam mniej więcej pół godziny. Tyle chyba wystarczy?

– Dziękuję. Aha, mówił, że przyjdzie w towarzystwie.

– Mam nadzieję, że chociaż będzie ładna – powiedział diabeł właściwie do siebie, bo sekretarz już się rozłączył. Położył banknot pod nieodpitą filiżanką i ruszył na zewnątrz.

W drzwiach wejściowych do hotelu zatrzymał się, zaskoczony. Na prawie pustym parkingu, obok jego czarnego mercedesa stało z niepewnymi minami pięciu archaniołów. Sprawa musiała być poważniejsza, niż się spodziewał. Zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Witajcie panowie. Cieszę się, że was widzę – skłamał.

Aniołowie podeszli do niego i Michał pierwszy wyciągnął rękę. Mefisto zawahał się. Nie dlatego, że chciał odmówić, ale obie strony nigdy nie podawały sobie rąk. Zdarzenie było bez precedensu. Powoli uściśnął dłoń Michała, a potem i pozostałych archaniołów: Metatro-

na, Baradiela, Rafała i na końcu Uriela, który jako jedyny nie wydawał się spięty. Z uznaniem odnotował, że żaden z nich nie wytarł dłoni o spodnie i zaprosił ich szerokim gestem do środka.

– Pozwólcie, że pójde przodem i pokażę drogę. Nie będziemy rozmawiać na ulicy – dorzucił, widząc ich wahanie.

Usiedli w hotelowej restauracji przy podłużnym stoliku. Michał, jako najważniejszy siedział naprzeciwko Mefista i wydawał się bardzo nieszczęśliwy. Diabeł zamówił dla wszystkich kawę, bo picie pozwalało zyskać na czasie albo wypełnić niezręczną ciszę.

– Słucham was, panowie. Co jest takie niecierpiące zwłoki?

Aniołowie spojrzeli po sobie i w końcu wszystkie oczy skierowały się na Michała.

– Zapewne już się zorientowałeś, jak bardzo nam zależy, żebyś przychylił się do naszej prośby – zaczął archanioł, widząc, że nikt inny tego nie robi. – Próbujemy znaleźć rozwiązanie problemu, który powstał z naszej winy.

– Tak? – zachęcił go Mefisto.

– Chcieliśmy cię prosić, żebyś zgodził się odstąpić od umowy, jaką miałeś z Gabrielem.

Diabeł nie wierzył własnym uszom. Aniołowie okazali się darem niebios i rozwiązaniem

jego problemu. Bojąc się, że zadowolenie odbije się na jego obojętnej zazwyczaj twarzy, podniósł filiżankę i wziął niewielki łyk kawy. Gorzki płyn wydawał się rajskim przysmakiem.

– Dlaczego nie ma z wami Gabriela? – spytał, żeby zyskać na czasie.

– On jest najmniej winny. Starał się nas zgromadzić wcześniej i ocalić więcej ludzi. Teraz siedzi w sekretariacie Najwyższej Hierarchii i czeka na wejście do prywatnych apartamentów. Chce wziąć całą winę na siebie, a na to nie chcemy pozwolić. To nie byłoby w porządku – westchnął Baradiel i jako pierwszy z nich podniósł filiżankę do ust. Uwielbiał kawę.

– Mam odstąpić od umowy... Nie chcecie chyba, żebym uśmiercił wszystkie dwanaście osób, rezygnując z jednego ocalonego? – za-drwił Mefisto.

Uriel poruszył się niespokojnie

– Nie kpij z nas, Mefistofelesie. I bez tego jesteśmy nieszczęśliwi. Skoro wyraziliśmy się nieprecyzyjnie, wyjaśnię. Chcieliśmy zapytać czy i na jakich warunkach byłbyś skłonny zgodzić się na ocalenie wszystkich dwunastu osób, jak to pierwotnie proponowałeś?

Przy stole panowała cisza.

– Zanim cokolwiek zdecyduję, powiedzcie mi dlaczego tu jesteście, ale tak naprawdę.

– Uniósł rękę, uciszając protest Uriela, który już otworzył usta. – Nie wierzę, że nagle jedynastu niewinnych ludzi zaczęło was obchodzić tak bardzo, że posunęliście się aż do podawania diabłu ręki. I niespodziewany atak miłości do Gabriela też mnie nie przekonuje.

Aniołowie znów spojrzeli na Michała.

– Obiecaliśmy Gabrielowi, że wynagrodzimy to jakoś rodzinom ofiar, ale jak można komukolwiek wynagrodzić śmierć kogoś bliskiego? Możemy jedynie starać się jej zapobiec. To kwestia spokoju sumienia.

Mefisto pochylił się gwałtownie do przodu jak atakująca kobra.

– A więc robicie to dla siebie!

– Mefistofelesie! – Uriel wyprostował się na krześle.

– Wybacz – Diabeł uniósł ręce w górę w geście poddania. – Myślę, że możemy negocjować. Jednego człowieka oszczędzę w zamian za obietnicę, że nigdy nie zabierzecie Duszczyki do siebie.

– Doprecyzujmy – otworzył wreszcie usta Metadron, którego dusza prawnika doszła w końcu do głosu. – Nie zabierzemy jej wbrew jej woli. Ale jeśli sama przyjdzie, nie zamknemy jej bramy przed nosem.

– W porządku, to się wydaje rozsądne. Da-

lej za następnych pięciu uratowanych poproszę pięć możliwych reinkarnacji.

Reinkarnacja był dobrem tak ściśle reglamentowanym, że praktycznie niemożliwym do zdobycia. Mefisto nie wiedział po co mu to, ale sam fakt posiadania takiej opcji świadczył o władzy i potędze.

Aniołowie popatrzyli po sobie, nieznacznie kiwając głowami. Cenę uznali za przystępną.

– A pozostałe pięć?

Mefisto machnął ręką.

– Nie będę drobiazgowy. Może kiedyś będę potrzebował przysługi... – Mefisto zawiesił głos. Dług wdzięczności u aniołów był bezcenny.

Pięciu mężczyzn przy stoliku znów popatrzyło po sobie, tym razem z ulgą.

– Nie każdą twoją prośbę będziemy mogli spełnić.

– To oczywiste. A więc zgadzacie się – bardziej oznajmił, niż spytał.

Pięć głów pochyliło się w potwierdzeniu.

– Cieszę się, że udało nam się dojść do porozumienia, ale teraz muszę już iść. Wybaczcie mi, że nie zabawię z wami dłużej, ale muszę dopilnować, żeby nasza umowa weszła w życie.

Mefisto wstał i uklonił się lekko. W restauracji pozostał lekki wir powietrza i pięciu mężczyzn zaskoczonych łatwością, z jaką załatwili sprawę.

Marimar niemal oszalała z bólu i przerażenia. Czepiając się ubrań diabłów, którzy czyścili sale przesłuchań, zdołała się wydostać na zewnątrz. Była słabym, nic nie wartym demonem bez ciała i szans na jego zdobycie, ale była! Rozpierało ją poczucie triumfu. Uciekła im wszystkim, jak kiedyś Haures. To od niego dawno temu dowiedziała się jak zostać demonem, a teraz musiała tylko go odszukać. Kulila się przez chwilę w szczelinie muru, czekając na chwilę spokoju na dziedzińcu, żeby wyjść poza koszary. Sunęła powoli po ziemi, starając się unikać przechodzących diabłów, aż po trwającej wieczność wędrówce dotarła do bramy.

– Jeszcze się zobaczymy – powiedziała do siebie, choć była to bardziej myśl niż głos. – Czekać na mnie.

KONIEC

NEXTO

Zamówienie numer: 2251915

Email: biuro@koobe.pl